Autor bestsellerowego *Głodu*

Martín Caparrós

księżyc

od nowiu do nowiu

Martín Caparrós

księżyc

od nowiu do nowiu

dziennik hiperpodróży

Przełożyła
Marta Szafrańska-Brandt

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1. Wyjechać
2. Kiszyniów
3. Monrovia
4. Amsterdam
5. Paryż
6. Barcelona
7. Madryt
8. Lusaka
9. Johannesburg

Przypisy

Tytuł oryginału: UNA LUNA. DIARIO DE HIPERVIAJE

Opieka redakcyjna: LUCYNA KOWALIK
Redakcja: MARIA WOLAŃCZYK
Korekta: URSZULA SROKOSZ-MARTIUK, EWA KOCHANOWICZ, Pracownia 12A
Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ
Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ
Skład i łamanie: Infomarket

© Martín Caparrós 2009
Published in agreement with Casanovas & Lynch Literary Agency, Spain and Book/lab Literary Agency, Poland.
© Copyright for the Polish translation by Marta Szafrańska-Brandt
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2018

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-06646-1

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dla mojego druha Jorge Lanaty –
szacunek, sprzeciw, serdeczność.

1. Wyjechać

W którym momencie uznaliśmy, że oglądanie chmur od góry, mórz z wysoka, szczytów też z wysoka nie jest już przywilejem jakiegoś boga? Kiedy, przede wszystkim, uznaliśmy, że patrzenie na Ziemię z wysoka przestało nas czynić bogami? Kiedy nauczyliśmy się przeglądać czasopismo albo starą gazetę, podróżując wśród chmur?

Zapada zmrok, lecę. Można przyjąć, że lubię podróżować, że mam szczęście, mogąc to robić – czegóż chcieć więcej; teraz jednak niebacznie dopuściłem do siebie pytanie: *cui bono?* Znaczyłoby to mniej więcej: po co, dla kogo. I nagle nie mogę znaleźć żadnego uzasadnienia. Okrągły miesiąc lotów i jazd, najrozmaitszych obaw, nieprawdopodobnych spotkań. Właściwie kiedy uznaliśmy, że wszystko trzeba robić w określonym celu czy celach, ze względu na jakiś finał, *bonum*? Kiedy zaczęliśmy mylić siebie z bogami?

Podróżuję pierwszą klasą, mam okna. Z moich okien trudno nie zauważyć, że księżyc jest w pełni. Jeśli spojrzeć z moich okien w samolocie – wszyscy śpią – księżyc to jedyne, co pozostało.

Dziwnie wygląda świat, kiedy jedyne, co pozostało, to księżyc.

Nie podróżuję najdroższą klasą. Podróżuję klasą w założeniu średnią, która nie ma jednej nazwy: to *business class, affaires, clipper, club, premier, manager* – dla mężczyzn. Klasą Mężczyźni przemieszczają się wszyscy, którzy nie płacą sami za bilet: osoby na stanowiskach i korzystające z określonych przywilejów, sławetni pracownicy korporacji – i jeszcze inni. Ja podróżuję na koszt ONZ. W ciągu najbliższych dwudziestu ośmiu dni – miesiąca księżycowego – mam odwiedzić osiem czy dziesięć krajów

i napisać o ludziach, którzy podróżują naprawdę: zebrać opowieści migrantów.

Teraz człowiek sam się nie przemieszcza; jest przemieszczany. Kiedyś przenoszenie się z jednego miejsca na drugie wymagało pewnego wysiłku: trzeba było iść, wędrować, jechać konno, wiosłować, sterować. W naszych czasach podróżujący ma zająć miejsce – w fotelu, na ławce, ławeczce – i czekać, aż zostanie przewieziony. Tymczasem lecę.

A lecę do tylu miejsc, że to tak, jakbym powiedział: do żadnego – nigdzie nie lecę. Na razie staram się myśleć o Paryżu, o tym, co najbliższe: lunch i kolacja, przed wyruszeniem w dalszą drogę. Staram się myśleć o Paryżu, ale na ekraniku przed sobą oglądam film na podstawie powieści starego poczciwego Le Carré. Lubiłem go, kiedy montował nieprawdopodobne wątki sensacyjne między Smileyem a Karlą, Britons *versus commies*, szpiedzy przeciw szpiegom; dogadywali się i oszukiwali, i dogadywali znowu, ponieważ każdy był przede wszystkim szpiegiem – interpretatorem czasów, w których wszystko musiało być zakonspirowane i w których istniała w związku z tym tajemna wiedza, warta każdego trudu. Teraz nie ma już spiskowania; teraz, jak próbuje się nas przekonać, istnieje tylko przemoc, ponieważ spisek wymaga określenia celu, pewnej konstrukcji – jakiegoś *bonum* – a przemoc jest rzekomo takiej idei pozbawiona: to sprawa czysta.

Istnieje coś czystego – wmawia się nam.

Ciekawe jest prześledzić, w jaki sposób rozwinęła się ta charakterystyczna dla współczesności idea: owa przemoc – przemoc terroru, terror przemocy – nie ma celu. To znaczy nie jest nakierowana na osiągnięcie konkretnych rezultatów. Mówimy o środkach, jakimi się posługuje, ale rzadko zastanawiamy się, po co są one stosowane, jakie społeczeństwo powstałoby w wyniku pokonania nieczystego demona; nie analizujemy zamysłów. To przemoc bez końca i celu, tłumaczy się nam, bo rzekomo „przemoc" jest zwykle właśnie taka: naga niegodziwość czynu, środek nieprowadzący do żadnego celu – albo cel sam w sobie. I wygodniej nam przyjąć to wytłumaczenie.

Nie ma niczego bardziej prymitywnego i zapyziałego niż teorie spiskowe. Tylko spisek je przetrwa.

Podróżowanie ciągle jest jednak gestem desperacji: otrzeć się, na chwilę albo na kilka dni, o wszystkie te życiorysy, które nie będą moim udziałem. Nie ma nic brutalniejszego, nic bardziej okrutnego niż uświadomić sobie, że mogłem być tyloma innymi osobami.

Jeszcze czasem ta ulga.

Wciąż Le Carré na ekranie. Kiedy skończyła mu się zimna wojna, szczęśliwy ważny świat szpiegostwa, poszukał czego innego: Panama, szpiegostwo przemysłowe, nieudane próby. Teraz, jak widzę, jest to Afryka, Afryka pokazana jako miejsce gorsze, przestrzeń konfliktu – na użytek wszystkich, którzy są pełni pobożnych życzeń. Teraz celem walki jest określenie obszaru starcia. Konserwatyści wschodni i zachodni, chrześcijańscy i islamscy próbują uczynić osią konfliktu zderzenie cywilizacji: nowoczesność wobec tradycji, Euro-Ameryka wobec zapadłej Azji. Progresiści tymczasem wskazują na Afrykę: obszar nędzy, walk, głodu, aids, skrajnych nierówności. Osławiona walka klas – napięcie między biednymi a bogatymi, obecne w każdym społeczeństwie, nawet najbardziej postępowym – nie zajmuje już ważnego miejsca w zbiorowym imaginarium. Piję siedmioletnie bordeaux, całkiem niezłe, i oglądam na swoim ekraniku film hollywoodzki, o wydźwięku postępowym, w którym ci źli, politycy oraz potężny przemysł farmaceutyczny, spiskują przeciw dobrym – ekologom, antyglobalistom – i ich wykańczają. Mamy tam oczywiście krytykę istniejącego porządku, porządku opartego na globalnych pieniądzach; nie ma – ja nie widzę, od dawna nie mogę znaleźć – żadnej wskazówki co do porządku, który by ten stary zastąpił. Wiadomo tylko, że byłby dobry, zbudowany na dobrych intencjach, i nie dopuszczałby zatruwania rzek i dzieci ani zabijania pingwinów.

Zauważmy, co się dzieje z kabiną samolotu podczas lotów na długich dystansach: na początku świeżutka, czysta, jasna przestrzeń, na koniec

stajnia, w której nikt się nie wyspał. Byłaby to tania metafora pieprzonego życia, gdyby nie to, że samolot faktycznie dokądś nas przenosi.

Tymczasem jestem w Paryżu, tym osobliwym miejscu, w którym mieszkałem, kiedy byłem młody – „tak młody, że nawet nie wiedziałem, że jestem młody" – i mam dziwne wrażenie: wówczas myślałem, że Paryż będzie na zawsze miejscem tym tutaj, teraz zaś widzę jasno, że jest tamtym. Ujmując to inaczej: proszę, oto kolejne zwycięstwo języka hiszpańskiego. Wtedy sądziłem, że francuski pozwoli mi zniwelować hiszpańskie rozróżnienie *être*. *Je suis à Paris* to jednocześnie *estoy* – jestem, znajduję się – i *soy* – jestem, istnieję – w Paryżu. Później hiszpański odzyskał terytorium: teraz akurat przebywam w Paryżu, ale tu nie jestem. Odszedłem stąd, nie wiadomo kiedy, w którymś momencie w ciągu ostatnich dwudziestu lat – nie przebywając tutaj – i teraz przyjechać tu znaczy tylko tyle: przyjechać, jak przyjeżdżamy do różnych miejsc, jak próbujemy przypomnieć sobie nieuchwytne imię przypisane do twarzy, która nam coś mówi.

Nie pada śnieg; już nie pada.

Powiedziałem, że ojczyzna jest jedynym miejscem, do którego nie pamiętam, żebym kiedyś przyjechał. Do Paryża przyjeżdżam, przybywam za każdym razem, znowu.

Pamiętam zwłaszcza swój pierwszy przyjazd, opisany przed laty: „Padał śnieg, tego wieczoru, kiedy przyjechałem pociągiem na *gare d'Austerlitz*. Miałem osiemnaście lat i opuściłem właśnie Argentynę; Paryża nienawidziłem.

W Argentynie, przed wyjazdem, wydawało mi się, że Paryż jest dość obrzydłym miejscem, w którym zadufani jegomoście rozprawiają o sprawach ludzkich i boskich z wysokości niewiędnących katedr. Sądziłem, że paryżanie uważają siebie – Bóg raczy wiedzieć, na jakiej podstawie – za uprawnionych do wyjaśniania światu, czym jest, a na dodatek zwykle są w błędzie. W moich wyobrażeniach odznaczali się też wielką erudycją, byli odrobinę nieokrzesani, niemal dzicy, pełni zawiści

o cudze powodzenie i zblazowani. Tak myślałem przed przybyciem do Paryża. Potem przyjechałem, tamtego wieczoru, i wciąż padał śnieg.

Przestało padać, a ja pozostałem. Zostałem, na dobre czy na złe, i mieszkałem przez kilka lat; potem wyjechałem. Od tamtej pory nie robię nic innego, tylko wciąż przyjeżdżam do Paryża. Na setki sposobów. Skostniały z zimna po dwunastu godzinach jazdy motocyklem. Stopem, ciężarówkami, albo na gapę pociągiem. Z nadzieją, że podpiszę pierwszą umowę na swoje pierwsze tłumaczenie. Pijany szampanem albo z nogą w gipsie. Przyjeżdżałem, żeby spotkać się ze swoją pierwszą dziewczyną w Luksemburgu, żeby przygotować wszystko do wyjazdu albo żeby zapomnieć, że kiedyś stąd wyjechałem. Przyjeżdżałem z kotem na rękach, przyjeżdżałem, mając w zanadrzu najlepszy sekret albo czując przemożny lęk przed tutejszymi ulicami. Przyjeżdżałem z mocnym postanowieniem napisania wielkiego dzieła. Z kwiatami na pogrzeb albo przekraczając granicę w strachu, bo byłem bez dokumentów. Przyjeżdżałem z poczuciem, że wracam do domu, przyjeżdżałem jakby wbrew sobie albo nie jedząc nic od trzech dni. Przyjeżdżałem, czasem tego nie pragnąc.

Często spodziewałem się, że będzie padać śnieg. Nie pada. Teraz już nigdy nie pada, ale pamiętam, jak przyjechałem wtedy, przekonany, że Paryż to dość obrzydłe miejsce, w którym zadufani jegomoście, mający prawo wyjaśniać światu, zwykle w błędzie, trochę dzicy, mocno nieokrzesani, pełni zawiści, jeśli chodzi o cudze powodzenie, zblazowani itd. Teraz mam wrażenie, że nigdy nie przestałem tak uważać, wiem jednak, tak czy owak, że przyjeżdżanie do Paryża, ustawiczne wracanie tutaj, należy do tych niewielu rzeczy, które będę robił aż do końca".

Właśnie na tym polega dorośleni e, koślawienie siebie: zaczynasz uświadamiać sobie, że to, co przyjąłeś za swoje życie, nie będzie nim. Że coś, co w twoim wyobrażeniu miało trwać, nie trwa. Że każdy żal rozmywa się, choćby wydawał się wieczny. Że dwadzieścia lat wcześniej człowiek myli się zawsze – nawet kiedy utrafia.

Pada, ma się rozumieć.

Kilka tygodni przedtem byłem w Nowym Jorku: to wciąż ten sam gigantyczny, rozkiełznany, obezwładniający dziobak. Przed paroma laty Paryż w zestawieniu z Nowym Jorkiem zaczął mi się kojarzyć z prowincjonalnym muzeum. Działo się to w chwili, kiedy już skutkowały wysiłki mające na celu urządzenie miasta schludnego, wolnego od robotników i biedoty, jednego z takich, w których ci, co pracują, są innego koloru – przybywają z daleka – i mieszkają poza głównymi ulicami, w osobnych dzielnicach. To była, owszem, spora zmiana: miasto wielkich rewolucji przeobrażone w zamknięty szczelnie rewir, wielką galerię handlową z urzędami, Disneyland dla wymagających. Teraz Paryż jest dla mnie uczciwą prowincjonalną stolicą – stolicą prowincji wzbogaconej dzięki kulturze, która straciła swój rynek – i dlatego mi się podoba: wobec żarłocznego naporu łagodna dekadencja.

I dopuszczam się prostactwa kiedyś dla mnie nie do pomyślenia: piszę, siedząc w kawiarni – że podam pierwszy z brzegu przykład.

Nie po to jednak tutaj przyjechałem. Fundusz Ludnościowy ONZ zamówił u mnie reportaże z życia młodych migrantów – czy młodych ludzi, których życie zostało w jakikolwiek sposób naznaczone migracją. Zainteresowała mnie ta propozycja; będę mógł odwiedzić miejsca, do których nawet nie przyszłoby mi do głowy podróżować. Jest ciekawa również dlatego, że mam pracować według określonego schematu – „ściśle według instrukcji", że tak powiem: z kim przeprowadzać wywiady, a przede wszystkim, jakie przygotowywać teksty – jasne, zwięzłe. Mają być pisane w trzeciej osobie i nie przekraczać dwóch tysięcy słów. W moich reportażach dwa tysiące słów to tyle, ile potrzebuję, żeby odchrząknąć. I, co gorsza: mam opowiadać, pomijając samego siebie – zniknąć. Myślę, że to dobre ćwiczenie, wyzwanie – i inny sposób podróżowania.

A na dodatek według gazety księżyc, wczoraj widoczny nad widnokręgiem morza, nie był w pełni; tak się tylko wydawało, mówi gazeta – choć może nie dosłownie tymi słowami. Na razie muszę jej chyba wierzyć, nawet jeśli trochę to kosztuje. Dla mnie był bardzo okrągły,

a brakowało kilku nocy. Jaka jest różnica między księżycem w pełni a takim, który tylko na księżyc w pełni wygląda?

Podróżowanie to oczywiście przyznanie się do bezsilności: szukasz gdzie indziej tego, czego ci nie dostaje. Gdybym naprawdę sądził, że niczego nie potrzebuję, zostałbym w domu. Gdybym naprawdę sądził, że niczego nie potrzebuję, byłbym głupcem. Gdybym naprawdę sądził, że niczego nie potrzebuję, byłbym szczęśliwy. Staram się o to od dłuższego czasu.

W każdym razie starość – powiedziałem: starość? – to świadomość, od samego początku, że podróż zawsze ma kres.

2. Kiszyniów

Wczoraj jadłem na kolację *foie gras* i było to w Paryżu. Dziś wieczorem polentę z serem w Kiszyniowie, stolicy Mołdawii. Te przeskoki mają w sobie coś wyjątkowo moim zdaniem atrakcyjnego.

Kiszyniów jest dla mnie obrazem prowincjonalnego miasta rosyjskiego po upadku komunizmu. Wielkie blokowiska, charakterystyczne ponure sklepy, hotel oświetlony słabymi żarówkami, kilka kwartałów w centrum pokazujących tanią ostentację, czasem niemiecki samochód. Ulice są białe od śniegu, jest czternaście stopni poniżej zera, świeci księżyc; dziś dzienniki potwierdziłyby, że to pełnia. W tych kwartałach kobiety mocno się malują – malują się mocno – i noszą szpilki. Mężczyźni mają swetry w paski, według mody, która minęła i nie zaistniała, albo jasne krawaty do czarnych koszul. Kobiety są ładne, w taki sposób, w jaki są ładne tylko kobiety wulgarne: z pewnym – mocno wymalowanym – ładunkiem przemocy.

Kto przeprowadzi kiedyś badanie porównawcze: bezguście kapitalistyczne kontra bezguście socjalistyczne? kto podejmie się interpretacji pstrokatego Wieku Świateł?

Możliwe tropy: socjalizm był skierowany ku przyszłości, a żaden środek estetyczny nie jest bardziej narażony na przejście do kategorii *démodé* niż wizja futurystyczna. Bezguście socjalistyczne bierze się często z chęci obdarzenia tą nowoczesnością wszystkich – nowoczesnością zwulgaryzowaną, produkowaną masowo. Niemniej jest to bezguście w ogromnej mierze ascetyczne. Kapitalizm wnosi ze sobą przede wszystkim błyskotki, ponieważ nie ma żadnych zahamowań moralnych wobec luksusu czy idei luksusu jako formy życia. Kapitalizm – i na tym polega jego zwycięstwo nad systemem sowieckim – to jeden z niewielu

przypadków w historii, kiedy rzeczywistość daje więcej niż obietnica, kiedy teraźniejszość prześcignęła przyszłość.

Albo raczej – z tym ładunkiem przemocy, jaki noszą w sobie kobiety, gdy wiedzą, że nie są dla ciebie.

W restauracji w stylu starej Rosji, w Kiszyniowie, obsługuje mnie kelnerka blondynka, z pryszczami na twarzy, o iksowatych nogach sfatygowanej tancerki, która potrafi nalać wina do kieliszka i czekać na werdykt, z butelką trzymaną jak niemowlę, ze spuszczonym wzrokiem, jakby w napięciu – która potrafi zainscenizować odwieczny mit kobiety uzależnionej od twojego polecenia.

Co w końcu zaowocuje napiwkiem.

Nie ma jednak w czasie tych dni podróżowania i pracy nic gorszego niż kolacja. Z reguły jem ją sam. Bardzo rzadko w restauracji jest na tyle jasno, żebym mógł czytać; toteż myślę, rozmyślam. Owe kolacje stwarzają nadmiar relacji z samym sobą, co nigdy nie jest dobre – ale pozwalają również zapełniać zeszyt. Pisanie daje mi w tych dniach poczucie, że ktoś mnie słucha. Nigdy nie gawędzi mi się lepiej, niż kiedy jestem sam.

Albo inaczej: zjeść obiad w miejscu – być w miejscu – do którego wiem, że nie wrócę.

W restauracji hotelu, tak nędznego, według miar radzieckich rzekomo czterogwiazdkowego, wróciwszy późno, słyszę odgłosy zabawy: ktoś gra rosyjską muzykę, pije wódkę, śpiewa. Hałasuje. Czwórka ludzi. Poza tym olbrzymia sala jest pusta.

Jaka to przyjemność – powtarzające się zaskoczenie – obudzić się słonecznym rankiem w miejscu, do którego przybyłem wieczorem, w którym patrzyłem, myślałem, pisałem przy świetle nocy, i zobaczyć, że w słońcu wygląda zupełnie inaczej. Przybyć do dwóch różnych miejsc –

albo przybyć znów do tego samego, odmienionego, i przekonać się kolejny raz o mocy słońca, o jego zdolności przemiany świata. Tego ranka Kiszyniów lśni, śnieg jest nieskazitelny.

Czy nie można by wyobrazić sobie przyjemności jako „powtarzającego się zaskoczenia"? Zaskoczenia spodziewanego, którego wyczekujesz dyskretnie, tak żeby mogło być dalej niespodzianką i przez swoje pojawienie się napełnić cię radością: oto zyskałeś coś, czego pragnąłeś, chociaż sobie tego nie uświadamiałeś; w każdym razie nie miałeś wyraźnych powodów, by oczekiwać tej rzeczy.

Rano, wraz ze słońcem, pojawili się żołnierze. Foyer i chodnik przed hotelem pełne są żołnierzy, którzy poruszają się tak, jakby ziemia pod stopami była ich wrogiem: spięci, ubrani w kamuflujące panterki – to znaczy ubrani tak, żeby było widać, że są żołnierzami, ludźmi gotowymi na wszystko. Prawdopodobnie był czas, kiedy kamuflaż stroju służył – prawdopodobnie i dziś nieraz służy – kamuflowaniu, jednak niemal zawsze uniform taki stanowi formę afirmacji: jestem twardy, jestem prawdziwym skurwysynem, kimś zdolnym upodobnić się do świata, wmieszać się w świat po to, żeby wyróżnić się w chwili, w której człowiek jest możliwie najbardziej odrębny. Nic nie wyróżnia człowieka bardziej niż zabicie drugiego człowieka. Miliardy z nas umierają, nie zabiwszy nikogo. Wszyscy niemal myślimy o głupotach, spółkujemy, wyobrażamy sobie inne życie, przeżywamy rozczarowania, z czegoś rezygnujemy, zdradzamy ukochanego, ukochaną, zyskujemy, tracąc, tracimy, zyskując; bardzo niewielu zabiło. Włożyć wojskowy mundur kamuflujący to stwierdzić: zabijam, należę do tych, którzy zabijają, jestem jednym z nielicznych. To wyróżnić się w czymś najbardziej szczególnym.

Na ławce na placyku sine z zimna dwie sześcioletnie dziewczynki ćwiczą czułe gesty z telenoweli; nieco dalej, na innej ławce, mężczyzna koło czterdziestki patrzy na nie z zaciśniętymi ustami.

To dziwna praca. Polega na tym, że tygodniami rozmyślasz nad jakimś tematem, przygotowujesz się, jedziesz dzień albo dwa dni z drugiego końca świata, rozmawiasz z tymi, którzy załatwiają ci spotkanie z daną osobą, organizujesz je, czytasz na ten temat, obmyślasz pytania, śpisz w hotelach, gdzie mówi się innymi językami, oglądasz trudne do wytrzymania programy w telewizji, jesz polentę, która nie jest polentą, cudaczne owoce, niedorzeczne sery, by potem w ciągu godziny i trzech kwadransów, dwóch godzin, czterech godzin, zagrać o całą stawkę podczas wywiadu. Wszystko może się zgadzać, być szczegółowo przygotowane i poprzedzone wstępnymi procedurami, lecz jeśli rozmowa się nie uda, wysiłek pójdzie na marne. Można się wtedy starać o kolejne spotkanie, ale musi zostać powtórzony ten sam schemat: długie dni poprzedzające parę chwil, w czasie których coś nastąpi albo i nie nastąpi. Ciekawe – przychodzi mi później do głowy – że tyle rzeczy dzieje się według podobnego modelu. Nie trzeba chyba wspominać o seksie – jak sądzę – czy gotowaniu.

W chwili śmierci matki Natalia miała siedem lat i brakowało jej jednego oka. Bardzo kochała matkę. Pewnego popołudnia, dwa lata wcześniej, przed ich domem w mołdawskiej wiosce sąsiadka wyzwała matkę od idiotek. Natalia, krzycząc, stanęła w obronie matki; sąsiadka pchnęła ją na stos gałęzi. Oko pękło i trzeba je było usunąć.

Najgorsze nadeszło jednak później, kiedy matka umarła na raka. Natalia była przekonana, że matka zachorowała, ponieważ ojciec za bardzo ją bił – a ona nie umiała jej bronić. W Mołdawii funkcjonuje powiedzenie: nie bić baby, to jak nie zamiatać domu. Mołdawia, wciśnięta między Rumunię a Ukrainę, była niegdyś republiką Związku Radzieckiego; teraz jest bardzo małym krajem, wielkości Lesotho czy Belgii.

Kiedy umarła matka, Natalia została sama z czterema braćmi i ojcem, ubogim chłopem. Ojciec trzymał dziewczynkę krótko, powtarzał jej, że jest dla wszystkich ciężarem, a w ogóle po co ją posyłać do szkoły, skoro jest ślepa na jedno oko i nie ma z niej żadnego pożytku. Bracia nie traktowali jej lepiej. Natalia zaczęła wynajmować się do drobnych prac, żeby zarobić na życie.

– Nie rozumiałam, dlaczego mnie nie kochali, dlaczego wciąż mi dokuczali.

W wieku czternastu lat znalazła pracę w domu sąsiadki: sprzątała, doglądała inwentarza, rąbała drwa. Po trzech latach poprosiła sąsiadkę o pomoc w zorganizowaniu dalszej nauki. Zaczęła kształcić się na nauczycielkę WF i instruktorkę sztuk walki – aż skończyły się jej pieniądze i musiała szukać pracy. Wróciła do domu. Chcąc zjednać sobie ojca i braci, oddawała im prawie cały zarobek, ale oni wciąż ją bili, wysługiwali się nią. Kiedy czuła się bardzo samotna, szła na cmentarz i zwierzała się matce ze swoich utrapień. Matka, jak twierdziła później dziewczyna, radziła jej być cierpliwą. Natalia próbowała.

Nic się jednak nie zmieniało. W końcu postanowiła uciec do Kiszyniowa, stolicy; dostała pracę na głównym targu, ale nie trwało to długo. Bracia odszukali ją i siłą sprowadzili do domu – ktoś musiał zajmować się gospodarstwem. Natalia wróciła, poddała się – na parę miesięcy. Gdy skończyła dziewiętnaście lat, przyjęła oświadczyny chłopaka z sąsiedniej wioski: mieli się pobrać i wyjechać, raz na zawsze. Natalia nie była zakochana, ale tylko w ten sposób mogła rozpocząć nowe życie. Z początku wszystko układało się szczęśliwie: znaleźli pracę i pokój w Kiszyniowie; śmiali się, dobrze im było razem. Aż on zaczął jej pilnować i robić jej wymówki o każdy wydany grosz. Krzyczał na nią, bił ją; w rezultacie – uświadomiła sobie – był właściwie taki jak ojciec i bracia. Kiedy dowiedziała się od lekarza, że jest w ciąży, przestraszyła się, co powie mąż. Ten początkowo wydawał się zadowolony. Potem zaczął jej wyrzucać, że przez nią, jeśli ona przestanie pracować, będzie musiał zapewnić utrzymanie całej trójce, miał pretensję, że nie pilnowała się lepiej – i ją bił.

Któregoś dnia zaproponował, żeby wyjechali do Włoch i rozpoczęli nowe życie. Mołdawia jest najbiedniejszym krajem Europy; przeciętne wynagrodzenie nie przekracza tu stu dolarów, a na trzy i pół miliona Mołdawian prawie milion wyemigrował do Rosji, Turcji, Włoch, Hiszpanii, Portugalii. Przysyłane przez tych ludzi sumy przewyższają niemal dwukrotnie wartość budżetu narodowego.

Natalia się zgodziła. Tak jak wszyscy słyszała historie o wzbogaconych emigrantach. Mąż przedstawił jej przyjaciela, który miał załatwić im papiery i pożyczyć pieniądze do oddania w przyszłości. Przyjaciel był sympatycznym czterdziestolatkiem, wygadanym, inteligentnym. Teraz Natalia mówi o nim „pan X”.

– A nigdy nie słyszałaś o handlu kobietami?

– Nie oglądałam telewizji, raczej nie czytałam gazet. Słyszałam to i owo, ale nie wierzyłam; nie sądziłam, że ludzie mogą być tak okrutni. A poza tym każdy myśli

zawsze, że takie rzeczy zdarzają się innym.

– Więc niczego nie podejrzewałaś...

– Nie, chciałam wierzyć w to, co mi mówiono.

Mąż namówił ją, żeby zanim on do niej dojedzie, popracowała najpierw jako służąca u siostry pana X.

– Miałam wielką ochotę wyjechać; czekałam na to pełna entuzjazmu.

– A nie ogarniały cię wątpliwości w związku z ciążą?

– Przeciwnie, tym bardziej się cieszyłam: myślałam, że zapewnię swojemu dziecku lepsze życie.

Tamtego popołudnia Natalia wsiadła do samochodu pana X i po chwili zasnęła. Obudziła się, gdy już zapadła noc, na pustkowiu w pobliżu rzeki. W aucie były jeszcze dwie dziewczyny; powiedziały jej, że są w Rumunii. Pan X kazał im wysiąść, rozprostować kości. Natalia spytała, po co. Odpowiedział, że ma robić, co każe, i siedzieć cicho. Natalia zaczęła płakać i pomyślała, że zaraz spotka ją coś strasznego.

Ruszyli, w mroku, przed siebie. W końcu dotarli do samochodu, w którym siedziało trzech mężczyzn. Pan X podszedł; Natalia zobaczyła, jak mężczyźni dają mu plik dolarów. Próbowała uciec, zdołała uderzyć X, ale tamci chwycili ją, zbili, skopali. Zaczynała rozumieć. Leżąc na ziemi, powiedziała do X, że pożałuje tego, że ona wróci do Mołdawii i go znajdzie, i że on pożałuje. Pan X roześmiał się i odparł, że Natalia nigdy nie wróci, ponieważ ktoś bardzo jej bliski o to zadbał.

– Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że mój mąż sprzedał mnie za trzy tysiące dolarów. Mój mąż! Nie mogę wyobrazić sobie gorszej zdrady.

W ostatnich latach handel kobietami w Mołdawii stał się problemem na skalę narodową, o którym wielu stara się zapomnieć. Proceder przybrał na sile po zakończeniu wojen bałkańskich: uciszeni partyzanci i żołnierze sił pokojowych nudzili się – burdele potrzebowały coraz więcej towaru. Większość sprzedawanych kobiet pochodzi z rodzin bardzo ubogich, rozbitych, dotkniętych przemocą. Ale równocześnie wyjeżdżające to kobiety najbardziej aktywne, które nie chcą pogodzić się ze swoją sytuacją i starają się ją poprawić. Brak jest globalnych statystyk, jednak ekstrapolując badania cząstkowe, można obliczyć, że od roku 2000 ofiarą handlu padło w Mołdawii około 40 tysięcy kobiet – pięć procent kobiet między piętnastym a trzydziestym dziewiątym rokiem życia.

Natalia krzyczała, leżąc na ziemi. Jej nowi albańscy właściciele zakuli ją w kajdanki, pobili; wyciągnęli strzykawkę. Chciała powiedzieć, że nie, że jest w ciąży; i chciała umrzeć, żeby nie cierpieć więcej.

Podróż trwała długo. Natalia nie pamięta dobrze. Co jakiś czas podawano jej kolejną dawkę narkotyku, utrzymującego ją w stanie między snem a halucynacją; do tego groźby i bicie. W którymś momencie – wie na pewno – została zgwałcona: obudziła się naga i obolała w bagażniku jeepa. Była przerażona.

Gdzieś kazano jej wysiąść z busa i musiała iść przez kilka godzin górami, z sześciorgiem innych dziewcząt. Jedna próbowała uciec – dostała dwie, trzy kule. Natalia zaczęła się szarpać z jednym ze strażników, złamała mu rękę; bili ją, aż się zmęczyli. Znalazła się w domu w małym miasteczku, gdzie jakiś mężczyzna powiedział jej, że ją kupił i będzie musiała dla niego ciężko pracować. Na powitanie dwóch zbirów związało ją i zgwałciło.

– W ciągu dnia siedziałam zamknięta w pokoju. Wieczorem wyprowadzano mnie, dawano mi alkohol i kazano spełniać wszystkie zachcianki klientów.

Pewnej nocy poczuła się źle i musiała przyznać się swojemu właścicielowi, że jest w ciąży. Powiedział, żeby się nie przejmowała. Rzekomy lekarz wywołał u niej poronienie. Płakała przez trzy dni bez przerwy.

Kilka tygodni później udało jej się uciec i schronić w klasztorze. Po paru dniach zakonnice powiedziały jej, żeby sobie poszła, że się boją. Kiedy znów znalazła się na ulicy, oprawcy z burdelu natychmiast ją odnaleźli. Wówczas to dowiedziała się, że jest w Libanie. Jej właściciel miał już dosyć: znalazł kupca i sprzedał ją tanio, ponieważ Natalia nie umiała dogadzać klientom. Nowy właściciel obiecał dziewczynie, że jeśli będzie się dobrze sprawować, tak żeby zwróciła mu się zapłacona za nią suma, to za parę miesięcy pozwoli jej odejść. Każdej nocy Natalia musiała tańczyć i „zadowalać klientów".

– To byli niegodziwcy, zwierzęta, chorzy ludzie, zboczeńcy, okrutnicy.

Natalia ociera palcem łzę, patrzy na nią jak na coś wrogiego. Jest krótko ostrzyżona, ciemnowłosa, ma chłopską twarz, dłonie o krótkich palcach; gniecie z nienawiścią jakiś plastik.

– Nie chcę sobie nawet przypominać.

Po paru miesiącach stały klient zaproponował jej pomoc. Wkrótce potem Natalia, korzystając z zamieszania, uciekła i schroniła się w domu klienta – żeby się przekonać, że mężczyzna chciał otrzymywać gratis usługi, za które musiał płacić

w burdelu. Postanowiła opuścić miasteczko. Biegła polem, kiedy usłyszała silnik – nadjeżdżało dwóch zbirów z burdelu. Złapali ją, próbowali wsadzić do auta; krzyczała, że woli umrzeć, niż tam wrócić, i jakoś zdołała się oswobodzić. Ścigali ją samochodem, potrącili, zostawili na drodze, uznawszy za martwą.

– Co byś zrobiła, gdybyś spotkała tych, którzy cię porwali?

Natalia śmieje się; pierwszy raz w ciągu tych godzin śmieje się naprawdę:

– Przejechałabym ich samochodem.

Obudziła się w szpitalu, po trzech dniach głębokiej śpiączki. Miała wiele złamań i poinformowano ją, że być może nie będzie chodzić. Musiała przejść kilka operacji, kurować się przez pół roku. Dowiedziała się wtedy, że ma żółtaczkę typu B. Zaczęła się już obawiać, czy w ogóle wróci do Mołdawii, gdy pojawił się turecki adwokat, oferujący pomoc w załatwieniu papierów i podróży. Jakiś czas potem zaczęła podejrzewać, że podesłał go jej dawny właściciel, który chciał się jej pozbyć i uniknąć skierowania przez nią oskarżenia do władz. A może i nie; nigdy się tego nie dowiedziała.

Na lotnisku w Kiszyniowie nikt na nią nie czekał. Pojechała do swojej wioski spotkać się z rodziną, ale ojciec ani bracia nie chcieli z nią rozmawiać. Powiedzieli, że dla nich jest jak umarła, że jest niewdzięcznicą, która wyjechała i nawet nie przysłała im pieniędzy. Natalia nie opowiedziała im, co ją spotkało, i zamieszkała u ciotki, w innej wiosce. Ciotka, nie zadając wielu pytań, pozwoliła jej zostać, wylizać się z ran.

– Nie powinnam była milczeć, ale tutaj wszyscy milczymy. Udajemy, że problem nie istnieje.

Natalii było przykro, bo nie mogła pracować w domu ciotki – żeby jej wynagrodzić opiekę – a nie chciała być trzymana z litości. Pewnego dnia, jeszcze o kulach, pojechała do Kiszyniowa, by spróbować znaleźć pracę i ułożyć sobie jakoś życie. Ciotce pozostawiła taśmę z nagraną swoją historią.

– Chciałam, żeby wiedziała, co mnie spotkało, ale wstyd mi było opowiadać wprost.

W Kiszyniowie Natalia musiała nocować w parku, aż dostała pracę w przedszkolu, gdzie dyrektor pozwalał jej spać, pod warunkiem że nikt się nie dowie. Nie wychodziła z przedszkola: w dzień pracowała, w nocy znajdowała tam schronienie. Parę miesięcy później od kuzyna dowiedziała się o hot line *organizacji pozarządowej La Strada, walczącej z handlem kobietami. Zadzwoniła, przyjechała*

do schroniska prowadzonego przez Międzynarodową Organizację do spraw Migracji i próbuje się tu teraz wyleczyć z ran fizycznych i psychicznych. Tylko w tym roku z takiej możliwości skorzystało około trzystu młodych kobiet. Nie wolno im pić alkoholu ani zażywać narkotyków; nie mogą też udostępniać nikomu adresu: istnieje niebezpieczeństwo, że sutener będzie próbował je odnaleźć, żeby się zemścić za ucieczkę. Większość dziewcząt nie chce z ośrodka odchodzić; czują się bezpieczne, mają zapewnioną opiekę – jednak przede wszystkim nie mają dokąd pójść.

– Muszę sobie ułożyć życie, załatwić pracę, mieszkanie, takie rzeczy; ale, prawdę mówiąc, nie wiem, od czego zacząć.

Natalia, kiedy tu przybyła, była zmaltretowana i zastraszona. W schronisku tłumaczono jej, że nie musi przez całe życie rozmyślać o tamtych miesiącach. To niełatwe – w miejscu, w którym wszystkie kobiety znalazły się z powodu podobnych przejść. Opowiadając, spuszcza wzrok, mówi głosem ściszonym, monotonnym, bardzo bliskim płaczu. Mówi, a wszystko wypełnia się bólem. Każde słowo to poszukiwanie, niepewne potykanie się, lęk.

– Czemu rozmawiasz z nami, a nie z rodziną?

– Bo nigdy by mnie nie zrozumieli. Najpierw chciałam zataić swoją historię, bo tu, w moim kraju, kiedy ludzie się dowiedzą, wytykają cię palcami. Nie traktują cię jak ofiarę, tylko jak winną. Teraz jednak wiem, że muszę o wszystkim opowiedzieć; inaczej przez całe życie będę rozpamiętywać tamte miesiące. Jeśli opowiem, to się od wspomnień oderwę, a poza tym pomogę innym dziewczynom uniknąć mojego losu.

Tak mówi Natalia, ale nie chce, żeby jej twarz była widoczna wyraźnie na zdjęciach. Wszyscy zorientowani w temacie są zgodni co do tego, że handel kobietami to tylko wierzchołek góry lodowej – problemu migracji – i że proceder ten będzie się utrzymywał tak długo, jak długo będą istniały skłaniające do tej decyzji powody: bieda i brak perspektyw, jak długo dziewięćdziesiąt procent młodych Mołdawian będzie rozważało emigrację, jak długo będą kobiety gotowe raczej zaryzykować nieznany los niż żyć dalej w miejscu, w którym nie mają żadnych szans.

– Czego oczekujesz od przyszłości?

Natalia milknie, myśli, próbuje się uśmiechnąć, pociera palcem sztuczne oko. Na dworze pada śnieg. Dobre w śniegu jest to, że dryfuje w powietrzu: podczas gdy deszcz spada, śnieg się unosi, jakby nie miał celu, jakby donikąd nie zmierzał.

– Trudne pytanie.

Mówi, a przecież odpowiedziała na tyle niemożliwych do pomyślenia pytań.

Natalia i ja siedzieliśmy obok siebie, ale oboje wpatrywaliśmy się w Alexandrinę, która tłumaczyła z mołdawskiego na angielski i z angielskiego na mołdawski. Słuchałem właśnie przez pięć godzin dziewczyny ze szklanym okiem, która miała tak strasznie ciężkie życie; kiedy oczekiwała dziecka, mąż oddał ją handlarzowi – i cała reszta. Są rzeczy, o których nie możesz słuchać bezkarnie.

Jej historia pozwala mi przynajmniej przestać myśleć o sobie na dobrą chwilę. Taka jest korzyść z wysłuchiwania cudzych opowieści. Piętnaście stopni poniżej zera, wszędzie.

Wracam i niesłychana surowość hotelowego życia niesie ukojenie: to, że wszystkie przedmioty, którymi mogę dysponować – które mogę bezpośrednio mieć – są tutaj, w moim pokoju, oświetlone mdłym światłem, że jestem ja, i jeszcze ta torba, laptop, kosmetyczka, i nic więcej, dosłownie nic. Dziś nie jem kolacji. Piszę.

W sali śniadaniowej hotelu – jakaś ufarbowana platynowa blondynka, w skąpym stroju lamparta; brzmi piosenka Enrique Iglesiasa. Przy bufecie śniadaniowym jest zawsze jakby ciut za mało jedzenia: wszystkiego odrobina i każdy przechodzi z talerzem, pełen obaw, czy dla niego starczy. Obaw bezpodstawnych: trzech kelnerów cały czas dokłada, ale za każdym razem niewielką ilość. Tyle lat niedostatku – wreszcie wytwarza się pewna kultura.

W tej chwili jestem w Domu Kultury w mołdawskim miasteczku – śnieg i suche winorośle. Działał tu niegdyś teatr, kino, odbywały się koncerty, wystawy, funkcjonowały biblioteki, wszystko jednak podupadło, kiedy odeszli Sowieci. Państwo postsocjalistyczne już nie uważało, że Dom Kultury może być potrzebny, i zamknęło placówkę. Teraz organizacja pozarządowa, która pomaga ofiarom handlu kobietami, zajmuje dwa

pomieszczenia, odnowione za pieniądze jakiejś fundacji niemieckiej; reszta jest, jak mówię, zrujnowana. Od kultury do pomocy społecznej prowadzi droga, której nie chciałbym nadawać kształtu metafory, gdyż Rosjanie bynajmniej mi się nie podobali.

Kobieta opowiada mi przerażające historie. Z tyłu za nią, za oknem, tańczą płatki śniegu: scenografowi nie zabrakło rozmachu. Kobieta ma na głowie czapkę leninówkę, w ręku trzyma linijkę i ma straszną rosyjską twarz; opowiada, jak uczy pracować te biedne dziewczyny, które uległy pokusie prostytucji – ja tymczasem zastanawiam się, dlaczego robię to, co robię: pytanie *cui bono?* przypuszcza szturm. Przychodzi mi do głowy zatrważająca myśl: nie muszę pracować dla pieniędzy – zarabiam tyle, ile mi potrzeba, książkami. Innymi słowy: powinienem wykorzystywać czas, robiąc coś wartego wysiłku. Praca etatowa, związane z tym wymogi i obowiązki, to między innymi sposób na uciszenie wyrzutów sumienia z powodu złego wykorzystywania czasu, jego marnowania. Przykro jest nie móc stosować tego środka, wiedzieć, że muszę wypracowywać nie pensję, lecz ideę siebie samego, pamięć siebie.

Jakby coś takiego miało sens.

Śnieg ciągle się błąka: świat bez *cui bono*. Przede mną młodziutka jasnowłosa dziewczyna – obok niej troje jasnowłosych dzieci; dziewczyna ma podbite oko: niebieskie zzieleniałe dookoła, nabiegłe krwią; dzieci płaczą, w tym zrujnowanym, jakże smutnym, zbyt zimnym domku. Dziewczyna opowiada mi, jak zmuszano ją do prostytucji w Petersburgu, jak wcześniej kazano jej żebrać w przebraniu zakonnicy, jak próbowała uciekać, aż wreszcie się poddała, jak klienci ją bili. Nie chcę jej więcej słuchać. Naprawdę nie mogę już jej słuchać.

Nie wychodzi mi jednak z głowy ta droga życia: żeby zrobić z niej prostytutkę – żeby ostatecznie nad nią zapanować – najpierw kazano jej udawać zakonnicę.

Przed południem Alexandrina i Boris, moi uprzejmi mołdawscy gospodarze, mają pójść ze mną na spacer. Jest sobota, za parę godzin opuszczę Kiszyniów; czują, że powinni się mną zająć. Są mili. Mam ochotę zobaczyć targ – zawsze mam ochotę zobaczyć targ – ale A. i B. patrzą na mnie ze smutkiem, zabierają mnie samochodem, pokazują swoje miasto. Parę okazałych budynków publicznych z początku XX wieku, cztery czy pięć okazałych budynków publicznych z okresu sowieckiego i liczne bloki. Potem wiozą mnie pod pomnik Lenina – odtransportowany do podmiejskiego parku. Chciałbym wiedzieć, dlaczego to robią. Pytam, ale nie rozumieją mojego pytania – albo udają, że nie rozumieją.

Jest to niewątpliwie przewrotna forma podróżowania: dziś jestem w Mołdawii, przy piętnastu stopniach poniżej zera, jutro w Liberii przy trzydziestu pięciu powyżej, w czwartek prawdopodobnie w Amsterdamie. Przewrotna: nie taka, jaką zwykliśmy uważać za normalną. W podróżach zachowana była – na ogół – pewna równowaga między miejscem a czasem: przemieszczanie się w przestrzeni – zostawianie za sobą kultur, krajobrazów, wrażeń – wiązało się z trwaniem, które z konieczności czyniło podróżowanie stopniowym, kazało mu się rozwijać w sposób mniej lub bardziej powolny. W ciągu ostatnich dekad podróżowanie tak bardzo zyskało na szybkości, powszechności, że tamta idea podróży – odległość skorelowana z czasem – przestała funkcjonować. Trzeba wymyślić nową formę. Czymś takim musi być hiperpodróż: klikanie linków w sieci – podskoki bezczelnej małpy.

Idziemy przez targ: krzyki, przepychanki łokciami, kiełbaski z czosnkiem, zimowe buty w śniegu zamienionym w błoto; kiedyś wreszcie zrozumiem, dlaczego tak lubię targowiska. A na koniec Alexandrina i Boris postanawiają zaprowadzić mnie do ogrodu botanicznego. Wysiadamy, idziemy. Mróz przenika do kości, ogród jest ogromny, cały biały. Alexandrina pokazuje mi rośliny, które nie są tym, czym być powinny: to drzewo wiosną wypuszcza cudowne kwiaty, bielusieńkie, fantastyczne,

mówi, wskazując rachityczne, nagie drzewko z karteczką na dole, na której napisane jest: „Magnolia”.

Alexandrina tłumaczy z przekonaniem: nie wyobrażasz sobie, jakie to piękne kwiaty. Wiem: kwiaty magnolii. Drzewko nie jest tym, czym jest, tylko tym, czym będzie – czym ma być za jakiś czas, kiedy nastanie inna pora. Tyle dziesiątków lat kultury sowieckiej nie zniknie w kilka lat. W Mołdawii życie jest wciąż gdzieś dalej, dopiero przyjdzie: wraz z przyszłością magnolii.

3. Monrovia

Jadę, stąd tam, nieprawdopodobną drogą.

Wypełniam polecenia. Już od tak dawna nie wypełniam poleceń. Frustruje mnie wypełnianie poleceń. Cieszy mnie wypełnianie poleceń. Uspokaja mnie wypełnianie poleceń i nie znoszę wypełniania poleceń. Zadaję sobie pytanie: skoro polecenia uchodzą, po co za nimi gonić. Później wyobrażam sobie polecenia jako znamienitą awangardę, sztandary na wietrze, nieustraszone proporce, a ja i miliony podążają za nimi. Potykam się i upadam, ale sędzia mówi mi: dalej, jazda, trzeba przywrócić porządek, słyszę jednak, że tak nie możemy dalej, kochanie, nie mogę znieść ustawicznego wydawania przez ciebie poleceń, narzucania porządku, a jeśli idę tędy, gubię porządek, ponieważ nic nie dzieje się według należytego porządku. I nie idę dalej, gdyż sam sobie narzucam porządek, wydaję polecenia.

Tymczasem jestem w samolocie. Dwa zagłówki – mój i ten z siedzenia obok, wolnego – zupełnie niepodobne; czuję się nieswojo. Coś jest nie tak, jeśli dwa zagłówki w samolocie nie są identyczne. Potem się śmieję: oto epoka, w której gwarancją dobrego wykonania jakiegoś przedmiotu jest jego absolutna identyczność ze wszystkimi przedmiotami tego samego rodzaju. Tak żeby logika produkcji masowej, taśmowej, logika maszyn realizujących miliony razy tę samą ideę nie uległa zakłóceniu przez różnicę: żeby się nie załamał porządek.

Spojrzałem właśnie na zegarek i zobaczyłem, że jest 11.38. Pomyślałem, że gdyby miało się zdarzyć coś ważnego, relację o tym rozpocząłbym od stwierdzenia: „Spojrzałem właśnie na zegarek i zobaczyłem, że jest 11.38". Ileż historii zaczyna się znacznie lepiej, niż się kończy.

Palenie nie jest już tym samym co kiedyś, gdy nie było zakazu. Tu, na lotnisku, na przykład idę w okropne miejsce, do szklanej klatki, w której

nie trzeba nawet zamykać nas, osób popełniających występek, ponieważ zamykamy się tam sami, żeby zapalić – z minami straceńców, z wypisanym na twarzy wstydem, jakbyśmy odbywali kwarantannę, oczy zaczerwienione, płuca czarne. Kiedy na początku XX wieku stał się modny ideał życia higienicznego, zasadnicze działanie polegało na zamykaniu – *enfermer* – chorych – *los enfermos*; wielu stawiało opór. Zgodnie ze współczesnym imperatywem higieny życia my, „chorzy", sami zamykamy się, skruszeni, w obscenicznym miejscu: to jest właśnie to, co się nazywa zwycięstwem ideologii. W owych celach palaczy nie da się robić niczego innego: nie można czytać, rozmawiać, zająć się czymś miłym, czegoś się napić – można tylko palić. Nie wiem, po co palę – gdybym wiedział, myślę, że mógłbym zamiast palenia robić coś innego, ponieważ nie ma nic bardziej obciachowego niż palenie – wiem natomiast, że palenie stanowi zazwyczaj *side dish*, przystawkę – albo *collateral damage*, szkodę niezamierzoną: człowiek gawędzi z przyjaciółmi, ogląda mecz, pije kawę, właśnie zjadł obiad, właśnie się z kimś przespał – i pali. W tych klatkach palenie stało się sprawą centralną, daniem głównym, czynnością wykluczającą jakiekolwiek inne, obnażoną w swej doskonałej głupocie: Co robisz? Palę. Aha. Klatka sprowadza cię do roli palacza w czystej postaci, a czasem nie ma nic bardziej przypałowego niż czysta postać.

(Tak bardzo chciałem zapalić, od tylu godzin; wreszcie palę i zastanawiam się, czego właściwie chciałem, kiedy chciałem zapalić. Gdyby działo się tak tylko w przypadku papierosa, chyba potrafiłbym to rzucić).

W trzecim tego dnia samolocie, startując z Wiednia, patrzę w dół; czyściutkie samoloty przypominają zabawki – owe malutkie samolociki odtworzone w mikroskali, chłodne, pomalowane, perfekcyjne – i nagle ogarnia mnie melancholia: jakie to smutne, że są prawdziwe.

Później powoli zaczynam rozumieć pojęcie miasta sypialni: docieram do centrum Brukseli o wpół do dwunastej w nocy; mój samolot do Monrovii

wylatuje następnego dnia rano. Na ulicach nie ma żywego ducha. Spędzam noc w warunkach absolutnie belgijskich.

Oglądana z góry Ziemia nie jest figuratywna: widać formy abstrakcyjne, zakręty, wiry, cienie, kształty geometryczne, czasem arabeski, jakie tworzyli ci, którzy obawiali się kopiować rysunki boskie. Ciekawe: trzeba było wymyślić samolot, żeby odkryć, że także i w tym aspekcie natura jest imitacją sztuki. Nawet kiedy sztuka próbuje uciec od natury.

Pustynia poniżej – przepiękna, marokańska, naznaczona wieloma kolorami. Chardonnay jest chilijskie, sauvignon nowozelandzkie, francuskie jest *foie gras*, a łosoś kanadyjski: mężczyzna po mojej lewej jest Amerykaninem, po prawej Senegalczykiem, ale wszyscy trzej jesteśmy wysłannikami organizacji pozarządowych, czytającymi raporty na temat nędzy i potrzeb socjalnych na zachodzie Afryki. Podróżujemy klasą Mężczyźni, ma się rozumieć: dobrze rozumiana solidarność zaczyna się od nas samych.

Lecę nad wybrzeżem afrykańskim, nad szlakiem łodzi emigrantów. Być może tam, w dole, na zbłąkanej łodzi, czterdziestu czy pięćdziesięciu ludzi o śniadej karnacji rzuca na szalę wszystko, żeby przybyć do Hiszpanii, kraju, z którego uciekł mój dziadek. Za dziesięć, piętnaście dni, w Barcelonie i w Madrycie, będę musiał się spotkać z jednym z nich. Na razie lecę ponad nimi.

Może któryś z nich nawet na nas patrzy, myśli coś o tych mających okazję lecieć.

Mój dziadek Caparrós wypłynął przed sześćdziesięciu laty z Wysp Kanaryjskich na czymś w rodzaju łodzi – uciekał od Franco. Nie zamierzał nawet płynąć do Argentyny, jednak tam się znalazł i dlatego jestem tym, kim jestem. Przypadki to coś porażającego – a nic nie czyni ich wyraźniejszymi niż solidna podróż.

Gallup robi rzecz następującą: pyta pięćdziesiąt tysięcy osób na całym świecie, co myślą o tym, tamtym i innym, po czym objaśnia, jacy jesteśmy. Czytam, że Afrykańczycy, widziani z dala, są ludźmi nastawionymi najbardziej optymistycznie na naszym globie – obok Amerykanów. I najbardziej religijnymi na naszym globie – obok Amerykanów. A także najmocniej przekonanymi, że demokracja to najlepszy możliwy system rządów – obok Amerykanów. Nie chcę nadużywać tego porównania, ale przed laty Ojczyzną Palindromiczną nazwałem Argentynę prezydenta Menema, w której najbogatsi i najbiedniejsi jednakowo głosowali na porcelanową figurkę na torcie. Czy należałoby mówić o Świecie Palindromicznym?

Tylu rzeczy jeszcze mi w życiu brakuje. Nie osiągnąłem na przykład stopnia mądrości i oderwania od świata pozwalających pomylić smak *foie gras* z innymi – mieć ten luksus. I wiem, że na świecie mnóstwo jest czerwonych płynów, ale smakiem, który każe mi myśleć: tak, to jest wino, pozostaje bordeaux – i jego podróbki; wiem, że groziłoby mi przejście na pozycje zachowawcze, gdyby tylko istniał świat wart zachowania. Ale, jak mówię, dzięki Bogu, świat jest do dupy.

Przeczytałem, że w Sierra Leone obcinano nogi albo ręce, ale nie zabijano; że w Liberii niczego nie obcinano, ale zabijano. Miałem właśnie międzylądowanie we Freetown; lecę do Monrovii – i nie chcę dywagować dłużej nad tym, co jest gorsze. Później okaże się, że nawet nie jest do końca pewne.

Zazwyczaj przed przyjazdem do jakiegoś miejsca zbieram wiadomości na jego temat; według mnie na tym między innymi polega moja praca. Tym razem jednak cele podróży zostały wybrane niedawno, a potem byłem w innych miejscach równie mi nieznanych. Zatem teraz nie wiem jeszcze nic albo prawie nic i ze zdumieniem czytam w samolocie, że pani prezydent Liberii obiecała podłączyć prąd i wodę w Monrovii „najpóźniej w ciągu stu pięćdziesięciu dni”.

Wiele napisałem w ciągu tych godzin. Czy jest tak, że piszę, kiedy nie mam nic do roboty?

Jedenaście godzin temu, kiedy wystartowaliśmy, lot wydawał się niemal wiecznością: bardzo wiele brakowało do jego zakończenia – czyli tego, czego oczekujemy po udanym locie. Teraz słyszę, że mamy ustawić oparcia w pozycji pionowej i przygotować się do lądowania. Za piętnaście minut lot zostanie zamknięty: absolutnie zakończony, jak coś, co się nigdy nie zdarzyło. Chyba że nastąpi katastrofa. Jeśli w ciągu tych brakujących czternastu minut wydarzy się coś nieprzewidzianego, samolot podskoczy i przewróci się, albo choćby skręci i znajdzie się na polu – przerażenie, panika – wtedy ten lot będzie trwał o wiele dłużej, znacznie więcej dni, lat, być może będzie trwał już na zawsze.

Zniknięcie jest losem rzeczy banalnych, podobnych.

Trwałość natomiast bywa zazwyczaj bardzo droga.

Wychodziłem z wielu lotnisk, ale tamtego wieczoru poczułem lęk. Najpierw niepowtarzalne uderzenie gorąca – ach, to uderzenie, pierwszy haust gorącego, wilgotnego, zgniłego powietrza, uścisk tropiku – a poza tym bardzo mało światła, nieprzeniknione ciemne twarze, byle jak ubrani, za to porządnie uzbrojeni żołnierze, watahy krzykliwych rozbieganych dzieci. Potem, na szosie do Monrovii, żadnych latarni, kilka uzbrojonych kontroli Korpusu Pokoju. Księżyc już ubywający, po obu stronach szosy mroczne chaty, znowu chaty, lampy naftowe, żadnego oświetlenia publicznego; od czasu do czasu mija nas grupa ludzi, na coś czekają, tańczą, piją, wrażenie niesamowitego ubóstwa. Mrok. Rano wszystko będzie zupełnie inne.

Albo i nie, trudno zgadnąć.

Tymczasem księżyc, cwaniak, nie wiedzieć czemu zrobił się żółty.

„International School of Aviation”, głosi odręczny napis na czerwonej tablicy, zardzewiałej i zniszczonej, umieszczonej na jednej z chat. Tak, a tutaj wisiała tablica z pozdrowieniem: „Witamy”, ale została zniszczona, mówi mój kierowca. Potem dodaje, że ma na imię James.

Od dawna rozmawiam w językach, które nie są moimi językami, z ludźmi, którzy rozmawiają ze mną w językach innych niż własne. Taka współczesna uprzejmość.

Hotel w Monrovii – można powiedzieć: średni; pełen młodych chłopców na nie wiadomo jakich stanowiskach, śmierdzący wilgocią, niespecjalnie ładny i strasznie drogi. Ale mający podstawowy atut handlowy: jest jedynym, jaki pozostał w mieście. W ubogim hotelowym barze – lada, trzy niskie stoliczki, w telewizji mecz piłki nożnej – chuda Holenderka koło czterdziestki opowiada mi, że przyjechała zobaczyć, czy da się coś odzyskać z majątku rodzinnego – przede wszystkim hotel, na trzysta pokoi, zajęty, splądrowany, zniszczony, odebrany. Przyznaje, że nie wie, po co wraca, ale wraca. Afryka robi z tobą różne rzeczy, dodaje bez cienia uśmiechu.

Później odkryję, że w hotelu jest drewniany taras ze stolikami, z widokiem na ocean. Ocean w dole, bez żadnych nadzwyczajności, czyste morze, płaska błękitna przestrzeń, otwarta, nieprzenikniona. Rozkosz patrzeć.

I wiedzieć, że tam faktycznie nic nie jest możliwe.

Szum – szum – generatora rozlewający się po hotelowym patio. Od prawie piętnastu lat w kraju nie ma prądu ani wody – wyjaśniają mi. A zatem żadne liberyjskie dziecko, młodsze czy starsze, nie wzięło nigdy prysznica, nie wie, co to znaczy nacisnąć pstryczek i zapalić lampę. A poza

tym prawie żadne nie chodziło do szkoły. Od prawie piętnastu lat w całym tym kraju nie ma prądu ani wody.

Choć może niekoniecznie: bogaci – bardzo nieliczni – mają generatory i ciężarówki cysterny, które napełniają im zbiorniki. Ciężko tu. Można powiedzieć: ciężkie miasto. Albo: jakby wciąż o krok od upadku, zawalenia się. Budynki, które jakimś cudem utrzymują się przy życiu, z odpadającym tynkiem, zniszczone, często otoczone płotami, niektóre zajęte, mnóstwo wypalonych albo podziurawionych. I ludzie, ludzie, ludzie – wszędzie dookoła hordy ludzkie.

Albo, powiedziałbym: miasto – nadepnięte mrowisko.

Konające budynki, ciągnąca się bez końca brudna, zapchana ulica, przy której sprzedaje się wszystkie możliwe ciuchy z Zachodu: Afryka stanowi cmentarzysko naszych używanych ubrań – które gdzieś musiały skończyć. Podrabiane adidasy są natomiast nowe. I targ: im trudniej coś kupić, sprzedać, kupić, tym większy zwykle targ. Targ jest ogromny. Jakaś kobieta specjalizuje się w skrajnościach: sprzedaje świńskie nogi i rybie głowy; wiele kobiet nosi na głowie dobrze umocowane pakunki, niektóre mają na plecach przytroczone dziecko, dziewczynka przekłada raz po raz swoje cztery kiście po cztery banany każda – banany są czarne, tak przejrzałe. Mnóstwo dzieci, dym, czarne psy. Dzieci mają ogromne oczy, które nie zamykają się mimo upału. Jakiś mężczyzna bez jednej nogi, dwóch mężczyzn, kawałek dalej, bez dwóch rąk – każdy bez jednej. Mężczyzn, którzy mają mniej kończyn, niż trzeba, jest więcej; pamiątka z wojny. Inny, z nogą uciętą w połowie, opiera się na drewnianej kuli: przy każdym kroku robi dziwny podskok. Kula jest bardzo krótka. Gdyby miała dziesięć centymetrów więcej, odpowiadałaby długości całej nogi, pozwalałaby się poruszać bez tego podskakiwania; próbuję zgadnąć, dlaczego ten człowiek czegoś takiego nie zrobił, próbuję nie zgadywać. I coraz więcej much, cebuli, czerwonych papryczek chili, czerwonej oliwy, szarego mięsa i bardzo białych uśmiechów: wielu ludzi uśmiecha się do mnie, niektórzy nie. Jakaś kobieta mówi mi: zasrany biały, co tu robisz, to nie jest dla

zasranych białych. Patrzę na nią i próbuję uśmiechnąć się lekceważąco; ona krzyczy dalej. Idzie jej lepiej niż mnie, ale ma nade mną przewagę: zawsze łatwiej jest krzyczeć niż się uśmiechać. Ośmiu czy dziesięciu policjantów prowadzi niskiego, kulawego, brudnego mężczyznę w łachmanach, z krwawiącą raną brzucha – w Kolumbii trafnie nazywają takich *desechables* – śmieciami. Mężczyzna woła coś cichutko, jakby dla świętego spokoju. Na targu nie ma żadnych atrakcji, nie sprzedaje się niczego, co nie należałoby do artykułów absolutnie pierwszej potrzeby, takich jak żywność, stare ubrania, pstrokate materiały na stroje afrykańskie, mydło, kłódki, adidasy, świece made in Liberia. Świece to chyba najbardziej kwitnący przemysł lokalny. Podobno nieco dalej, w części targu, do której radzono mi nie zaglądać, sprzedaje się kobiety, ale to też jest pewno artykuł pierwszej potrzeby.

Na namalowanej ręcznie tabliczce Lekarzy bez Granic widnieje prymitywnie pokazana scena gwałtu oraz napis mówiący, że gwałt nie powinien przyprawiać o wstyd, że trzeba ten fakt zgłosić i udać się do szpitala. Plakat jest brutalny: widać na nim mężczyznę, który rozbiera szarpiącą się kobietę, i trzech innych, którzy ją gwałcą. Ludzie przechodzą obok, nie patrząc; pewno widzieli podobną scenę wiele razy.

Ten kraj był osobliwy od samego początku. Utworzony został około roku 1830 przez grupę byłych czarnych niewolników amerykańskich, wspieranych przez białych amerykańskich abolicjonistów – którzy prawdopodobnie chcieli się tamtych pozbyć: dali im pieniądze i udzielili poparcia, żeby czarni wrócili, gdzie ich afrykańskie korzenie, i stworzyli tam własną przestrzeń. Dlatego nowo przybyli nazwali to miejsce Liberią – krajem wolnych – a jego stolicę Monrovią – jako wyraz wdzięczności dla prezydenta Monroe. Jednak wkrótce ci, którzy byli niegdyś wyzyskiwani, zaczęli wyzyskiwać czarnych miejscowych i przez półtora wieku jedynie ich potomkowie byli bogaci, mieli władzę albo zostawali prezydentami Liberii. Oto jak odtworzyli – perfekcyjnie, na własną korzyść – znienawidzony rzekomo panujący porządek.

Trudno mi się przyzwyczaić do korzystania z jeepa ONZ i czuję się niezręcznie, głupio, z powodu przydzielonego kierowcy. Cały czas tłumaczę się z tego, co mamy robić, wyjaśniam mu, dlaczego proszę o jakiś wyjazd. Nigdy nie byłem dobrym szefem, tak: nigdy nie potrafiłem swobodnie pełnić funkcji szefa.

James, kierowca, przez cały czas słucha wiadomości przez radio – wciąż tych samych, powtarzanych co godzinę w kolejnym wydaniu dziennika – i za każdym razem kiwa albo kręci głową, mrucząc pod nosem coś, czego nie rozumiem. Wiezie mnie do centrum, na spotkanie z Richardem: to pierwszy z moich rozmówców liberyjskich i nie wiem, czego się spodziewać. Richard pracuje w „firmie komputerowej". Czy jak to nazwać: nie pracuje, ponieważ skończyła mu się umowa, i tak prawie nigdy nie dostawał pieniędzy – „firma komputerowa" zajmuje maleńki pokoik w na pół zrujnowanym budynku. Richard jest młody, wyelegantowany, mówi cicho; twierdzi, że tutaj, w biurze, nie możemy rozmawiać, bo przeszkadzalibyśmy szefowi – czy byłemu szefowi. Proponuje, żebyśmy poszli gdzie indziej. Nie wiemy dokąd; James sugeruje jeepa. Siadamy, Richard i ja, na tylnym siedzeniu i chłopak opowiada mi o swoim życiu. Od czasu do czasu ktoś zagląda przez okno – zamknięte, żeby nie uciekał chłód. Czasem ci ciekawscy pokazują nam lufy.

– A jak sprawy wyglądały przed tym dniem?

– Nie wiem, wszystko było... normalnie. Tak, normalnie. Mieliśmy to, co chcieliśmy, wodę, światło, żywność; nie główkowałem cały czas, jak zdobyć coś do jedzenia. Wtedy wszystko było w porządku. A ja marzyłem – jak to dziecko – że zostanę prezydentem Liberii.

W tamtym czasie Richard Allen miał osiem lat i wszystko wyglądało normalnie, w porządku: jego ojciec, pastor Theophilus D. Allen, był dyrektorem szkoły baptystów, do której uczęszczał syn. W domu rodzina, książki, przyszłość, jaki taki pokój, zresztą Richard nie uważał, żeby pokój miał być czymś nadzwyczajnym. Aż do dnia, w którym wszystko nagle stało się inne. Richard zobaczył już w telewizji, że dzieje się coś dziwnego: w wiadomościach mówiono o rebeliantach, którzy zabijają ludzi, zjadają ich mięso, wypijają krew.

– Nie rozumiałem, myślałem, że chodzi o jakieś zwierzęta...

Dla Richarda owi „rebelianci" byli czymś odległym, należącym do świata telewizji, aż kiedyś ojciec powiedział mu, że to ludzie i że trzeba uciekać do wioski babci. Owego dnia, w 1989 roku, wszystko przestało być normalne, raz na zawsze – dla Richarda i dla pozostałych trzech i pół miliona Liberyjczyków. Liberia, położona na zachodnim wybrzeżu Afryki, jest jedną z najstarszych i najmniejszych republik na kontynencie: niecałe sto tysięcy kilometrów kwadratowych, żelazo, złoto, diamenty, drewno, bardzo słabo rozwinięte rolnictwo.

Z początku w wiosce żyło im się dobrze: Richard i bracia mogli się razem bawić, nie musieli chodzić do szkoły, tata i mama byli z nimi; była też babcia, którą Richard bardzo kochał. Jednak pewnego ranka usłyszeli strzały. Pastor Theophilus kazał im się schować do domu i pozamykał drzwi i okna. Kilka minut później jacyś żołnierze zaczęli ich ostrzeliwać. Wszyscy pochowali się pod łóżkami. W pewnej chwili trzyletnia siostrzyczka podniosła się i chciała iść; ojciec wyskoczył, żeby ją przytrzymać, i oboje zostali ranni. Napastnicy należeli do plemienia Krahn i szukali ludzi z Gio, żeby ich zabijać. Allenowie zdołali się uratować, gdyż był u nich akurat sąsiad Krahn, który zaczął krzyczeć w tym dialekcie; napastnicy odeszli. Ojciec i dziewczynka spędzili kilka dni w szpitalu. Po wyjściu pastor uznał, że Liberia nie będzie bezpiecznym miejscem, i rodzina postanowiła uciec do Sierra Leone.

Nie było to łatwe. Richard pamięta, że szli bardzo długo, potem wsiedli na łódź, kilka godzin płynęli jeziorem, ale z drugiej strony, blisko granicy, napotkali oddział rebeliantów blokujący drogę. Rebelianci wybierali chłopców powyżej dziesięciu lat, żeby ich wcielać do swojego wojska, ci zaś, którzy nie chcieli się przyłączyć, byli zabijani. Reszta cywilów miała utworzyć dwie grupy: w jednej mężczyźni, w drugiej kobiety i dzieci.

– Kilku żołdaków zaczęło się zakładać, jakiej płci jest dziecko dziewczyny w ciąży. Śmiali się, jedni mówili, że chłopiec, inni, że dziewczynka. Na koniec otworzyli jej brzuch nożem, wyciągnęli płód, zobaczyli, że chłopiec. Ci, którzy wygrali, uczcili to strzałami, ucięli jej głowę, położyli ją na dachu swojej furgonetki. Ja płakałem, płakałem.

Wojna domowa w Liberii ciągnęła się przez czternaście lat, od momentu zaangażowania się wojsk Charlesa Taylora w roku 1989 do jego ostatecznego upadku w 2003. Zaznaczyło się w niej kilka faz – które Liberyjczycy nazywają pierwszą, drugą i trzecią wojną domową – przerywanych negocjacjami i efemerycznym pokojem; w sumie zginęło ćwierć miliona ludzi. Wśród walczących

było wielu młodych chłopców, pojonych alkoholem i faszerowanych narkotykami. Dowódcy i szamani przekonywali ich, że nie zginą, jeśli będą pić ludzką krew albo jeść mięso dziewicy – więc oczywiście to robili. Owego popołudnia na posterunku niektórych zatrzymanych wieszano na drzewach; wykrwawiali się do podstawionych wiader, a żołnierze wypijali krew. Owego popołudnia na posterunku grupa żołnierzy chciała włożyć czteromiesięczną siostrzyczkę Richarda do moździerza, żeby ją tam zatłuc. Babcia porwała dziecko i nie puszczała – jeden z żołnierzy pchnął ją w pierś nożem.

– Potem dźgali ją dziesiątki razy, w całe ciało. Ojciec patrzył i nie mógł nic zrobić; gdyby się ruszył, zabiliby go. Chwycili moją babcię i ciągali ją dookoła, kłócąc się, kto ją zje. Żywą zjedli, żywą, Boże kochany! Gdybym mógł, zrobiłbym im wtedy najgorsze rzeczy.

Allenowie uratowali się, ponieważ jeden z rebeliantów rozpoznał pastora i pozwolił im odejść. Później przekroczyli granicę i szli wiele dni przez puszczę, aż doszli do hangaru, w którym schroniły się setki uciekinierów liberyjskich. Spędzili tam kilka tygodni, ale nie było wiele lepiej: dzieci umierały z głodu, chorób, ginęły od ukąszeń węży albo rozszarpane przez dzikie zwierzęta. Aż dotarła do nich misja ONZ i przeniesiono ich w bezpieczniejsze miejsce; mogli też, korzystając z pomocy misji, zbudować dom. Czasem brakowało jedzenia, ale przynajmniej mieli gdzie mieszkać. Pewnej nocy granicę przekroczyli rebelianci. Chwytali mężczyzn i pytali, czy wolą rękawy długie, czy krótkie. Temu, kto mówił „długie", ucinali rękę w nadgarstku, kto „krótkie" – na wysokości ramienia. Niektórym dawali wybór: spodnie krótkie albo długie, albo pytali, czy człowiek chce komórkę: ucinali trzy środkowe palce, tak że zostawał kciuk i mały palec, układem imitujące telefon komórkowy. Bywają chwile, kiedy nowoczesność i bestialstwo mieszają się ze sobą bezlitośnie – razem ze specyficznym poczuciem humoru. Tego, kto nie chciał wybierać, zabijano bez żadnych ceregieli.

Rodzina uciekła znowu – najpierw do pobliskiego miasteczka, potem do Freetown, stolicy Sierra Leone. Z tamtych lat bez szkoły i zabawy Richard pamięta tylko walkę o przetrwanie, o zdobycie czegoś do jedzenia. W roku 1992 wojna przycichła; Allenowie wrócili do Monrovii. Richard miał już jedenaście lat i nie mógł się odnaleźć w szkole: osaczony przez wspomnienia, nie potrafił się przystosować. Później doszedł do siebie i były to lata jako tako spokojne. Koszmar wydawał się należeć do przeszłości. Do roku 1997, kiedy to po wyborach wygranych przez byłego buntownika, Taylora, terror powrócił. Pastor Allen miał to samo

nazwisko co sekretarz generalny partii sprawującej władzę. Nie byli spokrewnieni, niemniej czyniło go to celem ataków nowych rebeliantów. Rodzina zaczęła się ukrywać w domach przyjaciół i krewnych. W tym czasie pastor dzięki swoim kontaktom jako baptysta został zaproszony na kongres w Stanach Zjednoczonych i zdołał uciec. Jednocześnie członkowie rządu Taylora ścigani byli listem gończym poza Liberią i wciąż trwało zamieszanie z nazwiskiem: żona Allena i piątka jego dzieci mogli przekroczyć granice Wybrzeża Kości Słoniowej jedynie na fałszywych papierach.

Tam zatrzymali się w obozie dla uchodźców prowadzonym przez ONZ. Richard chodził do szkoły, próbował skończyć średnią. Ojciec przysyłał im pieniądze. Matka, chcąc zasilić domowy budżet, sprzedawała chleb i słodycze na targu. Jednak w roku 2000 terror wybuchł na Wybrzeżu Kości Słoniowej i Liberia wydawała się bezpieczniejsza. Allenowie wrócili. W Monrovii trzej najstarsi bracia rozpoczęli naukę w jednej z najlepszych szkół, do której uczęszczały również córki prezydenta Taylora. Pewnego ranka, już w roku 2002, Richard zobaczył, jak oddział żołnierzy całkiem spokojnie wyprowadza dziewczęta – coś się musiało wydarzyć. Zawołał braci i wrócili do domu. Owego popołudnia zaczęły się znowu gwałty w mieście i pani Allen postanowiła wywieźć wszystkie dzieci do Ghany. W tamtych latach ponad osiemset tysięcy ludzi opuściło swoje domy: pół miliona przeniosło się w inne miejsca na terenie kraju, reszta, co dziesiąty Liberyjczyk, do krajów ościennych.

W Ghanie Allenowie trafili do kolejnego obozu dla uchodźców – przepełnionego, brudnego. Richard mógł jednak wreszcie ukończyć szkołę średnią i zapisał się na uniwersytecki kurs komputerowy. Wraz z kilkunastoosobową grupą młodych rodaków zaczął też zbierać pieniądze na opłacenie studiów dla najuboższych w obozie, na organizowanie spotkań, dyskusji, kampanii zwalczania aids.

– Kolejne wielkie rozczarowanie przeżyłem, kiedy moja rodzina wyjechała do Stanów, w 2003. Tata uzyskał już azyl i w tym momencie mogła nim zostać objęta mama i czwórka mojego rodzeństwa. Mnie jednak nie chciano przyznać azylu. Powiedziano, że przekroczyłem dopuszczalny wiek, i nie było rady. Później tata załatwił nawet dla mnie stypendium, ale odmówiono mi wizy studenckiej... Nie rozumiem tego, cała moja rodzina tam jest, a ja od czterech lat nie mogę się z nimi zobaczyć. Nie wiem już, co robić.

W Ghanie Richard nie zdołał znaleźć pracy ani załatwić papierów. Miał wrażenie, że marnuje życie. Tymczasem zaczęły go dochodzić słuchy, że w ojczyźnie sytuacja się poprawia. Wrócił kolejny raz, we wrześniu 2005. To prawda, że Liberia

próbuje się odbudować. W 2006 wybrano na prezydenta pierwszą w Afryce kobietę i ludzie wiążą z tym wielkie nadzieje. W kraju wciąż nie ma jednak wody bieżącej ani elektryczności, armia została rozwiązana, gospodarka jest w stanie ruiny i jedynie dwadzieścia procent ludności ma pracę. Panuje skrajna nędza.

– Niektórzy przyjaciele w Ghanie dziwili się, że wracam, mówili, że nic nie wskóram, żebym nie wierzył rządowi, bo wszyscy politycy są skorumpowani, wiadomo. Ręce opadają, jak popatrzeć: członkom rodziny załatwiają pracę, dają pieniądze, a kto nie jest krewnym, nie ma nic.

Teraz Richard Allen mieszka sam w rodzinnym domu pod Monrovią i pracuje dorywczo jako programista w firmie internetowej – która nie zawsze mu płaci. Chciałby dalej się uczyć – mocno to podkreśla – ale nie ma gdzie. Czasem zastanawia się, czy nie wyjechać, żeby uzupełnić edukację, ale nawet jeśli to zrobi, to tylko z myślą, żeby wrócić do kraju.

– Wciąż czujesz, że tu jest twoje miejsce, po tym wszystkim, co się stało?

– Czasem zadaję sobie pytanie, co ja tutaj robię, ale muszę próbować dalej. Muszę myśleć pozytywnie, choć nie zawsze jest łatwo. Kiedy ostatni raz opuszczałem kraj, sądziłem, że już nie wrócę, miałem dość. Potem jednak człowiek zaczyna tęsknić za swoim krajem, językiem, chciałby być tam, gdzie zna ludzi i może coś zrobić w życiu – a to bardzo trudne, jeśli się nie mieszka u siebie. Wróciłem, żeby zacząć pracować, być mężczyzną.

W ostatnich latach ponad sto tysięcy uchodźców wojennych wróciło do Liberii. Ale o wiele więcej nie wróciło. Najlepsi przyjaciele Richarda zostali w Ghanie; niektórzy stracili całą rodzinę. Richard dużo rozmawiał z jednym z nich, który mówił, że nigdy nie wróci, bo gdyby zobaczył zabójców swoich rodziców, zamordowałby ich, a tego nie chce.

– Myślę, że musimy zacząć sobie wybaczać, dochodzić do porozumienia, godzić się ze sobą. Gdybym ja spotkał tych, którzy zabili moją babcię, nie zamordowałbym ich, powiedziałbym, że im wybaczam, a wtedy oni wszystko by zrozumieli, powiedzieliby: ach, nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię.

Richard ma teraz dwadzieścia pięć lat i mówi, że nie chce jeszcze myśleć o ożenku, bo nie mógłby utrzymać rodziny. Pielęgnuje jednak dawne marzenie.

– Naprawdę wciąż myślisz o tym, żeby zostać prezydentem Liberii?

– Naturalnie. Wciąż się o to modlę. Bardzo kocham swój kraj i chciałbym, żeby lepiej się w nim działo.

Uśmiecha się. Ma miły uśmiech, ale smutne oczy. Rzadka bródka, koszula w kratkę – wygląda elegancko.

– I naprawdę wierzysz, że mógłbyś być prezydentem?

– Tak. Jeśli będzie możliwość, to tak. Nasza pani prezydent przeszła straszne rzeczy, więc czemu ja nie miałbym się ubiegać o to stanowisko. Jeśli będę pracował dostatecznie wytrwale, to czemu nie. I wszystkim niósłbym w ten sposób przesłanie: spójrzcie, wiem, co znaczy głodować, nie mieć pracy, spać na ulicy, być świadkiem mordowania rodziny. Skoro ja, który przeżyłem to, co przeżyłem, jestem teraz prezydentem, to znaczy, że i wy możecie, wy też możecie.

Świat, jak mówią, należy do optymistów.

Ktoś tłumaczy mi, że to z litości. Że prościej było zabijać – przecież „rebelianci" chcieli mieć pewność, że ci ludzie nie będą przeciw nim walczyć. Dlatego najprościej było zabijać, a obcięcie ręki, nogi, trzech środkowych palców stanowiło wyraz litości – w końcu zostawiano tych ludzi przy życiu. Nieraz – niejeden raz, wiele razy – bywa tak, że poznać jakąś rzecz to zrozumieć, że się nic nie rozumie.

Albo może zrozumieć o wiele mniej.

Czasem spacery są trudne. Uciekam przed wzrokiem chłopca bez nóg, żeby trafić na starą żebraczkę, która energicznie drapie się pod pachami; usuwam się przed mężczyzną, który chce mi sprzedać nie wiadomo co, żeby znaleźć się naprzeciw matki, która, popłakując, pokazuje mi wątłe niemowlę. Nieomal wpadam na trzech brudnych wyrostków, absolutnie bosych, bijących się i awanturujących. Na ziemi małe dziecko, dwu-, trzyletnie, bawi się piersią, kompletnie sflaczałą, swojej śpiącej matki. Na tych ulicach nie da się zrobić uniku przed skrajną nędzą. Świat, moim zdaniem, może być podzielony na kraje, w których bogaci mogą żyć, nie oglądając biedaka, i takie, najbardziej brutalne, w których przed tym nie uciekną. Tutaj wszyscy mnie o coś proszą, a ja idę sobie – nienawidzę siebie – w swojej kurewskiej postawie człowieka Zachodu: wzrok skierowany przed siebie, wysoko, nieosiągalny, zatopiony w wydumanym bezkresie, wzrok skończonego białego skurwysyna.

I powtarzam sobie, że nie ma rady – co niby miałbym zrobić?

Maranatha Business Center reklamuje się ręcznie wymalowaną tabliczką z wizerunkiem czarnego mężczyzny i czarnej kobiety, starannie uczesanych, i napisem głoszącym, że jest to salon piękności unisex i że można tu dostać kosmetyki, filmy, buty, telefony komórkowe i włosy ludzkie. Przed dwumetrowym frontonem salonu, w drzwiach, siedzi trzech chłopców, ale nigdzie nie widać żadnego klienta. W pobliżu znajdują się podobne lokale. Mnie, rzecz ciekawa, jakoś nie pociąga oferta kupna ludzkich włosów. Ulicą, w samym centrum Monrovii, przejeżdża niewiele samochodów, za to mnóstwo mężczyzn przewozi na wózkach towar – skrzynki, banany, wiadra, torby. W „klubie" – półmetrowej wysokości ścianki otwarte na ulicę, długie prymitywne ławki, dym z cynaderek z rusztu – ze trzy tuziny mężczyzn gra w scrabble. Wracam, patrzę, upewniam się: mężczyźni grają w scrabble.

Poza mną białych nie widać. Podejrzewam, że nie pokazują się na ulicy.

W południe mam czas wolny. Dyrektorka lokalnego biura Funduszu Ludnościowego zaprasza mnie do siebie na obiad – do dość skromnego, pustawego mieszkania. Kobieta wyjaśnia mi, że nie chciała sprowadzać mebli, na wypadek gdyby miała się ewakuować w trybie pilnym, a ONZ tak czy owak nie pozwala jej przyjeżdżać z rodziną, ze względu na zbyt duże ryzyko. Niemniej Charles, służący, podaje nam przepyszny obiad, do tego kieliszek wina, ona zaś, Rwandyjka, opowiada, jak to osiemdziesiąt dwie osoby z jej rodziny – matka, ojciec, czterech braci, pięć sióstr, nieprzeliczeni siostrzeńcy i siostrzenice – zginęły podczas rzezi '94 roku. Mówi, że sama była w Czadzie i od nikogo nie mogła się niczego dowiedzieć, że zrozpaczona, myślała poważnie o samobójstwie. Że trzy lata później wróciła do Rwandy i udało jej się odnaleźć czterdzieści ciał. Że koło swojego domu wzniosła pomnik nagrobny, a jeden z chłopów z tej samej wioski mówił jej: ja uciąłem twojemu ojcu głowę, ale nie do końca, do końca uciął ją taki a taki, a matce, nie, matce nic nie zrobiłem, przecież

twoja matka była zawsze chorowita – zginęła od jednego uderzenia w głowę, straszne to, ale prosiliśmy o przebaczenie i Bóg nam przebaczył, nie martw się. Potrawka z ryby jest znakomita, wino też, pierwsze od długiego czasu, a Rose mówi mi, że kiedy przejdzie na emeryturę, chciałaby wrócić do swojego kraju, bo podoba jej się Afryka, poza tym w Afryce życie jest łatwiejsze – ktoś ci gotuje, i starzy ludzie mają swoje miejsce, liczą się. Gdyby została w Nowym Jorku, gdzie mieszkała przez długie lata, jej los nikogo by nie obchodził.

Ten hałas – krzyki, radio, klaksony; bieda to hałas.

Karaluch – mały, brunatny, zdecydowany – wędruje po podłodze w łazience, a ja na niego patrzę. Wydaje się niespokojny – piszę „wydaje się niespokojny" i zatrzymuję się wobec tej niegodziwości: kimże jest ten uniwersalny podmiot, który swoje wrażenia na temat karalucha czyni prawdą ogólną, który może powiedzieć „wydaje się". Kiedy ktoś mówi „wydaje się", kłamie. Więc piszę: według mnie jest niespokojny; patrzę, jak się kręci bez sensu, wpadając raz po raz na ściany, i myślę o lęku przed granicami, o tej desperacji w obliczu czegoś nieprzekraczalnego, cofającej nas na nasze miejsce, ilekroć chcemy się stać czymś więcej; o zapamiętaniu, z jakim podejmujemy kolejne próby, o śmierci, o uporze, który zawsze się zderzy ze ścianą; i czuję się, w przedziwny, głupi sposób, tak blisko owego karalucha, który teraz postanawia przestać walić w ściany i bez najmniejszego wysiłku wspina się po jednej z nich do sufitu, po czym wędruje dalej brzuchem do góry.

Świat jest pełen skrajnej nędzy: dzielnice ubogich ukazują tę nędzę niemal wszędzie. Nie widziałem jednak miejsca, w którym tak ubogie, tak zniszczone byłyby dzielnice bogatych. Tutaj wszystko, co przedstawia jakąś wartość, jest otoczone makabrycznymi zwojami drutu kolczastego z obawy przed grabieżą – klasyczna sytuacja z lat wojny. Drut kolczasty to jakby korona, znak rozpoznawczy sygnalizujący, że dane miejsce jest coś warte. Gdyby nie to, że przez wieki używały go mniszki, aby się biczować, jakiś liberyjski projektant powinien ubrać swoje modelki w drut kolczasty:

proszę, oto najlepsze kreacje – komunikowałby tym samym – najbardziej atrakcyjne.

Za to cmentarze nie mają murów; groby wdzierają się na chodniki, wielkie betonowe bloki pomalowane na różne kolory, z ręcznie wypisanymi epitafiami. W Liberii śmierć nie jest oddzielona od życia ziemskiego.

Wszyscy opowiadają historie. Golec był to podobno słynny bojownik, który walczył nago, ponieważ dzięki temu, jak twierdził, nie mógł zostać zabity. Choć dla pewności musiał także pić mocz i zjadać ludzkie mięso. Teraz Golec się ożenił, uznał swoje dzieci, został duszpasterzem ewangelistą.

Leje jak z cebra i wszystko staje się bardzo trudne. Ubóstwo społeczeństwa może być również mierzone poprzez wpływ, jaki na jego funkcjonowanie wywiera klimat. W Paryżu dla przykładu czy Nowym Jorku deszcz ma taki skutek, że niektórzy sprzedają więcej parasoli. Tutaj deszcz paraliżuje.

Wody brakuje, wody jest za dużo – wody.

Dom nie wydaje się tak ubogi, choć położony jest w ubogiej dzielnicy Monrovii: jezdnie niewybrukowane, murowane domki obok drewnianych chat, na ulicach tłum, mimo że jest trzecia po południu i panuje straszny upał. W domu mieszka dwóch osiemnastoletnich chłopców, którzy byli żołnierzami od dziesiątego do siedemnastego roku życia. W armii „rebeliantów" pełno było dzieci – a pamiętam, jak Kapuściński mówił mi kiedyś, że chłopcy-żołnierze są najgorsi, najbardziej bezwzględni, najokrutniejsi. Ci dwaj ubrani są tak samo: szorty, japonki, *tank top*, rozwinięte mięśnie. Mówią mi, że teraz się nudzą, nie mają nic do roboty. Dawniej było o wiele lepiej – tłumaczy jeden: dobrze nam było, mogliśmy brać wszystko, na co mieliśmy ochotę.

– To znaczy?

– Wszystko, co chcieliśmy: ubrania, jedzenie, kobiety, forsę, to, co człowiek zawsze chce mieć. A jak ktoś się opierał, bach, zabijaliśmy.

Chłopak ma ciało niewiarygodnie silne, szeroki uśmiech, ręce jeszcze szersze; absolutnie nie przejmuje się poprawnością polityczną. Kiedy pytam go, kim chciałby być, odpowiada, że amerykańskim *marine*; ci mają najlepszą broń i mogą zabijać, kogo chcą, i nikt im nic nie powie; oby kiedyś mógł zostać amerykańskim *marine*.

– A jak się czułeś, kiedy kogoś zabijałeś?

Zadaję to pytanie drugiemu, niewysokiemu – same mięśnie, bardzo wąskie oczy. Pytam głosem zduszonym, cichym, tonem poprawnego współczucia, jaki przybiera ktoś, kto rozumie, że przykro jest mówić o trudnych chwilach, ale cóż poradzić, nie ma wyjścia, to dla dobra świata, no, wiesz, trzeba, aby pewne sprawy zostały nazwane po imieniu.

– *Goooood!*

Odpowiada żołnierz, krzyczy.

– *Good?*

– *Yeah*. Jeśli kogoś zabijasz, znaczy, że ten gość mógł zabić ciebie. Więc idziesz i zabijasz go ty. To jest genialne, czujesz się super.

Chłopcy świetnie się bawią: wspominają dawne, dobre czasy. Śmieją się, podekscytowani, wykrzykują. Narzekają tylko, że w puszczy prawie nie mieli kobiet, bo musieli wszystkie oddawać komendantowi. Nie wyobraża pan sobie, ile się napieprzył, skurwysyn. A co się z nim stało? Pewnego dnia musieliśmy go zabić. Jak to musieliście zabić? Tak, oszalał; gdybyśmy go zostawili, wszystkich nas by pozabijano.

– Szkoda. To był dobry dowódca.

Odpowiada mi wielkolud. Jego angielski wydaje się mieszanką suahili i języka Flinstonów. Pytam, czy nie bali się, że zginą. Odpowiadają, że nie, że nigdy się niczego nie boją, bo człowiek umiera wtedy, kiedy ma umrzeć, nie wcześniej, więc po co się bać. Brzmi to doskonale, więc pytam ich, czemu nie wracają do puszczy. Patrzą na mnie, jak się patrzy na przypadek beznadziejny: bo nie ma wojny, *man*; gdyby była, oczywiście, że byśmy wrócili. Nie tracą jednak nadziei, mówią mi, że w jakimś miejscu, tutaj albo gdzie indziej, ktoś da im jeszcze *chance*.

– Zawsze jest jakaś wojna, na której potrzeba dobrych żołnierzy. Spoko, *man*, jakaś się trafi.

Nie miałem zamiaru się martwić.

W opuszczonych koszarach nie ma dachu. Przed paroma miesiącami, opowiada James, kiedy rozwiązano armię, ponieważ stanowiła zagrożenie, zwolnieni żołnierze uznali, że wszystko, co zostało w koszarach, należy do nich, i zabrali to. Dachy również.

Takie jest ich życie, życie będące ich udziałem, jedyne, jakie mają. Ja przez całe swoje życie staram się uczynić je ciekawym, wartym przeżycia, żeby nie przeciekło mi przez palce bezmyślną strużką. Oni – bardzo liczni, dwie trzecie, trzy czwarte wszystkich ludzi żyjących na świecie – starają się zdobyć coś do jedzenia: zjeść coś dzisiaj i obudzić się jutro. Tu przebiega prawdziwy podział klasowy, najstraszliwszy podział klasowy: na tych, którzy, jak ja, zastanawiają się, co będą jutro robić, i tych, którzy się zastanawiają, co jutro zjedzą. To jest właśnie tak okrutne w Afryce: że obrazuje ten podział zbyt wyraźnie. Afryka jest obsceniczna, w najściślejszym znaczeniu tego słowa. Albo pornograficzna, jeśli przyjmiemy, że niektórych te sprawy rajcują. Gdyby nie zatriumfowała głupia poprawność polityczna, Amerykanie, Europejczycy i różni inni mogliby organizować sobie wycieczki do Etiopii, Liberii, Zambii, Mozambiku, żeby robić z tej różnicy użytek, rozkoszować się jej namacalnym, brutalnym potwierdzaniem – dowodem swego sukcesu. Chociaż już to czasem czynią, z niejakim zawstydzeniem, kiedy wykładają sto dolarów albo ileś tam euro na dzieci afrykańskie, na walkę z głodem na naszej planecie, na aids w kolorach czarnym i białym.

Okrutne, straszliwie okrutne w Afryce jest to, że mówi ci głośno to, co myślisz po cichu: że świat to gówno. I że tak łatwo nam się z tym pogodzić.

Szukam księżyca: z tarasu hotelu, z widokiem na morze, szukam księżyca. Nie wiem, czy nie wzeszedł, czy już się skrył, czy zakrywają mi go tamte chmury.

Skąd przypuszczenie, że ktoś – Szwed, powiedzmy, Japończyk, Mołdawianin, Argentyńczyk – miałby cierpieć albo się martwić, albo chociaż lekko niepokoić z powodu faktu, że – na przykład – ileś tam tysięcy Liberyjczyków zabijało się z niebywałą zawziętością, że dalej tak żyje, dociągając, przy odrobinie szczęścia, do trzydziestki, czterdziestki? Dlatego, że odwołujemy się do pojęcia „ludzkości", tak mało precyzyjnego? Skąd założenie, że ludzie przejmują się losem miliardów innych ludzi, których nie znają, albo tysięcy tych, którzy mieszkają w ich dzielnicy? Albo raczej, ujmując to w inny sposób: dlaczego w ogóle miałoby to ich obchodzić? Między tymi dwoma pytaniami – skąd myśl, że tak się dzieje? skąd myśl, że powinno się dziać? – układa się spora część historii.

Ludzkość jest pojęciem z epoki, kiedy ludzkości nie było – kiedy istniały małe wspólnoty, w których los jednego człowieka wpływał w pewien sposób na los pozostałych. Albo może: w których łatwo dawało się zauważyć, że los każdego wpływa w pewien sposób na los innych – i wspólnoty się strzegło. Przyjmujemy zwykle, że ważnym punktem w dziejach tej idei były Ateny, w zamierzchłych czasach, kiedy obywatele, wymyśliwszy formację hoplitów, uświadomili sobie, że są od siebie nawzajem zależni w walce: każdy człowiek był jednakowo ważny, gdyż wystarczyło, żeby zginął jeden, a oddział się rozpadał i ginęli wszyscy. Wówczas wynaleziono to, co zostało nazwane demokracją: głos jednego mężczyzny był tak samo ważny jak głos tego drugiego obok – o ile tylko mężczyzna ów był obywatelem i mógł żyć z pracy niewolników i obcych. Demokracja nadała idei ludzkości kształt polityczny. Koncepcja ludzkości opierała się, mówiąc krótko, właśnie na założeniu, że wszyscy ludzie się liczą i w pewien sposób są sobie równi. Powtarzam jednak: łatwo to dostrzec, kiedy ci, co się liczą, to ludzie obok: Abel, rybak w tym domu, Mabel, córka kowala, ciemnowłosa Jezabel z dużymi piersiami.

Chrześcijaństwo chciało podnieść tę koncepcję lokalnej wspólnoty do skali ogólnej – naprawdę chciało? – ze swoją uniwersalistyczną ideą Kościoła, *Ecclesia*, i zasadą traktowania bliźniego, każdego bliźniego, jak siebie samego – co było interesującym pomysłem, nigdy jednak nie zrealizowanym. Później, w XVIII wieku, idea ludzkości wykorzystana została do walki z tymże chrześcijaństwem, a umocniła się w XIX, kiedy

Marks przeczytał Terencjusza, powtarzając za nim, że nic, co ludzkie, nie jest mu obce. Jednak marksiści, jak tylko zyskali taką możliwość, zaczęli mówić o socjalizmie w jednym tylko kraju – a inne niech sczezną – o Syberii i o gułagach. Wszystko w imię ludzkości, najwyższego dobra. Trudno o bardziej oporną ideę: praktyka zawsze przeczyła zasadzie, ale ta praktyka rozumiana była jako błędy, wypaczenia. Najlepsze idee, najpotężniejsze, to te, które się nie sprawdzają – a ich stała nierealność podtrzymuje je i umacnia. Reasumując: jeśli ktoś sądzi, że ludzi obchodzi to, co dzieje się z innymi ludźmi, niech przyjedzie do Monrovii. Albo niech pojedzie do Florencio Varela, dzielnicy należącej do aglomeracji Buenos Aires.

4. Amsterdam

Jeżdżę. Do rozmaitych miejsc; podczas tej podróży przejeżdżam przez nie, nawiązujemy znajomość.

I dalej swoje: kiedyś podróże stanowiły przedsięwzięcie obmyślane przez człowieka przez dłuższy czas i przenoszące go w radykalnie odmienne miejsce, w którym panowały inne zwyczaje, skąd trudno było skontaktować się z domem, gdzie wchodziło się w relacje z ludnością lokalną. Teraz bardzo trudno jest wyjść poza hiperpodróż: przemieszczamy się po świecie, jakby to było kliknięcie myszką – klik, i załatwione. Szybko zmieniamy miejsce pobytu, by dotrzeć do innego, na ogół bardzo podobnego, w którym spędzimy od czterech do piętnastu dni, wysyłając przygotowane pocztówki albo kąpiąc się w tych samych wodach, albo odwiedzając krewnych czy kogoś bliskiego sercu, albo robiąc zakupy, albo – to przede wszystkim – pracując, robiąc interesy, w jednakowych zawsze samolotach, przenoszących nas do hoteli, które mają być zawsze takie same i w których spotykamy podobnych ludzi, usiłujących załatwić dokładnie to samo albo prawie to samo.

To kolejne z moich klasycznych głupich odkryć, już dawno dokonanych: świat pełen jest ludzi handlujących rzeczami, które ich guzik obchodzą. To znaczy opierających swoje życie na cyklu pieniądze-towar-pieniądze, gdzie tym, co się liczy, są pieniądze, nie to, co się kupuje i sprzedaje, cyklu zastosowanym do własnego życia: ludzi napędza troska, niepokój, zaangażowanie w sprawę wierteł metalowych, usług dla armatorów, komórek, komór, kominów, serów w plastrach – i mogą w trzy dni przejść od wiertła do sera, do statków, komórek, komór, kominów, i jest im wszystko jedno: poświęcają życie działalności, która z powodzeniem mogłaby być absolutnie inną działalnością, tylko po to, żeby zarabiać, i są szczęśliwi i dumni, i jest ich większość, i panują nad światem. Czasem dziwi mnie moja niezdolność zrozumienia życia wielu ludzi.

Z Monrovii do Amsterdamu: nie wiem, czy jakaś inna trasa mogłaby być równie odległa.

Tak jak śniadanie w hotelach – ta mnogość propozycji zmuszająca cię do zjedzenia w krótkim czasie tego, co rozsądek nakazuje rozłożyć na kilka godzin, skonsumowania, bo jest podane, kusi, przekupuje darmowością, podszeptem, że jeśli nie skorzystasz z oferty teraz, to potem będzie za późno; więc zjadasz jajka, parówki, płatki zbożowe, croissanty z masłem i dżemem, tosty z miodem, jogurt grecki, *ed anche* truskawki, mango – tak wygląda hiperpodróż.

Amsterdam należy do najpiękniejszych, najbardziej przyjaznych i atrakcyjnych miast, jakie znam. Może być czystą melancholią, a pięćdziesiąt metrów dalej – czystą rozkoszą, jest tradycyjne, a przecież tak nowoczesne, powściągliwe, a rozpasane, skromne, a straszliwie próżne, bardzo, ale to bardzo holenderskie.

Poza tym jest zima. Kraje bogate są w zimie jeszcze bardziej bogate: nie ma spadających na ulice liści i kolorowych ludzi, którzy robią z nimi dziwne rzeczy, i jeśli coś się pojawia, to biały dywan śniegu – inna forma uczynienia wszystkiego eleganckim. Zresztą kraje zamożne mają strychy, piwnice, alkowy, tylne podwórka – i tam piszą historię, tam ją wymazują.

Uświadomiłem sobie właśnie, że wczoraj minęło trzydzieści (30) lat, co do dnia, od momentu kiedy przyjechałem do Amsterdamu po raz pierwszy. Nie wiem, co z tym zrobić. Tym bardziej nie wiedziałem wtedy.

Wiem może tylko to, że byłem wtedy wystraszonym młodzieniaszkiem, w swoim mniemaniu bardzo dorosłym i bardzo odważnym, i pragnąłem czegoś takiego jak być podobnym do tego człowieka, którym jestem teraz; jak mało wiedziałem. Już wówczas nie potrafiłem wymyślić nic ciekawego.

Rozbłyski. Nieoczekiwanie, pośród najbardziej zwykłej zwyczajności, w dzień taki jak wszystkie, kiedy nuda, lekki niepokój i umiarkowane zainteresowanie budzą się i łączą ze sobą, pojawia się raptowny przebłysk, jedna z tych chwil, kiedy coś – obraz, zapach, myśl, spojrzenie, wspomnienie, miejsce, nawet jakaś osoba – rozkwita i wszystko na parę minut, na godzinę, zyskuje wspaniałość: rozbłyski. Gdybym mógł wygłaszać podobne kwestie, powiedziałbym, że chodzi o coś takiego: o szukanie, oczekiwanie, wymuszanie owych rozbłysków. Na jeden czatować, drugi wspominać – i owa tak pełna pustka, lita przeciętność.

(Przyjmijmy, że jakość życia – jakość życia – to liczba i częstotliwość pojawiania się rozbłysków albo może fakt, że nie trzeba ich szukać, odkrycie, że w rzeczywistości życie jest czymś innym – zostawmy to jednak mędrcom).

Ale właściwie: któż zgadnie, kto jest mędrcem.

Do dnia dzisiejszego – do tej chwili, kiedy siedzę w barze w Amsterdamie, ostry mróz na dworze, w środku łagodne osamotnienie – nie sądziłem, że może to przybrać postać książki. Miałem tylko opracować zebrane przez siebie historie młodych migrantów. Jednak odkąd wyjechałem, sporządzam notatki – jeszcze nie nauczyłem się podróżować w inny sposób. Próbuję, staram się, ale nic z tego nie wychodzi. I teraz – mocny papieros, belgijskie piwo, obok przy stoliku pokrzykuje trzech kumpli – kiedy przeglądam gromadzące się zapiski, przychodzi mi do głowy, że może mają one jakiś sens, i myślę, że chciałbym je opublikować, ponieważ nie nauczyłem się jeszcze pisać dla milczenia. Próbuję, intensywnie próbuję – ale jeszcze nie potrafię.

To nie jest reportaż; to tylko dziennik hiperpodróży.

Jednak, cóż poradzę, przypomina mi się: niedawno, parę dni przed wyjazdem, musiałem zadzwonić do hydraulika i poprosić go, żeby nie przychodził, bo wyjeżdżam. Spytał dokąd; nie chciałem mu tłumaczyć, przygniatać go – to głupie skrępowanie – odpowiedziałem więc, że do

Urugwaju. Aha, do Urugwaju. Mój tata był kiedyś w Urugwaju, dawno. Ja nie, nie byłem nigdzie za granicą, właściwie nie ruszyłem się poza prowincję Buenos Aires. Za to tata, o tak, podróżował: Catamarca, Jujuy, Urugwaj…

Był wobec mnie szczery, ciągle mi głupio: kolejny dowód na to, że żyję na księżycu. Ilu z nas to ci, którzy podróżują po „świecie"? A ilu nie wychyliło nosa poza swoją ulicę? Oto jeden z najbardziej bezwzględnych, efektywnych podziałów klasowych: na tych, którzy zamieszkują tak zwaną naszą planetę, i tych, którzy żyją na obszarze swoich trzydziestu kilometrów kwadratowych. Tych, którzy się przemieszczają górą, ponad ojczyzną, i tych, którzy idą piechotą, dołem. Tych, którzy wyobrażają sobie świat jako nieobjęte miejsce rozciągnięte, i tych, dla których jest on nieobjętym miejscem ściśniętym – astrofizyka, mechanika kwantowa.

Przepiękny Amsterdam, który rozwinął się i nabrał czaru kosztem nędzy afrykańskich górników, robotników jawajskich z plantacji tytoniu czy antylskich z plantacji trzciny cukrowej. Jednak nie potrafię uznać przez to miasta za mniej piękne.

Czwartkowy wieczór, mróz, malejący księżyc odbija się w kanałach – wspaniałość flamandzkiej pocztówki. Na ulicy i na wielu reklamach klasyczny współczesny obrazek: biały mężczyzna i kobieta Azjatka – tutaj jest to zwykle Indonezyjka. Nawet nie musi być młodsza, choć tak bywa. Podobno układ jest klarowny: biały mężczyzna zapewnia sobie kobietę bardziej usłużną i poddaną niż większość białych, Azjatka – mężczyznę mniej seksistowskiego, mniej szorstkiego niż większość Azjatów. Spotykają się w pół drogi. Dlatego, jak słyszę, prawie nie widuje się par złożonych z Azjaty i kobiety białej, bo byłby to średni interes dla obojga – a poza tym ciągle niezbyt nam się podoba, kiedy tamci dobierają się do naszych kobiet.

Kobiety holenderskie mają kształtne plecy. To znaczy ramiona, chodzi o ramiona. Nic bardziej nie nadaje kobiecie figury niż foremne ramiona.

Kiedy poszedłem się załatwić i w tym czasie wysiadło światło w toalecie w urokliwej restauracji w Amsterdamie, nieomal sprawiło mi to przyjemność. Kabina pogrążyła się w ciemności, a ja pomyślałem: jak dobrze, że i tutaj zdarzają się takie rzeczy – nie tylko w Monrovii. Wystarczyły cztery sekundy, żebym zrozumiał, że nie była to przerwa w dostawie prądu, lecz system automatycznego wyłączania, i musiałem wyjść, żeby jeszcze raz zadziałało. W Monrovii światło gasło wciąż, bo nie ma prądu, a generatory nie zawsze go produkują; tutaj gaśnie, bo w ten sposób można kontrolować, czy ktoś nie spędza w toalecie dłużej niż pięć minut. Wypróżniając się, chyba coś zrozumiałem.

Więc się pospieszyłem, tak, musiałem się pospieszyć. W krajach ubogich nikt nie ma nic oprócz czasu; w tych tutaj czas stanowi cenne dobro, jest kontrolowany.

Nie byłem tu wiele lat – dwadzieścia, dwadzieścia pięć. Pamiętam, że przyjeżdżałem od czasu do czasu jako młodziutki paryski student-wygnaniec, żeby spędzić weekend w domu przyjaciółki rodziny, która dawała mi schronienie razem z ciepłym posiłkiem, widokami na kanał i miłymi pogawędkami. Tak, wtedy tu bywałem. Potem nie, aż do tego wieczoru. Półnagie dziewczyny w oknach z czerwonymi latarniami już mnie nie rajcują. Przedtem chyba tak – i nie dlatego, żebym był teraz mniej napalony. Jest jednak w tych modelowych ciałach, tak starannie eksponowanych do wymiany handlowej, coś, co mnie absolutnie nie podnieca. Te ciała – te kobiety – niczego nie kryją: prezentowane są jak pierwszy lepszy produkt na wystawie, sprzedawane, konsumowane, aż do wyczerpania zapasów. Żadnego mitu, żadnej tajemnicy; kapitalizm nie wie czasem, jak to zrobić. A na dodatek przypomina mi się Natalia. Na przekór temu, w co chciałbym wierzyć – jako dziennikarz – są rozmowy, które nie kończą się nigdy.

Teraz, po pewnym czasie, uświadamiam sobie, że tym, co najmocniej zapamiętałem z Mołdawii, są moje stopy przemoczone od śniegu rozdeptanego na błoto na centralnym targowisku, ściskający mróz i tamto

oko, przede wszystkim tamto oko, duże, żywe, piękne, ciemnobłękitne, z zielonoczarnym siniakiem dookoła, przekrwione od ciosu – dziewczyna dwudziestoletnia, z trójką dzieci, z przeszłością fałszywej zakonnicy, przedmiot handlu, i jej teraźniejszość wyrażająca się w tym oku, i dwadzieścia euro, o które mnie prosi, za opowiedzenie swojej historii – tamto oko, nagi błękit.

Amsterdam jest miejscem, w którym bary coś znaczą. Udają, że czas nie istnieje. Przegrana wojna – jedyna, jaka się liczy.

Kicz wymaga pewnego oddalenia. Wchodzę do kafejki w malutkiej wiosce na południu Holandii, Liempde, w której mam rozmawiać z Holenderką o korzeniach marokańskich; rozbrzmiewa piosenka: europejskie bezguście lat siedemdziesiątych – Niemcy na plaży w Benidorm – syntezator, tłukący rytm, dziewczęcy chórek. Piosenki, z którymi musiałem walczyć – od których musiałem uciekać – słysząc je w radiu albo podczas imprezy. Teraz, tutaj, melodia dobiega do mnie z takiego oddalenia, że sprawia mi pewną przyjemność, budzi sympatię, jak może ją budzić bolero Machína – *y cuando bailas conmigo / me entra una nerviosidad*, „a kiedy ze mną tańczysz, to mnie przenika prąd" – pieśń armii radzieckiej albo twist z programu Club del Clan. Kicz to prymitywność, która przestała już stanowić zagrożenie.

Dziewczyna ma dwadzieścia lat, urodziła się w Holandii, z rodziców Marokańczyków, i ma męża Marokańczyka. Podczas spotkania w sterylnie czystym, jasnym, funkcjonalnym pokoju w domu seniora, w którym pracuje jako pielęgniarka, od dłuższej chwili opowiada mi o swojej podwójnej lojalności, podwójnej przynależności, niemożliwości nazwania siebie Holenderką czy Marokanką, swoim życiu przypominającym spacer ekwilibrysty po naciągniętej linie, aż wreszcie pytam ją, czy interesuje się piłką nożną. Odpowiada, że tak. Więc kiedy gra Holandia z Marokiem, to za kim jesteś? Dziewczyna wybucha śmiechem i mówi, że nie, że już rozumie, że właściwie to za Marokiem. *In football veritas*, jak mawiali starożytni Rzymianie.

Bogactwo to porządek – który staje się czymś nierealnym. Z okna pociągu, kiedy wracam po spotkaniu w Liempde, wszystko – podobne do siebie domy, czyściutkie ulice, reklamy – wygląda jak narysowane na obrazku. Bogactwo to brak odchyleń, każda rzecz jest taka, jak została zaplanowana. Makieta: te miejscowości na północy Europy są zwykle makietą siebie samych, przestrzenną realizacją potęgi.

Obok mnie dwóch mężczyzn koło czterdziestki, bardzo eleganckich, pokazuje sobie nawzajem kartki z rzędami cyfr i mówi o inwestycjach. Trzy dni temu w Monrovii urzędnik ONZ pokazywał mi kartki z identycznymi rzędami cyfr, mówiąc o uchodźcach liberyjskich i starając się określić dokładną ich liczbę.

Tekturowy – niezmienny – charakter wykonanej makiety. Bogactwo zabezpiecza przed jakąkolwiek zmianą, utrzymuje wszystko w niezmienności – chyba że ktoś spodziewa się wraz ze zmianą osiągnąć zysk.

Jestem dumny ze swojego bagażu. Na cały miesiąc – między minus piętnaście a plus czterdzieści stopni w cieniu – mam podręczną torbę, a w niej: sweter, sześć par skarpetek, sześć czarnych T-shirtów, dwie pary czarnych spodni, parę płóciennych butów, książkę, kosmetyczkę, magnetofon, laptop, aparat fotograficzny, baterie, przejściówki. Najmniejszy możliwy zestaw podróżny, pozwalający mi wsiadać do samolotu i wysiadać bez marnowania czasu na odprawę. Tego ranka mam włożyć czyste spodnie. Wkładam drugie 501, jedyny model, jaki noszę od dziesięciu lat. Spodnie są nowe i napawa mnie to smutkiem: fakt że są nowe, nie sprawia mi już tej radości co dawniej. Teraz wiem, że mogę sobie kupić, jakie tylko zechcę, i jest mi to obojętne. Kiedyś kupno spodni stanowiło wydatek, który musiałem przemyśleć. To przykre, że ważna rzecz traci znaczenie; raptem wydaje mi się, że zaczynam rozumieć bogatych, którzy kupują sobie najdroższy zegarek albo najwspanialszy samolot. Nie chodzi tylko o przyjemność używania tej rzeczy, o pokazanie

innym, na co mnie stać. To musi być również chęć kupienia czegoś, co mnie dużo kosztuje, czegoś, co będę szanować z racji wyłożonych pieniędzy.

Mam rozmawiać z inną Holenderką o korzeniach marokańskich. W wagonie metra pośród trzydziestu osób nie ma ani jednego białego Holendra – Philips, Shell. Widzę ciemnoskórego czterdziestolatka i myślę sobie, że gdyby to był James, który przez wszystkie dni woził mnie po Monrovii, nie poznałbym go.

Ten ogromny pan z białą brodą, który się nad nią pochylał, wyglądem przypominał imama, ale nie był imamem, mówił do niej: córko, ale nie był jej ojcem – a na dodatek pytał ją bardzo poważnym głosem, czy była grzeczna, czy nie, bo jeśli była grzeczna, da jej jakiś smakołyk, a jeśli nie – wymierzy policzek. Jadiya się przestraszyła. Miała pięć lat i zaczęła właśnie szkołę. Inne dzieci wiedziały już, kto to jest Sinterklaas, nordycki Święty Mikołaj, którego dzień obchodzi się 5 grudnia, ona jednak nigdy go nie widziała, bo w jej domu tego zwyczaju nie znano. Rozpłakała się głośno i nauczycielki nie mogły jej uspokoić.

– Kiedy poszłam do szkoły, zobaczyłam, że dzieci mówią po niderlandzku o wiele lepiej niż ja, bo zawsze rozmawiały po niderlandzku w domu, a ja nie. Rodzice mówili do mnie po berberyjsku i powtarzali: ona i tak będzie się musiała nauczyć niderlandzkiego w szkole. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że jestem inna.

Jadiya al Mourabit przyszła na świat w 1979 roku w robotniczej imigranckiej dzielnicy na północy Amsterdamu jako piąta córka berberyjskiej pary z Maroka. Jej ojciec przybył do Holandii pod koniec lat sześćdziesiątych. W tych czasach bogate kraje europejskie potrzebowały pracowników ze Śródziemnomorza – Turków, mieszkańców Maghrebu, Hiszpanów, Portugalczyków – którzy wykonywaliby prace odrzucane przez ich własnych robotników. Owi imigranci lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, razem z mieszkańcami Antyli, Azji, Afrykańczykami z byłych kolonii, obywatelami Europy Wschodniej i innymi przybyłymi później, zmienili pejzaż miast europejskich. Prawdopodobnie nie istnieją na świecie miejsca bardziej wielokulturowe niż niektóre dzielnice angielskie, francuskie, holenderskie.

W swoim kraju Al Mourabit jakoś wiązał koniec z końcem, ale emigracja oferowała nowe możliwości. W Holandii zaczął pracować jako rzeźnik; jak tylko

mógł, rzucił to zajęcie, dla muzułmanina nie ma bowiem nic gorszego niż kontakt z mięsem świni. Kilka razy zmieniał pracę, aż trafił do firmy farmaceutycznej, w której zostawił, dosłownie, strzępy życia: czasami pokazuje jeszcze dziurę w ręce zrobioną przez maszynę. Długi czas mieszkał z kolegami w ciasnych pokojach, oddalony od rodziny, pracując coraz ciężej, żeby móc coś wysłać swoim. Dopiero po dziesięciu latach mógł sprowadzić żonę i dzieci. Parę miesięcy po ich przyjeździe przyszła na świat Jadiya: poczęta w Maroku, ale urodzona w Holandii; sama Jadiya uważa to za syntezę swego losu.

– Nie mogę powiedzieć, że jestem tym czy tamtym. Jestem Berberyjką marokańską urodzoną w Holandii, obywatelką holenderską. Jestem mieszańcem, a to wzbogaca i zarazem komplikuje moje życie.

Relacje między imigrantami z północnej Afryki a ich nowymi sąsiadami nie układały się gładko. Społeczność holenderska uważała ich za zacofanych i autokratycznych, dla nich zaś wszyscy Holendrzy byli ludźmi niemoralnymi i pozbawionymi hamulców. W konfrontacji ze środowiskiem, które nie chciało ich przyjąć, imigranci często zamykali się w swojej religii i swoich tradycjach, stawali bardziej restrykcyjni. Był to sposób na zachowanie tożsamości, a także na utrzymanie kontroli nad kobietami i dziećmi, kontroli zagrożonej przez zwyczaje zachodnie: nie, Lailo, nie możesz tak zrobić, ponieważ zabrania tego islam, Alí, niech ci nie przyjdzie do głowy to czy tamto, gdyż prawa naszych przodków...

Ojciec Jadiyi był surowy i stanowczy – zawsze wiedział, co i jak należy czynić, i narzucał swoje zdanie. Czasem matka sprzyjała jej w nieposłuszeństwie, jak wtedy kiedy on zakazał córce nauki pływania, ponieważ musiałaby się pokazywać w kostiumie kąpielowym pośród chłopców, matka zaś woziła ją tam potajemnie.

– Wstydziłam się ojca. Nauczyciele byli bardzo otwarci, proponowali różne spotkania, wycieczki, a ojciec mi nie pozwalał. Wtedy wstydziłam się, że widzą tego mężczyznę, który nie był jak inni ojcowie, mówił źle ich językiem, zabraniał mi wielu rzeczy, a czasem nawet nosił burnus.

Jadiya nauczyła się, że inne zasady i zwyczaje obowiązują w domu, inne zaś na ulicy, że ona sama żyje w dwóch kulturach, dwóch światach, i że trzeba znaleźć między nimi równowagę. Nie odnajdywała się w tradycjach uznawanych przez rodziców, ale też często spotykała się z niezrozumieniem ze strony społeczeństwa holenderskiego.

W wieku dwunastu lat przeżyła wielką stratę: jej o wiele starszy brat, trzydziestosiedmioletni, zmarł na zapalenie płuc – a mówiono, że zachorował,

ponieważ zajmował się podejrzanymi sprawami; nikt nie chciał powiedzieć czym. Jadiya zaczęła wątpić w niemal wszystko, czuła się samotna, niezrozumiana.

– Rodzice próbowali zamknąć mnie w swojej kulturze. Chcieli, żebym była całkowicie Marokanką, ale to jest niemożliwe dla dziewczyny, która urodziła się i wychowała w Holandii. Nie wiedziałam, jak im wytłumaczyć, że należę do dwóch kultur. Człowiekowi nie jest miło dorosnąć do wieku, w którym ma wrażenie, że wie więcej niż jego rodzice.

Jadiya przeżyła okres zamętu, wiele opuszczała w szkole, przeniesiono ją do gorszej klasy i straciła szansę pójścia na studia. A równocześnie ojciec dalej stawiał jej ograniczenia: na przykład kiedy chciała podjąć pracę wakacyjną, nie pozwolił, twierdząc, że młodzież, jeśli ma pieniądze, robi niedobre rzeczy – a Jadiya nie mogła mu odpowiedzieć, że robi niedobre rzeczy, również kiedy nie ma pieniędzy. Nie zgadzał się też, by córka miała chłopaków. Myśl, że dziewczyna może spotykać się z chłopcami, nie mieściła się w uznawanych przez niego zasadach: w Maroku dziewczęta i chłopcy zaręczali się i pobierali; nie chodzili ze sobą. Coraz więcej rzeczy Jadiya musiała robić bez jego wiedzy.

Ale szukała także swojej drogi w islamie: interesowała się jego tradycjami, czytała Koran, rozpytywała się. Kiedyś, w wieku szesnastu lat, wyszła na ulicę w chuście, ponieważ chciała zobaczyć, jak kobieta się wtedy czuje. I okazało się coś dziwnego: ludzie udawali, że jej nie widzą, albo byli zirytowani, albo traktowali ją jak upośledzoną. W tym okresie postanowiła wrócić do religii, i teraz mówi, że tak, jest osobą wierzącą.

– Powiedziałabym, że jestem muzułmanką liberalną. Religia jest dla mnie czymś bardzo osobistym; nie lubię o niej rozmawiać. Ale owszem, modlę się, nie zawsze, ale się modlę, nie piję alkoholu, nie jem wieprzowiny, nie palę, poszczę w czasie ramadanu, staram się pomagać innym. Czasem nie zgadzam się ze swoją religią, na przykład kiedy pozwala ona mężczyźnie mieć kilka żon... Przeważyły jednak inne kwestie. Na przykład w chrześcijaństwie to kobieta ponosi winę za utratę raju; w islamie wina spoczywa na obojgu, na mężczyźnie i kobiecie, i jest to o wiele bardziej sprawiedliwe.

W wieku osiemnastu lat, po skończeniu technikum, Jadiya zaczęła szukać pracy. Była kelnerką, recepcjonistką, pracownicą ochrony na lotnisku, sprzedawczynią w różnych sklepach. Aż pewnego dnia uświadomiła sobie, że marnuje życie, i zaczęła naukę w liceum przygotowującym do studiów. Potem ukończyła rok prawa i wreszcie, przed trzema laty, rozpoczęła studia na wydziale filozofii, jako jedyna

Marokanka. Z początku nie mogła wytrzymać kpiących uwag kolegów: och, muzułmanka, pomożemy ci we wszystkim, bo wiesz, to trudne sprawy. Jadiya, która do zahukanych nie należy, pytała ich wówczas, czy wiedzą, że w Maroku istniały szkoły filozoficzne na długo przedtem, zanim powstała Holandia.

– Nie cierpię, kiedy inni próbują mnie wyemancypować według własnych schematów, kiedy mówi się nam, że mamy żyć inaczej, niż żyjemy, zdejmować chusty, wyzwalać się od ucisku, być wolne, na czyjś sposób. Nikt nie ma prawa mówić nikomu, jak ma się uniezależniać. Powinno się nas szanować i pozwalać nam zdobywać niezależność tak, jak pragniemy, i jeśli mamy ochotę nosić chusty, to je nośmy, jeśli chcemy wyznawać islam, to jest nasza sprawa. Nie mogę się zgodzić, aby w imię tolerancji dyktowano mi, jak mam żyć. Nie pozwolę, aby traktowano mnie jak osobę niespełna rozumu, która nie umie sobą pokierować.

Jadiya ciągnie nieco wzburzona:

– Holendrzy zawsze mówią o „ucisku kobiet muzułmańskich", ponieważ nie chcą widzieć własnych problemów. Tutaj wciąż jest duża różnica między wynagrodzeniem mężczyzny a wynagrodzeniem kobiety wykonujących tę samą pracę. Prawo mówi, że nie powinno być różnicy, ale jest. I o tym wolą nie wspominać.

Jadiya należy do pokolenia młodych muzułmanów – a przede wszystkim młodych muzułmanek – szukających sposobu zachowania więzi z islamem bez rezygnacji ze świata zachodniego, w którym przyszło im wzrastać. Do pokolenia odznaczającego się szczególną cechą: pod względem akademickim i zawodowym kobiety osiągają lepsze rezultaty niż mężczyźni. Zdaniem niektórych powodem jest fakt, że w wielu rodzinach sprawowano większą kontrolę nad córkami niż nad synami; córki musiały bardziej przykładać się do nauki, lepiej się kształcić.

– Zawsze jednak miałam wrażenie, w szkole, w pracy, że aby osiągnąć te same rezultaty co dzieci Holendrów, musiałam wkładać w to znacznie więcej wysiłku.

W innych czasach czy krajach marzeniem imigrantów było, aby ich dzieci zintegrowały się – a integracja obejmowała również małżeństwo z kimś stąd. Dla imigrantów marokańskich w Holandii perspektywa taka jest źródłem stresu. I wywołuje gwałtowne reakcje – chodzi o tak zwane zbrodnie na tle honoru, w których ojcowie bądź bracia dziewcząt muzułmańskich karzą je, nawet śmiercią, za kontakty z chłopcami z Holandii. Albo odsyłają z powrotem do kraju. Jadiya zna takie przypadki, ale nie z najbliższego otoczenia. Jej stosunek do sprawy jest zgoła naturalny:

– Mnie nie podobają się blondyni z niebieskimi oczyma, nie budzą we mnie żadnych emocji. Holendrzy jakby się boją być prawdziwymi mężczyznami. Nie machos*, nie: prawdziwymi mężczyznami. Wolę typy śródziemnomorskie, brunetów, którzy mają trochę temperamentu. Ale to prawda, że mam też na względzie rodziców: gdybym im przedstawiła chłopaka Holendra, chybaby umarli...*

Jadiya chodziła na ogół z Holendrami marokańskiego pochodzenia. Ale często ci sami chłopcy, których urzekała jej niezależność, chęć samodzielnego utrzymywania się i studiowania, z czasem usiłowali ją przekabacić, zamienić w „dobrą dziewczynę marokańską", którą by można przedstawić rodzicom.

– Jeśli chcesz kogoś zmieniać, znaczy, że się pomyliłeś na początku, wybierając tę osobę.

I nagle przyszedł pamiętny dzień. Tamtego ranka Jadiya zobaczyła na ekranie telewizora, jak dwa samoloty uderzają w dwa wieżowce w Nowym Jorku, i pierwsze, co pomyślała, to: nieszczęśni, jaka straszna rzecz ich spotkała. Nie mogła wówczas przypuszczać, że te obrazy tyle w jej życiu zmienią.

– Od jedenastego września ludzie bardzo często starają się w nas doszukać najgorszego. Media nie przestają podtrzymywać uprzedzeń względem muzułmanów i wielu ludzi leniwych umysłowo wierzy im. Dla nich my wszyscy, którzy mamy ciemną karnację i ciemne włosy, jesteśmy islamskimi terrorystami. Wytworzyło to rozłam w społeczeństwie, między nimi a nami, i wszystko staje się znacznie trudniejsze.

Nagle zaczęły się dziać rzeczy, które dla Holendrów możliwe były tylko gdzie indziej. Jeden z nowych polityków, Pim Fortuyn, wypowiadał opinie, z którymi ludzie często się zgadzali, ale których nigdy nie ośmieliliby się ujawnić na przykład, że „islam jest kulturą głupią i zacofaną". Aktywista ekolog zastrzelił go. Dwa lata później obywatel Holandii o korzeniach marokańskich zastrzelił Theo van Gogha, pochodzącego z rodziny malarza, i poderżnął mu gardło. Van Gogh głosił poglądy antyislamskie, dając im wyraz w swoich filmach. Znaczna część społeczeństwa holenderskiego oskarżyła o wszystko muzułmanów. W tamtych dniach Jadiya wzięła udział w wielkiej manifestacji potępiającej zabójstwo, ale spotkała się z ogromną wrogością: usłyszała, że wszyscy Marokańczycy to niewolnicy, bandyci, że lepiej, żeby wróciła do swojego kraju. Musiała im odpowiadać, że ona też jest Holenderką i to jest również jej kraj – i bardzo ją to rozjątrzyło.

– Jeśli rozgrywany jest mecz piłki nożnej Holandia–Maroko, to za kim jesteś?

– Bardzo trudno powiedzieć. Naprawdę trudno. To są jakby twoja matka i twój ojciec, nie potrafisz wybrać. Jakby twoją matką było Maroko, a twoim ojcem Holandia...

– Zastanawiałaś się kiedyś, kim byś była, gdybyś mieszkała w Maroku?

– Siedziałabym w domu, zamężna, z dziesiątką dzieci. Albo i nie, nie wiem, ale raczej tak.

– Czyli uważasz, że masz szczęście, mieszkając tutaj?

– Tak, z pewnością. Holandia jest bardziej wolna, choć czasem zanadto. – Weźmy prostytucję. Dając tyle wolności, otwiera drogę do handlu kobietami; to mam na myśli. Albo seks: nie mam nic przeciwko homoseksualistom, ale nie rozumiem, dlaczego muszą się z tym tak obnosić.

Pewnego dnia koleżanka wspomniała jej o wystąpieniu w telewizji Marokanki, która miała odwagę powiedzieć, że w dzieciństwie była molestowana przez krewnych. Najwyższy czas ujawnić, mówiła kobieta, że takie rzeczy dzieją się również wśród Marokańczyków. Jadiya postanowiła ją odszukać i nawiązać z nią współpracę. Była to Saïda el-Hantali, założycielka organizacji Het Spiegelbeeld – Odbicie w Lustrze. Jadiya obawiała się bardzo, że z powodu ujawniania takich spraw nikt się do niej więcej nie odezwie. Jednak jej słowa zostały dobrze przyjęte przez wielu muzułmanów, przekonanych, że nadszedł czas, aby przestać zamiatać to pod dywan. Spiegelbeeld pomaga marokańskim kobietom, które przeżywają problemy w związku z integracją, przemocą rodzinną, molestowaniem seksualnym, zdrowiem reprodukcyjnym, wychowaniem dzieci. A także kobietom z pierwszego pokolenia imigrantów, które dobiegając sześćdziesiątki czy siedemdziesiątki, często pogrążone są w głębokiej depresji.

– To kobiety takie jak moja matka, które nigdzie nie pracowały, siedziały w domu, i zawsze były pełne obaw, że czegoś nie zrozumieją albo same nie zostaną zrozumiane, pełne niepokoju o to, co pomyślą inni. Ja na szczęście jestem zupełnie inna.

Jadiya studiuje, później chciałaby wykładać filozofię. Mieszka wciąż z rodzicami, utrzymuje się ze stypendium oraz prac dorywczych i ma chłopaka, Holendra pochodzenia marokańskiego, młodszego od siebie. Trochę ją to martwi, ale kiedy mu się zwierzyła ze swego niepokoju, odparł, że nie szkodzi, że pierwsza żona Mahometa również była starsza od proroka. A niedawno przyszło jej do głowy, pierwszy raz, że mogłaby się przenieść do Maroka.

– Przedtem nie brałam tego pod uwagę, uważałam, że nie mam tam czego szukać. Jednak ostatnio, kiedy widzę, jak zmienia się sytuacja w Holandii, czasem o tym myślę. Wcale nie byłoby źle mieszkać w Maroku; smutne, że muszę to rozważać z takich właśnie powodów.

Powody z pewnością istnieją, w końcu jest to Holandia. Kiedy pierwszy raz usiadłem na sedesie i zauważyłem, że kolana mam mniej zgięte, plecy bardziej wyprostowane, zadek wyżej, pomyślałem, że to wymysł albo błąd konstruktora, wtedy jednak zgasło światło, odwracając moją uwagę. Za trzecim razem – staram się załatwiać coraz szybciej – zacząłem podejrzewać, że Holendrzy mają powody, aby ustawiać sedesy o wiele wyżej, niż się przyzwyczailiśmy. Najpierw pomyślałem o odkryciach medycznych: bardziej wyprostowana pozycja defekacyjna, ułatwiająca emisję mefitycznych wyziewów, czy coś w tym guście. Później doszedłem do wniosku, że jako wytrwali i niewzruszeni ewolucjoniści niewątpliwie uwzględnili upływ czasu i dokonujące się zmiany. Dlaczego w świecie, w którym wzrost przeciętnego człowieka zwiększył się o prawie dwadzieścia centymetrów w ciągu stulecia, mielibyśmy korzystać z takich samych ubikacji jak wtedy, kiedy żyliśmy bardziej przybliżeni do ziemi? Wiatr historii wieje we wszystkich zakątkach.

Chyba się starzeję albo robię zacofany. Fakt, że jest tyle *coffee shops* – owych kawiarni, których racją istnienia jest serwowanie dziesięciu różnych rodzajów marihuany i haszyszu, bezpośrednio do stolika – wydaje mi się nieco obciachowy. Cała rozbudowana strategia po to, żeby wypalić skręta – to wydaje mi się nieco obciachowe. Że tylu ludzi przyjeżdża do Amsterdamu, do tych miejsc, specjalnie po to, aby wypalić skręta, wydaje mi się obciachowe. Starość, wstecznictwo?

W Amsterdamie pełno jest kamer, które cię filmują, i plakatów informujących, że jesteś filmowany. Miasto nie daje sobie rady z pilnowaniem ciebie: przede wszystkim musisz wiedzieć o kontroli, żeby się pilnować samemu. Nikt nie zrobi tego lepiej. Wszechobecne: zrób to sam, *popular mechanics*.

A tyle przy tym życzliwości. Jak tylko wspomnę, że jestem z Argentyny, wszyscy opowiadają mi o niej. Mówią o niej z serdecznością i ta serdeczność wobec niej w pewien sposób obejmuje i mnie: lubią mnie ze względu na nią. Ona to Holenderka o argentyńskich korzeniach, która jest u nich tutaj księżniczką. Nie wiem, jak strząsnąć z siebie tę sympatię do mnie jako osoby podstawionej, sympatię, która nie trafia do tego, do kogo trzeba. Niewiele jest rzeczy gorszych niż szacunek z niewłaściwego powodu.

Czas w hiperpodróży rządzi się logiką jeszcze bardziej przewrotną. Kiedy biorę prysznic, przypomina mi się główny targ w Kiszyniowie. Najpierw jestem zaskoczony; potem mówię sobie: jasne, przecież jest sobota, a w ubiegłą sobotę o tej porze tam byłem. I znów wydaje mi się to dziwne: niemożliwe, żebym był tam w ubiegłą sobotę, skoro od tego czasu zdążyłem zanocować w Brukseli, przeżyć pamiętne chwile w Monrovii, wynudzić się w Amsterdamie, pojechać na południe Holandii, a dziś wieczorem, jeśli Bóg nie zrządzi inaczej, czeka mnie zupa cebulowa w Paryżu. Sprawdzam: tak, na pierwszy rzut oka wszystko się zgadza – w ubiegłą sobotę byłem w Kiszyniowie. Pojęcie ubiegłej soboty to kolejna rzecz, którą hiperpodróż czyni fałszywą.

Już to mówiłem: podróżuję, ponieważ podróżowanie jest najlepszym znanym mi sposobem pokonywania czasu. Naturalnie jest to zwycięstwo krótkotrwałe, ale na parę godzin skuteczne. W czasie podróży czas staje się inny: czas podróżowania jest kompletnie różny od czasu siedzenia w jednym miejscu. Normalny tydzień w Buenos Aires mija błyskawicznie: w domu czas kurczy się, ścieśnia. Natomiast w tym tygodniu na przykład czas się rozciągnął, jest eleacki, dzieli się w nieskończoność, jak w opowieści o Achillesie i żółwiu. Więc, jak mówię, czas w okresie podróżowania robi się o wiele dłuższy, mniej ulotny. Poza tym każda podróż jakby punktuje czas ogólny: jeśli zostanę u siebie, miesiące umykają mi. Nagle przychodzi grudzień – i koniec, kropka. Jak ujął to, lepiej – o wiele lepiej – niż ktokolwiek, Quasimodo: *ognuno sta solo sul cuor della terra*

/ trafitto da un raggio di sole: / ed è subito sera (Każdy jest sam w sercu świata / przeszyty promieniem słońca: / a oto już wieczór[1]). Natomiast ilekroć wyjeżdżam w podróż, monotonia czasu zostaje przerwana: czas jest odmierzany, dzielony. To jak wyboje w jezdni: wstrząs przerywający idiotyczny pęd drogi, podczas której wszystko mija w sposób niezauważalny. W czerwcu ostatniego roku? Nie wiem, byłem w domu. Nie, mówiłem: lipiec. A, w lipcu, tak, byłem w Mozambiku. Tak, jasne, pamiętam, pewnego wieczoru…

Sobota, wolne przedpołudnie. Może wybiorę program porno soft: zobaczę próbkę Rembrandt-Caravaggio w Muzeum van Gogha, zrobię sobie miłą przechadzkę po pustych salach. Myślę o tej szczególnej samotności muzeów, tak wypełnionej obecnościami, niepokojącej, sugestywnej, i ruszam, lekki, poprzez mróz. Przed drzwiami tłumy. Kolejka, wycieczki szkolne, ekskursje emerytów, pary, parki, krzyki, turyści wszelkiej maści. Pięknie, że interesują się tymi sprawami. Interesują się – w taki sposób? Znaczy: kultura jako to, co powinno być – jazda, stara, idziemy do muzeum – *versus* telewizja – jazda, stary, włącz sport z Tinellim – jako to, co faktycznie jest? Chwilowo wszystko mi jedno, kto będzie górą.

Turyści nigdy nie robią zdjęć innym „turystom”. Robią, ma się rozumieć, megadużo zdjęć sobie samym, mężowie żonom, rodzice dzieciom, kochankowie kochankom. I miejscom, które będą pokazywać po powrocie – taka a taka wieża, taki kościół, taki pomnik – nigdy jednak innym „turystom”. To jedno z najbardziej osobliwych – i zdecydowanie fotogenicznych – zjawisk ostatnich dekad. Sterylnie czysty obraz pokazuje, że nie ma innych turystów, jakby sławne miejsca, które ludzie będą odwiedzać, były odkryciami dokonywanymi w samotności, Indiana Jones na karnawał.

To fascynujące, że na takiej samej monecie – weźmy dwadzieścia centów – może być wizerunek królowej i będzie to moneta holenderska albo Republiki i będzie francuska, albo Bramy Brandenburskiej

i niemiecka, albo Cervantesa i hiszpańska, albo papieża i będzie watykańska – a pozostanie ona wciąż tą samą monetą. Euro budzi mój podziw. Jeszcze nie tak dawno wszystkie te kraje miały swoje monety, najmocniejszy, najbardziej wyrazisty symbol współczesnego państwa. Teraz spotykają się w owych dzielonych okrągłych blaszkach. To naprawdę robi wrażenie: oglądać, jak ulega przeobrażeniu coś, co wydawało się niezmienne. I uczę się przy tym – wciąż na nowo – że nic nie jest naprawdę niezmienne, że wszystko ustawicznie się zmienia.

Zmienność księżyca, rosnącego, niknącego, niestałego: to, co tam widać, ustawione na niebie, nie będzie takie jutro. Zainscenizowana oczywistość tego, czego staramy się nie zobaczyć.

Miałem przyjemność zainaugurować, więc inauguruję: byłem chyba pierwszym, kto zaśpiewał oficjalny hymn Republiki Kuby w tym amsterdamskim hotelu; prawie na pewno pierwszym, komu przypomniał się na targu Waterside w Monrovii dawny strzelec klubu Boca z lat trzydziestych, Francisco Varallo. To było łatwe. Teraz wracam do Paryża, gdzie inaugurować jest prawdziwym wyzwaniem.

5. Paryż

Piętnaście minut temu biegłem jak szalony, żeby się nie spóźnić na pociąg. Nic poza tym się nie liczyło: wszystkie siły, cała uwaga, oddech skupione na jednym celu, obawa, że nie zdążę, spodziewana złość na samego siebie, jeśli faktycznie się spóźnię, i dalej, szybciej, dlaczego nie wyszedłem dziesięć minut wcześniej, niemożliwe, żebym był takim bałwanem, szybciej, niesmak, gniew, nadzieja, dalej, jeszcze jeden krok. Teraz oglądam pejzaż za oknem pociągu – smutek jałowego przedmieścia – i nie pozostało nic z tego, co było jedyną realnością.

Skoro postanowiłem prowadzić ten dzienniczek, myślę o tylu refleksjach, które mi – nam – wciąż umykają, i żałuję, że nie ma bardziej bezpośredniej formy zapisu niż niełatwa zawsze decyzja zatrzymania się, sięgnięcia po papier i ołówek, rysowania ideogramów. Przez moment wyobrażam sobie urządzenie – przypuszczam, że technicznie niezbyt odległe – które nagrywa myśli, tak często pojawiające się w mojej głowie wraz z podmiotem i orzeczeniem. Stają mi przed oczyma tysiące spraw, które nie uległyby zatraceniu. Staje mi przed oczyma horror świata, w którym wszystko byłoby odnotowywane. Właściwie to już nasz świat. Z obu stron wciąż mijają mnie domy.

Tak więc piszę te słowa, jak piszę: w zeszyciku w linię, w czarnych okładkach, piórem kulkowym z chowanym wkładem 0,5 milimetra, marki Gelato. Nazwa tego „zwierzęcia" przywodzi na myśl lody, po włosku, ale pióro jest chińskie i kupiłem je – w pudełku z dziewiętnastoma innymi – kilka miesięcy temu w Tepito, na dzikim bazarze w Mieście Meksyk, gdzie można dostać wszystko, od kradzionego telewizora po najnowsze perfumy, poprzez dowolną płytę DVD, pół kilo koki albo czasopismo dla niewidomych dzieci. Pióro kulkowe, *rollerball*, z powodów technicznych absolutnie mi nieznanych – jako że kultura współczesna opiera się na nieznajomości konstrukcji używanych przez nas narzędzi – pisze w sposób

przypominający bardziej wieczne pióro niż długopis, *birome*: jest tu połysk, wilgotność, konsystencja. A jeszcze niedawno nie wiedziano, jak sprawić, aby wkład się chował – tusz wysychał, przypuszczam – a zdejmowanie i nakładanie skuwki było bardzo uciążliwe. Wówczas pojawił się ktoś, kto to wynalazł: G2 firmy Pilot. Przez kilka lat G2, dzielący, dobrowolnie czy nie, nazwę ze służbami specjalnymi Fidela Castro, był jedyny i mogłem go dostać tylko w USA. Teraz jest podrabiany przez wielu i dotarł wszędzie – dotarł do Tepito. Chcąc spróbować zrozumieć globalizację, można by prześledzić cykle obiegu towarów: w jakim czasie nowy produkt trafia, podrobiony, do Tepito.

Francuski pociąg. Potężnej budowy jegomość, blondyn, dobrze ubrany, wgryza się w kanapkę. Robimy niewiele rzeczy bardziej pierwotnych niż to: odcinamy, odrywamy, miażdżymy zębami kawałki mięsa i chleba, żeby móc je połknąć, pochłonąć, zmetabolizować.

Zachowałem odruch; takie rzeczy trwają w człowieku. To moje zadowolenie – godne dobrego ucznia oczekującego aprobaty – z jakim podaję konduktorowi bilet, absolutnie odpowiedni, nienaruszalnie poprawny; wspomnienie sytuacji, kiedy nie do końca tak było, czasów, kiedy tak nie bywało. Uff, żałosna ulga pozostawania w obrębie prawa.

Albo może: w obrębie określonych praw.

W pociągu czytam w gazecie, że miliard ludzi na świecie nie ma dostępu do wody pitnej i że brak wody jest pierwszym powodem śmierci, przed głodem: osiem milionów ofiar rocznie, z czego połowa to dzieci poniżej piątego roku życia. W Monrovii widzi się pełno kobiet i dzieci niosących na głowach dziesięciolitrowe wiadra wody. Zastanawiam się, na jak długo muszę zostawić kran odkręcony, żeby napełniło się wiadro. Próbuję pomyśleć, o czym bym myślał w tym czasie.

Tym razem jestem w Paryżu naprawdę: ze względów zawodowych. Mam spotkać się z podpalaczem samochodów – młodym chłopakiem z imigranckiej rodziny arabskiej czy afrykańskiej, który dokonał zamachu przed kilkoma miesiącami i chyba wciąż tamci się boją, że policja będzie ich szukać, dlatego trudno to zorganizować. Dziwnie jest być w Paryżu – spacerować, wspominać, jeść i pić pyszności – jeśli się wie, że powodem pobytu są tamte płonące samochody, tamci chłopcy o śniadej karnacji.

Paryż znów stał się tym, czym jest dla mnie zawsze: miejscem, w którym już nie jestem młodym chłopakiem, jakim tu byłem. Nieraz trudno to wytrzymać. Może czasem powinno się unikać miejsc, w których czas wali ci się na głowę.

Byłem młody w świecie, w którym być młodym oznaczało wykorzystywać tę młodość, aby świat zmieniać; nie jestem młody w świecie, w którym być młodym to zajmować miejsce uprzywilejowane – a ci najbardziej uprzywilejowani nie mają zamiaru zmieniać świata, który ich rozpieszcza, tylko chcą z niego jak najwięcej wycisnąć. Usłyszę: jacy tam uprzywilejowani – a bezrobocie, a przemoc, a narkotyki, aids, brak perspektyw, wszystko to, czego ofiarami są przede wszystkim ludzie młodzi, ubodzy ludzie młodzi? W przypadku tych, którzy ubodzy nie są, wyraźnie widać różnicę między młodym i trochę mniej młodym: wszystko jest zrobione z myślą o tych przychodzących na końcu, wszyscy chcieliby – wszyscy chcielibyśmy? – być tacy jak oni.

Patrząc na kogoś dorosłego, starszego, trudno wyobrazić sobie, że ten ktoś był młody. Albo raczej: trudno wyobrazić sobie tę osobę młodą. Kiedy sam byłem młody, nawet mi to do głowy nie przychodziło. Teraz widzę na ulicy ludzi starych, którzy byli młodzi, kiedy byłem młody ja, i próbuję to zrobić – z fatalnym skutkiem. Zobaczyć – patrząc na tego jegomościa o obwisłych policzkach, tępym krowim spojrzeniu, smutnych barkach – przeszłość typu *flower power*, marycha, rock w latach sześćdziesiątych, długie blond włosy i świat przed sobą, to zobaczyć życie, które doprowadziło go stamtąd tutaj: ujrzeć ową destrukcyjną siłę.

Wiemy o tym, ale przykro wspomnieć, że życie jest siłą destrukcyjną.

Albo, inaczej mówiąc: bezsilnością, która wierzy, że tworzy.

Jak będę dorosły, zamieszkam w Paryżu znowu, na parę miesięcy, na jakiś czas. Chcę wiedzieć, jak by to było – zamknąć, być może, pewne koło.

Kiedy jednak przyjeżdżam do jednego z miast, w których mieszkałem – Paryża, Madrytu, Nowego Jorku – coraz trudniej mi się wyrwać z torów wytyczonych przez czas i zwyczaj. Tak jakbym w tych miastach mógł jedynie powtarzać, przerabiać – przeżywać od nowa? Melancholia w czystej postaci.

Dziś rano poczułem lęk przed zejściem do metra: przed utratą odzyskanego właśnie czaru Paryża z chwilą zanurzenia się w tej ogromnej kloace, która kanalizuje tłumy ludzi, jakby nie istniało miasto powyżej, tunel za tunelem, zrównując ze sobą Notre-Dame i McDonalda, deszcz i słońce, średniowieczne uliczki z hausmannowskimi alejami i blokami będącymi obrazem najbardziej występnego bogactwa. Musiałem jednak jechać, i w porządku, i zobaczyłem, że kolejny raz się mylę: to nie jest tak, że metro zrównuje; ono oddziela. W metrze wszyscy jesteśmy – bardziej albo mniej – ubodzy. Inni są z drugiej strony – nad nami.

Ale i ten wagon metra jest światem współczesnym/bliskim. Czarni, południowcy z Europy, Arabowie, Latynosi, Japończycy, Rosjanie, Azjaci z Indochin, Chińczycy, oczy tak niebieskie, że aż promieniejące, obok tak czarnych, że aż promieniejących, nos szeroki, płaski i nos haczykowaty, zadek gruby, wystający, obok zadka cofniętego, *potpourri*. *Potpourri* znaczy dosłownie: zgniły garnek, i mam w nosie poprawność polityczną – mocno mnie ona mierzi – poprawność broniącą różnorodności – ale zastanawiam się, jak wyglądałoby społeczeństwo, w którym o wiele trudniej byłoby wskazać, kto jest tym innym. Albo w którym o „inności" przesądzałyby

kryteria ekonomiczne, przynależność klasowa, a nie kolor skóry. Jeśli to w ogóle kiedykolwiek nastąpi.

Nie ma nic smutniejszego niż ubogi biały, któremu pozostaje jeszcze tylko rasizm, żeby mógł odczuwać wyższość. *White trash*, mówią o takich Amerykanie.

Momentami zaczynam wątpić, czy jeszcze potrafię podróżować – a była to jedna z moich nielicznych umiejętności. Jestem w Paryżu, ale podpalacze samochodów umykają mi. Muszę czekać. Co dwie–trzy godziny telefon – i czekanie. Brzmi to nieźle: Paryż bez pilnych zobowiązań. Ale jest zimno, pada, denerwuję się – i nie umiem swojej sytuacji wykorzystać. Właśnie to znaczy nie umieć podróżować.

Dlaczego tak mi psuje humor fakt, że nie mogę dorwać tego podpalacza? Z powodu poczucia obowiązku, którego wolałbym nie mieć? Z powodu dumy, którą powinienem okiełznać w bardziej ewidentny sposób? Z powodu zmysłu gry i obawy przegranej? Żaden z tych powodów nie odpowiada mi jako obraz mnie samego – a nie znajduję innych.

Czekając, czytam biografię Condorceta, matematyka, myśliciela doby Oświecenia, uczestnika rewolucji francuskiej. Condorcet to osobowość, która zawsze mnie pociągała. Czytałem go, umieściłem, przelotnie, na kartach swojej książki *La Historia*. Był markizem; wyobrażałem go sobie jako szlachetnie urodzonego *dilettante*, oddanego sprawie obrony poddanych, i podobała mi się ta postać. Teraz dowiaduję się, że jego tytuł budził wątpliwości, on sam zaś był ubogi. Nowa wersja życiorysu jest o wiele mniej atrakcyjna. Nie zawsze warto sprawdzać fakty.

Potem udobruchały mnie jego dyskusje z d'Alembertem, Turgotem, Wolterem: piękno myśli społecznej w społeczeństwie, które ulega przemianom i które przyjmie, kilka dekad później, niektóre z norm sformułowanych przez owych dżentelmenów. Już od dwóch stuleci wierzymy w to, co nam ci dżentelmeni przekazali: że wówczas, owszem, z myślenia płynął jakiś pożytek.

Nie wiem – skąd miałbym wiedzieć – co myśli ośmiu mężczyzn i pięć kobiet siedzących jak ja na ławkach na placyku wokół pomnika z brązu przedstawiającego silną nagą kobietę, która wyłania się spomiędzy kwiatów, jakby miała zamiar coś uratować: śpiew ptaków, nagłe słońce, niespodziewane ciepło zimy. Wiem za to – ma się rozumieć – że zastanawiam się, jak może mnie tak niepokoić krocze, skoro nic, co robiłem w ciągu tych dni, nie przygotowywało ani nie zapowiadało podobnej niedogodności, tak więc, ekstrapolując, aż boję się wyobrazić sobie, co myślą – twarze skupione, rozmarzone, zatroskane, obłudne – oni, ta pozostała trzynastka, miliony.

Nic do roboty, a cały czas spięty. Mistrz Antonio Di Benedetto poświęcił jedną z najlepszych powieści argentyńskich, *Zama*, „ofiarom oczekiwań".

Patrzę na starszą panią – osiemdziesiątka z hakiem, siwy koczek, skórzane sandały, klasyczna skromna stara Francuzka – rozmawiającą na ulicy z młodszym od siebie mężczyzną. Myślę, że była młoda, na przykład kiedy Niemcy okupowali Paryż, i że niewątpliwie coś robiła: udawała głupią, poszukała sobie faceta wśród nazistów, walczyła w ruchu oporu. Próbuję podsłuchać, co mówi, i słyszę tylko: *c'est ça la vie* – i ogarnia mnie lęk.

Niedziela rano, muszę wejść do internetu. Teraz się mówi: wejść do internetu, żeby powiedzieć: znaleźć się w sieci, po której krążą wiadomości. To znaczy: muszę wejść do internetu, a tam, gdzie nocuję, nie ma sygnału i wszystko jest zamknięte. Biorę laptopa, idę ulicą, co dwadzieścia, trzydzieści metrów zatrzymuję się, szukam jakiegokolwiek Wi-Fi, żeby się zalogować. Cyberżebrak, dziś rano.

Znajduję sieć, podłączam się. Spokojniejszy już, celebruję rytuał paryskiej kawy.

Przed miesiącem musiałem pojechać do Salwadoru, żeby napisać jeden z wywiadów; teraz dostaję pierwszą wersję, do korekty. Czasu mamy mało. Przy stoliku kawiarni Select na Montparnasse, z laptopem, próbuję uświadomić sobie, jak wyglądało wszystko niedawno, kiedy siedziałem w samochodzie członka gangu z Salwadoru, zaparkowanym w bramie jego domu w niebezpiecznej dzielnicy, o dziewiątej, dziesiątej wieczorem, on mówił, a po obu stronach przesuwały się cienie.

Kiedy Freddy M. pierwszy raz zobaczył człowieka deportowanego, przysłanego z Los Angeles, był pod wrażeniem jego tatuaży – i respektu, jaki ten człowiek powszechnie wzbudzał. Widać było, że jest inny niż wszyscy. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęli przybywać do kraju pierwsi Salwadorczycy deportowani ze Stanów za działalność w gangach przestępczych w Los Angeles. Nikt nie wyobrażał sobie wówczas, co się szykuje.

Salwador ze swoimi dwudziestoma tysiącami kilometrów kwadratowych jest najmniejszym państwem Ameryki Środkowej. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych tysiące Salwadorczyków wyemigrowało nielegalnie do USA: uciekali przed wojną albo przed wywołanym wojną głodem, albo przed głodem zwyczajnym. Większość osiedliła się w Los Angeles. W tym obcym mieście ich dzieci nie znajdowały dla siebie miejsca i często doświadczały przemocy ze strony działających w różnych dzielnicach gangów. Niektórzy zaczęli do tych gangów wstępować. Z czasem Salwadorczycy utworzyli dwa, które zyskały wielkie wpływy. Były to: Mara Salvatrucha-13 i Calle 18. Słowo mara *pochodzi ponoć od* marabunta *– żarłocznych mrówek dokonujących niekontrolowanych inwazji.*

Mara stanowiła formę samodzielnej społeczności, alternatywnej wobec społeczeństwa, które jej członków odrzucało albo nimi gardziło. W obliczu wszystkiego, co nowe i wrogie, mara odwoływała się do korzeni i proponowała zbiorową, zorganizowaną odpowiedź: utrzymanie wspólnej tożsamości. Grupy mara mnożyły się. Lokalne władze poczuły się zaniepokojone; zaczęły się deportacje. Członkowie band przenosili do swojego kraju wzorce kultury amerykańskiej. W San Salvador istniały już niewielkie bandy w różnych dzielnicach miasta, ale ich działalność zaczynała się od break dance, *a kończyła najwyżej bójką na noże. Deportowani z grup MS i 18 wprowadzili broń palną, spodnie* baggy, *ogolone głowy, tatuaże, znacznie więcej okrucieństwa – a także pewne zasady „biznesowe", które stopniowo przekształciły gangi w wielkie grupy interesów.*

W tamtych czasach Freddy miał dziesięć lat i w jego domu – inaczej niż w tylu domach w jego dzielnicy, na przedmieściach San Salvador – nie było awantur, kłótni, bicia: matka nie miała z kim się kłócić. Opowiadała mu, że kiedy był niemowlęciem, ojciec usiłował powstrzymać kumpla, który bił żonę, i tamten zadźgał go nożem. Ojciec leżał na ulicy, wykrwawił się i umarł. Jednak Freddy nie był pewien, czy matka mówiła prawdę. Faktem jest, że wychowała go sama – przez cały dzień pracując u innych ludzi – a opiekujące się nim dwie siostry rozpieszczały go niczym rozkapryszonego jedynaka. Sąsiedzi mieli go za tchórza, mięczaka. Skończywszy jedenaście lat, Freddy postanowił pokazać, że sam da sobie radę.

– W mojej dzielnicy były chłopaki, które przyjechały niedawno ze Stanów, deportowani; nikt im nie podskoczył. Ćpali, kradli, ludzie się ich bali. Zacząłem się z nimi zadawać, więc i mnie szanowano.

Chłopcy należeli do MS-13, najpotężniejszego gangu; kazali Freddy'emu czekać trzy lata, póki go wreszcie nie przyjęli: tego dnia czterech jego kamratów biło go ciężko przez trzynaście sekund. Freddy miał czternaście lat: jeśliby się rozpłakał albo jęknął, nie zostałby przyjęty. Wytrzymał; zaczęli go nazywać Kruger. Od tego dnia należał do gangu: stał się homeboy *albo* homie.

– Byli dla mnie rodziną, takimi, co cię kochają, troszczą się o ciebie, gotowi są dla ciebie ryzykować życie. Nauczyli mnie dobrych i złych rzeczy: szanować innych, podtrzymywać jedność, solidarność. Ale też rabować, zabijać, ćpać, handlować narkotykami.

Kiedy pierwszy raz miał wbić nóż w ciało, zawahał się. Schwytali jednego z 18, bo mieli się za coś zemścić – zawsze były jakieś porachunki do załatwienia – i kumpel powiedział mu, żeby wbił nóż. Krugerowi przypomniały się filmy, w których szło to tak gładko, ale nie mógł. Jeden z homies *popchnął jego rękę w kierunku tego cudzego ciała – a potem znów nazywali go tchórzem i mięczakiem. Następnym razem już się nie zastanawiał. Od kleju i marihuany przeszedł do cracku i kokainy, zatracił współczucie i litość i wytatuował sobie emblematy swojej „dzielnicy".*

– Tatuaże mówią, że wytrwam zawsze, że nie zdradzę. I że nie wyprę się przyjaciół, nie wyprę się siebie samego: jeśli wróg zatrzyma mnie na ulicy, nie mogę powiedzieć, że nie jestem z MS, bo mam to wypisane na sobie. Tatuaż zmusza mnie do tego, żebym był dalej sobą, choćbym nie chciał.

Mara nie mają szefów, ale jest palabrero, *„wódz" – ktoś, kto przez szacunek zyskał prawo przemawiania do grupy i jakby kierowania nią. Jest też skarbnik,*

który odbiera zdobyte wspólnie pieniądze i kupuje za nie narkotyki i broń. Mara to jednostka terytorialna opierająca swoją tożsamość na konfrontacji z gangiem nieprzyjacielskim: musi utrzymywać kontrolę nad swoją dzielnicą – bić albo zabijać każdego pojawiającego się wroga. Z poczucia dumy i żeby móc dalej pilnować interesów związanych ze ściąganiem haraczu i sprzedażą narkotyków. Dla homies *wyjście poza własny teren wiąże się z niebezpieczeństwem; to prawdziwa operacja militarna – w każdej chwili może pojawić się wróg. A kodeks zachowania oparty jest na przemocy: żeby zyskać „szacunek", członek gangu musi wykazać się odwagą – albo „furią": Kruger wciąż opowiada z niejakim podziwem o* homie, *który spalił żywcem szwagierkę.*

– Bałeś się, że zostaniesz zabity?

– Nie, myślałem bardziej o swoim gangu niż o swoim życiu. Nie miałem dzieci, nie miałem nikogo; jedyne, co się dla mnie liczyło, to pierdolić i pokazywać moim homies, *że jestem zły naprawdę, że mogą mi ufać. Nigdy nie liczyłem na to, że będę żył, wiedziałem, że w każdej chwili mogą mnie zabić, i nie zastanawiałem się, co będę robił dalej. Nie myślałem, że dożyję tego wieku. Myślałem tylko o tym, co będę robił za dziesięć minut: kończy mi się crack, muszę załatwić więcej.*

Kruger ma dwadzieścia sześć lat, ale wygląda na znacznie starszego. Zdaje mu się, jakby przeżył wieki, teraz jednak ma nadzieję, że może „dożyje starości, czterdziestki, pięćdziesiątki". Tamte lata w jego życiu pełne są historii przemilczanych – i naznaczone śmiercią różnych osób.

– Nie czuję się dumny, ale też nie żałuję.

Siedział kilka razy w więzieniu, wyszedł na wolność, być może zabijał. Wciąż uważa, że najlepsze, co zrobił w tamtym czasie, to ocalił życie towarzyszowi:

– Jechaliśmy autobusem z jednym homeboy *i stał tam gość z 18, którego nie zauważyliśmy, i chciał pchnąć kumpla nożem w szyję, jednak odbiłem jego rękę; zranił mnie, ale uratowałem życie człowiekowi. To pewno najlepsze, co zrobiłem.*

– I jak się skończyło?

– Wyrwaliśmy gówniarzowi nóż i dźgnęliśmy go. Umarł czy nie umarł, tego nie wiem, nie pytałem kumpla.

Mówi Kruger jak gdyby nigdy nic.

– A najgorsze?

– Najbardziej przykro mi z powodu czegoś, co opowiedziałem tylko jednemu człowiekowi: zgwałciłem dziewczynę. To jedyne, czego ciągle żałuję, wciąż słyszę jej

jęki, jakby to było wczoraj. Przeklinam sam siebie, wiem, że byłem durniem; jeśliby ta kobieta chciała czegokolwiek, żeby się poczuć pomszczona, dałbym jej to, ma do tego prawo. Wziąć tak kobietę to niegodne mężczyzny, nie jestem godny nazywać się mężczyzną po tym, jak zrobiłem takie świństwo.

Kruger przez lata był całkowicie uzależniony od kokainy – mroczne lata, kiedy tylko kombinował i kradł, żeby kupować crack. Któregoś dnia pewien homeboy *bardzo mu bliski poprosił go, żeby poszedł się z nim bić. Kruger nie poszedł, bo przedawkował, i jego kumpel umarł, wykrwawiwszy się: policja zatrzymała go, ale nie chciała przewieźć do szpitala. Tej nocy Kruger postanowił rzucić ćpanie. Pomyślał, że w ten sposób nada śmierci przyjaciela jakiś sens.*

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zbliżył się do organizacji „nieaktywnych członków gangów" o nazwie Homies Unidos, która stara się wyciągać chłopców ze świata przemocy. Tam to za sprawą Ringa, chłopaka mającego opinię twardziela, zaczął uświadamiać sobie, że marnuje życie. Ringo też zginął zastrzelony, ale na jednym ze spotkań Kruger poznał pielęgniarkę, związał się z nią, mieli dziecko. Chwilami oddalał się od ulicy, chwilami do tego świata wracał. Czasem synek prosił go o słodycze, wodę mineralną, Freddy nie mógł mu kupić i był załamany. Nie udawało mu się znaleźć pracy, nie miał pieniędzy – i szedł kraść. Mówił, że skoro kradł na narkotyki, to jak nie miałby kraść dla swojego dziecka. Integracja członków gangu mara ze społeczeństwem jest trudna, a Freddy miał – ma – przeszłość wytatuowaną na skórze.

– Kiedy jesteś splamiony, nie dostaniesz pracy, będą cię gnębić, nie dadzą ci wrócić. Nawet uchwalono prawo, które pozwala aresztować każdego, kto ma tatuaże gangu, choćby nic nie zrobił.

W roku 2003 rząd Salwadoru uchwalił tak zwane prawo twardej ręki, na mocy którego można aresztować każdego, kto ma tatuaże, a także sądzić nieletnich. Prawo to zostało uznane za sprzeczne z konstytucją, jednak policja i ugrupowania parapolicyjne wciąż je stosują na własną rękę. Tymczasem gangi mara rozszerzyły się, obejmując zasięgiem pozostałe kraje Ameryki Środkowej; szacuje się, że mają już około stu tysięcy członków. Ludzie ci pobierają haracz za „ochronę" od mieszkańców, właścicieli sklepów, kierowców przewożących towary, prawdopodobnie są też bardzo aktywni w handlu narkotykami, bronią i ludźmi, a ich działania sięgają poza granice jednego kraju. Korzystając z kontaktów międzynarodowych, mogą przygotowywać ucieczki do krajów ościennych – gdzie

udzielają im schronienia towarzysze z gangów – albo werbować do większych operacji członków gangów, pandilleros*, których nie zna policja lokalna.*

Niektórzy twierdzą jednak, że obciążanie tymi przestępstwami gangów stanowi zasłonę dymną: że największe interesy – takie jak handel narkotykami, bronią, ludźmi – prowadzone są nie przez gangi, lecz przez ludzi znacznie potężniejszych. W roku 2005 Salwador stał się krajem o najwyższym wskaźniku zabójstw w całej Ameryce Łacińskiej: 54,7 na sto tysięcy mieszkańców. Źródła rządowe podają, że sprawcami dwóch trzecich spośród tych zabójstw są członkowie gangów mara. Pewien funkcjonariusz bezpieki stwierdził jednak nieoficjalnie, że to tylko jedna trzecia, ale rządowi wygodnie jest obwiniać o wszystko gangi. W Salwadorze każdy może mieć broń: często w barach i restauracjach przy wejściu wisi informacja o zakazie wstępu z bronią. Społeczeństwo oczekuje zapewnienia większego bezpieczeństwa, a wielu zaczyna przebąkiwać, że demokracja nie jest zdolna go zaoferować.

– Kto tutaj, w Salwadorze, nie będzie chciał mieć pistoletu, jeśli trzeba chronić się przed tyloma rzeczami?

Przed trzema laty ktoś w niejasnych okolicznościach ostrzelał Krugera i jego kolegę. Kolega zginął, Kruger został trafiony w klatkę piersiową. Przez wiele dni walczył o życie. Pomyślał wówczas, że jeśli Bóg go zachował, to pewno go do czegoś potrzebuje i trzeba zacząć żyć inaczej.

– Bóg nigdy nie pozwolił, żeby mnie zabili. Wszyscy moi koledzy zginęli, a ja nie; po coś mnie zachował. To na pewno nie jest jakiś zły cel, bo Bóg nie jest wrogo nastawiony, chociaż owszem, pozwala by cię spotykały złe rzeczy, bo masz się przy tym nauczyć. W chwilach gniewu bluźniłem, uważałem, że Bóg nie istnieje, ale wiem, że istnieje i że po coś mnie zachował.

Teraz Freddy boi się umrzeć, boi się, że może go zabraknąć, kiedy dzieci będą go potrzebować, że nie dopilnuje, aby nie były takie jak on. Bardzo się martwi o to, żeby nie były jak on. Freddy wie, że jego „plamy" – które inni, mądrzejsi, nazywają stygmatami – nie pozwalają mu zdobyć stałej pracy. Pracuje więc jako kierowca, jeżdżąc cudzą taksówką, i marzy, by dorobić się własnego samochodu. Czasem zatrzymuje go policja; każą mu podwinąć rękawy i kiedy widzą tatuaże, grożą mu i ściągają haracz. Freddy żyje w poczuciu zagrożenia.

– Niebezpieczeństwo polega na tym, że mogą chcieć mnie zabić sami homies*, bo się ujawniłem. Albo że mnie złapią na ulicy tamci z 18 i zabiją za tatuaże. Albo że policja pewnego dnia oskarży mnie o cokolwiek. Jestem ciągle członkiem gangu.*

W dniu, kiedy mnie zabiją, w dziennikach nie napiszą, że zamordowano taksówkarza, tylko że zginął członek gangu. Po co więc mam oszukiwać siebie i myśleć, że już nim nie jestem, skoro jestem naznaczony na zawsze. Tak, ja jestem członkiem gangu, ale nie aktywnym, nie stosuję przemocy.

Chwilami Freddy czuje się załamany, ma wrażenie, że nie wyjdzie z dołka, ale pociesza się, że jego sześcioletni syn bierze z niego wzór, próbuje go naśladować.

– Daje mi to poczucie, że moje życie ma jakiś sens, że jest ktoś, kto nie uważa mnie za straconego. I dzięki temu jakoś ciągnę.

– A nie myślałeś, żeby wyjechać?

– Do Stanów?

W Salwadorze wyjechać to emigrować do Stanów Zjednoczonych. Mieszka tam co czwarty Salwadorczyk, a pieniądze przysyłane przez emigrantów stanowią 20 procent PKB. Salwador żyje w znacznej mierze ze swoich emigrantów. I tylko bogacze nie chcą emigrować do USA – ponieważ mogą sobie pozwolić na zakupy, kiedy zechcą.

– Myślałem o emigracji, pewno, jak wszyscy. Mam tam siostrę, która mi mówi: przyjeżdżaj. Ale boję się, co może mnie spotkać, przy całej ich dyskryminacji. Jak ktoś jest tutaj, znaczy, że nie może być w Stanach. My tłumaczymy: ej, my tam byliśmy, amerykański sen może być koszmarem. Ale emigranci zawsze opowiadają o najlepszych stronach życia w innym kraju: o samochodzie, telewizorze – i wysyłają pieniądze. Nie chcą tylko mówić o upokorzeniach. Gdyby życie na emigracji było takie łatwe, nigdy nie zawiązałyby się gangi, może nie? Poza tym ja nie chcę uciekać. Chcę mieszkać w swoim kraju, tylko takie to trudne...

Księżyc zniknął. To faza, którą w naszych językach nazywamy, paradoksalnie, nowym księżycem, nowiem. W Paryżu nów – brak księżyca.

Podoba mi się, że w mieście tak wyrafinowanym i zamożnym jak Paryż funkcjonują jeszcze owe dawne wynalazki: schody. Budynki w starych, szacownych dzielnicach Paryża powstawały w czasach, w których nikomu do głowy nie przychodziło, że można zainstalować windę – wind nie ma, nie ma też na nie miejsca. Eleganckie panie i panowie wspinają się mozolnie po stopniach, jak czynili ich przodkowie. Schody są czymś genialnym, wymyślonym przed wiekami, już przez nas nie zauważanym,

bo tak wtopionym w pejzaż. Drzwi stanowią z pewnością tylko jedno z możliwych rozwiązań umożliwiających komunikację i jednocześnie rozdzielenie dwóch pomieszczeń, niemniej wobec drzwi wahadłowych, rozsuwanych, zasłon sznurkowych wydają się czymś absolutnie oczywistym. Rzeczy osobiste z pewnością można by transportować na wiele innych sposobów, nie tylko między dwiema ściankami ze skóry, plastiku, polipropylenu, z zamknięciem od góry albo z boku. Pierwsze księgi organizowane były w innej formie niż pewna liczba kartek przyciętych równo i zszytych bądź sklejonych między okładkami. Schody również nie są czymś oczywistym, choć za takie je mamy: cóż za doskonałość w tej idei niwelowania wysokości poprzez dzielenie jej na dziesiątki równo rozmieszczonych odcinków, nazywanych przez nas stopniami; ileż obliczeń, koniecznych, by to działało – wszyscy wiemy, że stopnie zbyt wysokie albo zbyt szerokie, albo nieregularne, albo krzywe niweczą funkcjonalność. Najlepszy wynalazek to ten, którego już nie zauważamy.

Obok mnie w metrze mężczyzna koło pięćdziesiątki, w ubraniu robotnika, czyta gazetę zatytułowaną „Wiadomości Robotnicze". Studiuje ją, tak bym to ujął. Sądzę, że Francja należy do krajów, które najmocniej zachowały to, co nowobogaccy nazywają starą polityką: lewicowi wyborcy, związki zawodowe, obrona uzyskanych praw. Francuzi wychodzą na ulicę za każdym razem, kiedy ze strony rządu grozi im, że będą więcej pracować, mniej zarabiać, że pogorszy się opieka zdrowotna albo zostanie utrudniony dostęp do edukacji. Na siedzeniu przede mną czterdziestolatek o zmierzwionych włosach trzyma w rękach Bukowskiego. Jeszcze inny, ciemnoskóry dwudziestoparolatek – komiks z gołymi babami.

Znaczy: nie lubią, kiedy ktoś się tyka ich praw, to wszystko. W tych dniach odbywają się strajki i manifestacje studenckie i niektórzy chcą je porównywać z zamieszkami z maja '68, ale różnica jest taka jak między tamtą epoką a współczesną. Studenci '68 chcieli dokonać destrukcji państwa, żeby zbudować je na nowo; studenci współcześni domagają się ze strony państwa ochrony. Tak to wygląda. Walczymy – orzemy, powiedział komar siedzący na grzbiecie wołu – żeby znów zdobyć coś, odrobinę,

z tego, co wówczas chcieliśmy zniszczyć, a przede wszystkim czym pogardzaliśmy.

Już jestem gotów wyjechać z Paryża, nie ujrzawszy podpalaczy, kiedy przyjaciel pewnej znajomej mówi mi, że prowadzi treningi z młodymi bejsbolistami z przedmieścia i może umówić kilku na spotkanie ze mną. To moja ostatnia szansa. Wsiadam do pociągu, który po godzinie dowozi mnie do Meaux – ośrodka, *jadis*, produkcji musztardy. Pada bez przerwy. W szatni obok boiska do koszykówki trzej chłopcy imigranckiego pochodzenia – jeden z Mali, drugi z Algierii, trzeci z Senegalu – wypowiadają się o zamieszkach bardzo pozytywnie: dzięki nim znaleźli się w centrum zainteresowania. Inaczej nikt by nie pamiętał o zabitych dwóch młodych Arabach – od czego się zamieszki rozpoczęły. Twierdzą, że czasem dobrze robi społeczeństwu taki wstrząs, chociaż oni sami nie brali w zajściach udziału. Nie poszli, w ich dzielnicy nic się prawie nie działo, to był ramadan, a w czasie ramadanu dobrzy muzułmanie zachowują się spokojnie; nie poszli. Już od dłuższego czasu rozmawiam z ludźmi, którzy owszem, popierają, ale mówią, że nie poszli, nie byli. To już coś znaczy.

Zaskakuje mnie natomiast moje własne życie: jeden z czwartków marca, deszczowy wieczór, niebo w kolorze fuksji, dalekie przedmieście, szatnia w ubogim klubie sportowym, Algierczyk, Senegalczyk, Malijczyk. I ja, który ich wysłuchuję. Ja, który udaję, że to, co mówią, interesuje mnie, choć już wiem, że do niczego mi się nie przyda.

Chłopcy opowiedzieli mi też, że imigrantów pochodzących z Maghrebu jest około pięciu milionów, ale nie mają żadnego przedstawiciela w parlamencie. Sami narzucają sobie ograniczenia, twierdził jeden z moich rozmówców. On na przykład chciał zostać dziennikarzem, ale pomyślał, że nie, że to nie dla niego. Jak miałby być dziennikarzem z takim nazwiskiem i taką twarzą. Mówili też, że nazywanie ich imigrantami drugiego pokolenia to kiepski żart: nie są imigrantami drugiej generacji ani dziewiątej, ani czwartej, bo tu się urodzili. I że idea imigrantów drugiej generacji w ogóle nie ma sensu. Patrząc racjonalnie, są Francuzami. To bez

sensu: albo jesteś imigrantem, albo nie jesteś, nie możesz być – ich zdaniem – „imigrantem drugiego pokolenia", bo urodziłeś się w kraju, do którego niby wyemigrowałeś. W takim wypadku nie jesteś już imigrantem, podkreślają. Przedtem jednak spytałem ich, skąd są, i jeden odpowiedział: Jestem Algierczykiem. Roześmiałem się, wytłumaczyłem dlaczego; Algierczyk się zaczerwienił. Albo historia Francka, który ma na imię Mamadou, ale zaczął pracować w *call center,* gdzie kazano mu przyjąć imię prawdziwie franko-francuskie. Więc nazwał się Franck, kiedy się jednak odezwie, widać po nim, skąd jest, i kumple drwią z niego, i mówią na niego Franck, i robią sobie dowcipy, chociaż są wściekli, tylko nie wiedzą na co: na niego, na jego szefów, na system, na cały świat.

Kraj przyjmujący imigrantów dowodzi swojej życzliwości, szacunku, dobrych chęci – aż zaczyna mieć ich dość. Jak ładna dziewczyna, kiedyś, w wieku piętnastu lat, rozbawiona tym, że chłopcy się za nią oglądają, że na nią gwiżdżą, teraz zaś, w wieku dwudziestu, wściekła, że każdy jej krok/ruch bioder prowokuje spojrzenie, komentarz, rozbudza oczekiwania. Gorzej mają jednak te, na które nikt nie zwraca uwagi. Pod naporem okropnych metafor przychodzi mi do głowy kolejna klasyfikacja świata: można by podzielić kraje na te, do których się emigruje, i te, do których nie. I nawet zrobić rating: Stany Zjednoczone byłyby pierwsze, bo mają piętnaście milionów imigrantów, tamten kraj byłby drugi, jeszcze inny – trzeci.

Z pewnością nie powinien, ale ciągle robi na mnie wrażenie widok dwóch mężczyzn całujących się całą duszą, z językiem i zaangażowaniem. A jeszcze większe wrażenie robi na mnie to, że zaraz potem twarze, rozdzieliwszy się, są zazwyczaj absolutnie obojętne. Zawsze uważałem, że aby się kochać, para nie potrzebuje nikogo więcej; czasem myślę, że homoseksualizm jest formą zwątpienia we własne możliwości miłosne. Tak czy tak, to mój ostatni wieczór. Mżawka, arktyczny ziąb dobry dla fok, idę przez Paryż, ponieważ ciągle spłacam swój dług nostalgii, a jedyne osoby, które są dostatecznie macho, żeby spacerować w taki wieczór, to dwie czy trzy pary gejowskie. Poza tym żywej duszy.

Lubię chwile niemające powrotu. Wychodzę z użyczonego mi domu, w którym nie ma nikogo i w którym spędziłem te cztery dni; mam zostawić klucze w środku. Nim zatrzasnę, ostatni raz ogarniam spojrzeniem wnętrze – patrzę, czy przypadkiem czegoś nie zapomniałem. Stojąc przy otwartych drzwiach, mam świadomość, że kiedy je zamknę, wszystko, o czym mogłem zapomnieć, zostanie nieodwołalnie w środku. Lubię takie momenty, niemające powrotu, jak wszystkie.

(Chwile, które uwidaczniają wyraźniej istotę czasu).

Coraz większą ulgę przynoszą mi lotniska – nie-miejsca, jak to ujął ów Francuz – a więc miejsca, które niczego ode mnie nie wymagają.

Powietrze na lotniskach jest zawsze podobne, ale nigdy identyczne. Występują turbulencje: już dawno samoloty przeobraziły się w środek transportu całkowicie demokratyczny, w którym spotykają się ze sobą osoby, które normalnie się nie spotykają. Na lotniskach czekają na swój lot babcie wracające do kraju, skupione tylko na tym, żeby nie rzucać się w oczy – w przyspieszeniu czasów współczesnych nie ma nic bardziej plebejskiego niż stara kobieta z nogami jak kiszka związana gumką opadającej pończochy. Czekają jej córki i synowie pracujący na emigracji, w drodze na miesięczny urlop u siebie, wysztafirowani do przesady, ponieważ mają pokazać, że znoszenie udręk zadawanych przez rasistów jednak na coś się zdało. Czekają z plecakami młódki o hipernordyckich kształtach, których rodzice mogą pozbyć się imigranta stojącego obok jednym splunięciem na ziemię, panowie w nieskazitelnych garniturach, którzy nie muszą nawet myśleć o splunięciu, dyrektorzy, którzy pod pretekstem jakiegoś zebrania wyjeżdżają na trzy dni na Karaiby z najjędrniejszą sekretarką, a także sekretarki mniej jędrne, które nie załatwiły sobie dyrektora i we trzy lecą na Karaiby, ale płacą w ratach. Są drużyny piłkarskie, które przegrały 1:0, drużyny pewne, że wygrają 4:1, drużyny, których wyników nigdy nie poznamy, piloci zaczesujący siwiznę żelami z free-shopu, stewardesy starannie układające włosy, dziewczynki,

kobiety więcej niż tęgie, pracownicy tak pełnych współczucia organizacji pozarządowych, plantacje dzieci, które płaczą wszystkie naraz, sześciu artystów reprezentujących różne gatunki sztuk, diler kokainowy, którym może być *any of the above*, dziennikarz, rad, że nareszcie załatwił sobie delegację, matki z dziećmi, które zobaczą się z ojcem po bardzo długim czasie, i wszyscy ci ludzie, których nie sposób opisać. Zawsze kiedy wsiadam do samolotu, patrzę na nich przez chwilę i zastanawiam się: jakie to dziwne, mieć świadomość, że możemy umrzeć razem.

Albo raczej: że możemy umrzeć osobno w tej samej przestrzeni.

Na ogół jednak docieramy potem do innego lotniska, jakże podobnego. Na lotniskach powietrze jest zawsze bardzo podobne i mówi się po angielsku, w języku, którego nikt dobrze nie zna i który znają wszyscy, i który nas zrównuje z sobą. Powietrze jest bardzo podobne, ale nie jest identyczne, bo za bardzo miesza się z zapachami i kolorami lokalnymi. W takim razie, aby naprawdę stworzyć enklawy, aby móc zaoferować na lotnisku w Caracas miejsce, w którym powietrze będzie identyczne z powietrzem lotniska na Tajwanie, wymyślono salony dla VIP-ów, dla pasażerów klasy Mężczyźni. Gdzie udają się ci, którzy kiedyś mieli monopol na samoloty, a teraz chronią się w swoich starannie oddzielonych przestrzeniach. W salonach dla VIP-ów są zawsze takie same fotele, taki sam szampan i taka sama coca-cola, takie same orzeszki i kanapki, takie same czasopisma, takie same telefony – pozwalające ubijać wielkie interesy – takie same komputery, wielkie okna z widokiem na samoloty i tacy sami ludzie. I powietrze jest tam zawsze takie samo: czyste, odświeżone, absolutnie przejrzyste, z tym zapachem braku zapachu, dość rześkie – niczym powietrze w nowym amerykańskim samochodzie. Tak sobie wyobraża mój przyjaciel Rajiv – dwunastoletni żebrak z Bombaju, który opowiedział mi swoje życie, jakby miał osiemdziesiąt cztery lata – powietrze, którym oddychają bogacze w tym swoim odległym miejscu zamieszkania o nazwie, jak mówi, New Work.

I ta malutka jasnowłosa dziewczynka o anielskim wyglądzie, która przy urządzeniu do prześwietlania bagażu prosi policjanta, żeby sprawdził lepiej: nie prześwietlił misia w jej torebce; proszę, on też.

Czyli mamy tę jakże współczesną ideę domagania się zwiększonej kontroli, ponieważ każda kontrola przynosi korzyść: prosimy, by nas pilnowano dla naszego dobra. Bezpieczeństwo, doktryna naszych czasów.

A teraz żal przelatywania nad krajobrazami, które dla mnie należą do najpiękniejszych na świecie – południe Francji – i lecieć, lecieć, lecieć, tęsknić za nimi z tak bliska i tak daleka.

I w dodatku bez księżyca – ciągle nów.

6. Barcelona

O mało nie rozdeptałem gołębia. Plac Kataloński – centrum Barcelony – pełen jest gołębi. Nieomal go rozdeptuję, potykam się o niego i myślę, że gołębie pozwalają wypowiedzieć zdanie głupsze niż sam gołąb – i uświadamiam sobie, że wszystko to już mi się przydarzyło. Nie chodzi o *déjà vu*; pamiętam wyraźnie niedzielny ranek latem 1976 roku, kiedy szedłem tą samą drogą, o mało nie rozdeptałem gołębia, pomyślałem, że gołębie pozwalają wypowiedzieć zdanie głupsze niż sam gołąb – i była to myśl absolutnie świeża, teraz zaś – niesmak: nie powinienem myśleć tego samego co trzydzieści lat temu, tym samym zdaniem, o tym samym innym gołębiu, ja inny na darmo.

Zresztą nie mogę przez całe życie tłumaczyć się ze zdań.

Zawsze mnie zadziwiało, że Barcelona może być tak dwojaka: tak ludowa, śródziemnomorska, uliczna w swoich najstarszych dzielnicach, tak sztywna, mieszczańska, ugrzeczniona w dziewiętnastowiecznej strefie Ensanche. Jednak to, co kojarzymy zwykle z katalońskością, to pejzaż Ensanche: Europejczycy Hiszpanii, poważni, pracowici, rozsądni, odpowiedzialni, fuj.

Była to, jak zawsze, ucieczka bogatych, ich egoizm. Kiedy bogaci barcelończycy doszli do wniosku, że zasługują na życie w lepszych warunkach, nie przyszło im do głowy remontować stare dzielnice. Zostawili je ubogim, uciekli wyżej i tam, na obszarze bardziej czystym i uporządkowanym, zbudowali sobie Ensanche. Tym sposobem zachowała się niepowtarzalna średniowieczna dzielnica Barcelony: przetrwała – jak tyle innych rzeczy – dzięki porzuceniu.

Zawsze wyobrażam sobie przeszłość jako miejsce, w którym ludziom było raczej zimno niż gorąco.

Dziś w gazecie Eduardo Mendoza mówi, że „w chwili, kiedy Barcelona staje się miastem olimpijskim, kończy się wielki sen. Uświadamiamy sobie wówczas, że już nie dokonamy wyczekiwanej rewolucji, zaprzątnięci sportem, designem, cywilizowaną urbanizacją, tymi sprawami. Rozsądnymi i uporządkowanymi, niemającymi nic wspólnego z owym snem o wolności i sprawiedliwości, którym w sposób nieco dziecinny karmiło się całe pokolenie".

Dziś mija trzydzieści lat od dnia, który dopiero potem zaczął być dla mnie ważny. Owego dnia byłem w Londynie: pracowałem jako panna służąca, sprzątałem na godziny. Wyjechałem z Buenos Aires dwa miesiące wcześniej. W kraju zaczynały się mnożyć porwania i zabójstwa i nie widziałem powodu, aby zostawać. Polityka prowadzona przez Montoneros już mnie nie przekonywała; opuściłem ich, a bliski druh – pozdrawiam cię, Benjamínie Isaacu Dricasie, stary Trepie, dziękuję – wytłumaczył mi, że w tej sytuacji zostać byłoby bardzo niebezpiecznie, dla mnie i dla nich. Wyjechałem; myślałem: pokręcę się pięć, sześć miesięcy, wrócę, jak się wszystko uspokoi. Tak więc owego dnia, posprzątawszy cudze mieszkanie, jechałem w Londynie metrem, o szóstej po południu, w zimowym chłodzie, i kątem oka czytałem mrożące krew w żyłach wiadomości w gazecie. Przyciągnął moją uwagę jeden z nagłówków: Wojskowi przepędzili kurwę. Wydał mi się dość niewybredny – choć nie czułem, żeby miał ze mną coś wspólnego. Właściciel gazety, wysiadając, zostawił dziennik na siedzeniu – pożółkły, wieczorny, angielski. Wziąłem gazetę i odnalazłem nagłówek; wojskowi nazywali się: Videla i towarzysze, kurwą była Isabelita. Przeczytałem tekst z zaciekawieniem, ale i tak nie dotarło do mnie, że mówił o moim życiu. Tak bywa z gazetami, tym razem jednak było to zbyt brutalne. W rezultacie nie zainteresowałem się specjalnie tematem – w tamtych czasach, bez internetu, z bardzo drogimi połączeniami telefonicznymi, nie było to łatwe. Potem zrozumiałem, że z powodu tej informacji będzie musiało minąć wiele lat, nim wrócę do domu – albo raczej: zacząłem nazywać domem inne miejsca. Dziś mija dokładnie

trzydzieści lat od tego dnia; jestem w Barcelonie, za chwilę mam się spotkać z Afrykańczykami, którzy na łodziach uciekli od swojego życia. Wszystko jest jednak odmienne, odrobinę. Ja – starszy i, jak zawsze, daleko.

Od jakiegoś miejsca, daleko.

Przed spotkaniem z moimi dwoma Afrykańczykami zjem jeszcze obiad w Ritzu: marmury, lniany obrus, zupa rybna z tuńczyka i pierś kaczki w sosie z różowych grejpfrutów. Chcę wyobrazić sobie, że próbuję się zatrzymać, rozejrzeć. Mówię, że z siebie kpię.

Kiedy Koné przeniósł się z ojcem do Abidżanu, myślał, że jego problemy się skończyły. Koné Siaka miał osiemnaście lat i nie znał matki – zmarła wkrótce po jego urodzeniu. Wychowała go babka ze strony ojca i ojciec. Mieszkali w Korogo, mieście na północy Wybrzeża Kości Słoniowej. Był jedynakiem; ojciec nie zdołał uzbierać pieniędzy na powtórny ożenek.

– W Afryce małżeństw nie kojarzy miłość, kojarzą pieniądze.

Koné nie chodził do szkoły. Zaczął pracować, nim skończył dziesięć lat: czyścił buty, dźwigał pakunki, robił, co się trafiło. Ojciec handlował na targu ubraniami i nigdy im nie starczało pieniędzy. W Abidżanie dostał jednak pracę jako konduktor w autobusie będącym własnością kolegi i wydawało się, że wszystko idzie ku dobremu. Koné dalej wykonywał różne prace dorywcze, mieszkali w chatce o powierzchni piętnastu metrów kwadratowych, ale przynajmniej codziennie mieli co jeść. Kolega ojca wciągnął go do partii – Zgromadzenia Republikanów (RDR), na której czele stał muzułmanin z północy Alassane Ouattara. W Abobo, jednej z najbiedniejszych dzielnic miasta, Siaka werbował członków, organizował dla nich pomoc, prowadził ich na manifestacje.

– Tata miał dar wymowy; potrafił przekonać ludzi do wielu rzeczy. Na tym polega bycie politykiem, prawda? A potem, jak politycy dojdą do władzy, zapominają o wszystkim.

Dzięki polityce Siaka stał się ważną osobą w dzielnicy – i dostawał niewielkie gratyfikacje. Żyło im się teraz lepiej. Koné utrzymywał się z drobnych prac,

handlował, był tragarzem, ale ciągle nie umiał czytać ani pisać – i nie miał zamiaru się żenić. W wyborach w roku 2000 partia RDR przegrała. Kiedy władzę objął Laurent Gbagbo, zaczął się terror wobec ludności z północy. W roku 2002 wybuchła wojna domowa: uzbrojone oddziały zajmowały różne rejony kraju. Sytuacja robiła się niepewna, narastało poczucie zagrożenia. Koné zaczął się bać. Pewnego dnia na początku roku 2005, kiedy wracał do domu, sąsiedzi zatrzymali go w drzwiach, mówiąc: Oj, Koné, dobrze, że cię nie było. Przyszli żołnierze i pobili twojego ojca; nawet nie wiesz, w jakim stanie go zostawili.

Siaka był ciężko pobity, ale nie chciał, żeby syn zawiózł go do szpitala. Tam by go wykończyli, twierdził. Oddał synowi wszystko, co posiadał, plus to, co dołożył przyjaciel, i poradził mu jechać do Europy. Najlepsza jego zdaniem była Hiszpania; tam czarni jakoś sobie radzili.

– Co wiedziałeś o Hiszpanii?

– Widziałem mecze, Madryt, Barça. I słyszałem, że w Hiszpanii można przebywać bez papierów, nie tak jak we Francji, gdzie zaraz się ciebie czepiają.

Koné nie miał paszportu i nie mógł się o niego starać. Kilka dni później wsiadł do ciężarówki z kierowcą, który jechał do Mali i za sto euro zgodził się go ukryć.

– Więc byłem jak narkotyk, tamten przewoził mnie jak narkotyk.

Podróż trwała tydzień. W Bamako Koné dogadał się z przemytnikiem, który wziął go, z piętnastoma innymi osobami, do ciężarówki. Wjechali do Algierii od strony pustyni. Podróżowali nocą, żeby nie natknąć się na patrol, aż dotarli do oazy – przy granicy z Marokiem – gdzie pełno było uchodźców: z Mali, Nigerii, Ghany, Senegalu. Wynajmowali oni lokalnych przewodników, którzy prowadzili ich, nocą, na piechotę, do punktu w Maroku; tam zabierała uchodźców ciężarówka. Koné szedł gęsiego z wieloma innymi ludźmi przez mrok pustyni.

– Ci, którzy upadali, zostawali. Tam nie ma braci, ojców, matek, to się nie liczy. Nikt nie mógł pomóc drugiemu, bo jeśli się zatrzymywał, zostawiano go.

Po tej wędrówce Koné, razem z setką innych osób, znalazł się w zamkniętej pace dziesięciotonowej ciężarówki. Większość jego towarzyszy drogi uciekała przed nędzą. On uciekał przed nędzą i wojną.

– Ciężarówka była przepełniona; jeśli usiadłeś, było po tobie, bo ktoś ci deptał po głowie. Ledwo się dawało oddychać; staliśmy, przyciśnięci do siebie.

Każdego ranka ciężarówka zatrzymywała się i uchodźcy chronili się w wielkich szybach na poboczu; tam czekali do zmierzchu, po czym kontynuowali podróż. Po

wielu dniach Koné dotarł do domu w pobliżu Casablanki. Zamknięto go w pokoju z trzydziestoma innymi: mieli czekać na ciężarówkę, która ich zawiezie na wybrzeże. Nie wolno im było wychodzić, żeby nie ryzykować spotkania z policją. W tym domu ktoś pożyczył mu komórkę. Koné zadzwonił do przyjaciela w Abidżanie, żeby powiedzieć mu, jak sobie radzi, i zapytać o ojca.

– Umarł. Umarł przed paroma dniami, na skutek pobicia. Ale musisz być silny i jechać dalej.

Koné i jego towarzysze czekali w tym pomieszczeniu trzy miesiące. Zamknięci, raz na dzień dostawali papkę z mąki i wody. Wreszcie Koné zachorował na malarię. Jeden z przemytników dał mu zastrzyk w udo; noga spuchła straszliwie. Koné był bliski załamania.

Nie wiedzieli, co się dzieje. Potem się zorientowali, że są trzymani w zamknięciu, ponieważ przemytnicy mają problemy z policją – czekają na dyżur przekupionego oficera, żeby móc ludzi wyprowadzić i odstawić na wybrzeże. Któregoś dnia wszyscy zostali załadowani do ciężarówki i wywiezieni z powrotem na pustynię. Tam musieli znowu ukryć się w grocie; siedzieli cicho w dzień, żeby nie usłyszeli ich pasterze, nocą się pożywiali – trochę chleba i soli i odrobina wody. Aż wreszcie ciężarówka zawiozła ich do portu Al-Ujun. Kapitan łodzi zapowiedział, że muszą wyrzucić wszystkie dokumenty – jeśli chcą zostać w Hiszpanii, muszą być osobami o niemożliwej do ustalenia tożsamości. Był to zły sygnał: jeśli chcesz wejść do Europy, musisz stać się Nikim. Podróż miała ich kosztować tysiąc euro.

– Byli tam marokańscy policjanci w cywilu, którzy nas przeszukali i zabrali nam wszystko, co mieliśmy: pieniądze, zegarki, wszystko.

Trzydzieści osiem osób stłoczyło się w dwunastometrowej łodzi ze zwykłych desek, byle jak wykończonej, z silnikiem z tyłu. Była druga w nocy, kapitan powiedział, że o piątej po południu przybiją do Fuerteventury, wyspy w archipelagu Kanarów, odległej o siedemdziesiąt mil morskich. Koné się bał: nigdy nie płynął po morzu, a teraz znalazł się pośrodku błękitnych wód, „takich błękitnych". Ale czuł też radość: po miesiącach podróżowania był już blisko celu.

Pierwsze godziny minęły spokojnie. Do łodzi wlewała się woda i wszyscy musieli ją wybierać, ale się posuwali – a kapitan zapewniał, że płyną dobrze. Aż nagle trzy kobiety zaczęły narzekać: że nie mają miejsca, że chcą więcej wody.

– Dogadywały nam. W Afryce kobiety nie mogą się w ten sposób odzywać do mężczyzn, więc wybuchła awantura. To wtedy został uszkodzony kompas.

Po paru godzinach kapitan powiedział, że się zgubił; ktoś zadzwonił z komórki na policję hiszpańską z prośbą o pomoc. Wkrótce potem statek marynarki zatrzymał ich i przewiózł na wyspę Fuerteventura. Koné widział, że nie jest tak, jak sobie wyobrażał, ale był szczęśliwy, że to już koniec jego odysei. Podróż stanowiła dla niego pasmo udręk – albo jedną wielką udrękę trwającą długie miesiące.

Na Fuerteventurze policjant upomniał go, żeby mu nie przyszło do głowy prosić o azyl polityczny, bo będzie traktowany o wiele gorzej; zaznaczył, że pełno jest Afrykańczyków podających się za obywateli Wybrzeża Kości Słoniowej prześladowanych politycznie. Koné przebywał czterdzieści dni w ośrodku dla nielegalnych imigrantów na Wyspach Kanaryjskich. W ośrodkach tych policja hiszpańska przesłuchuje uciekinierów, a sąd wydaje nakazy deportacji – która nie może jednak zostać przeprowadzona, ponieważ imigranci nie mają potwierdzonej tożsamości albo ponieważ odnośne kraje odmawiają ich przyjęcia. Dlatego ludzie muszą się wcześniej pozbywać dokumentów: rezygnacja z własnej tożsamości stanowi paradoks prawny pozwalający tysiącom Afrykańczyków pozostać na terenie Hiszpanii – z nakazem deportacji, który nie jest wypełniany.

Po odbyciu kwarantanny Koné wraz z innymi został przez Hiszpanów przewieziony samolotem do Madrytu. Ciągle bardzo bolała go noga i nie wiedział, co go czeka.

Kilka dni później był wolny, miał w kieszeni trochę pieniędzy i za radą przyjaciela wyjechał do Almeríi – gdzie było wielu czarnych i gdzie rzekomo dawało się coś załatwić. W Almeríi spędził jednak parę miesięcy bez pracy, jedząc, co się dało, śpiąc, gdzie popadnie. Poznał ludzi ze swojego kraju, którzy zaproponowali mu, żeby jechał z nimi do Francji. Nie chciał. Słyszał, że policja francuska bardzo źle traktuje imigrantów takich jak on. Ktoś inny powiedział mu, że w jego sytuacji najlepiej byłoby pojechać do Katalonii i poprosić o azyl.

– Myślałem, że Katalonia to inny kraj, i odpowiedziałem temu człowiekowi, że nie, że chcę zostać w Hiszpanii. Na co on wytłumaczył mi, że Katalonia to Barcelona, no, wiesz przecież, Barça, to ich rejon.

Koné skontaktował się z Hiszpańską Komisją Pomocy Uchodźcom (CEAR), a jej pracownicy pomogli mu złożyć wniosek o azyl i załatwili miejsce w schronisku dla osób oczekujących na azyl w Sabadell, koło Barcelony. Teraz uczy się hiszpańskiego w szkole – a przy okazji uczy się stawiać litery. Od poniedziałku do piątku ma kurs tokarstwa, ale i tak pozostaje mu sporo wolnego czasu. Chodzi więc z innym

Iworyjczykiem do Malijczyka, który pracuje w centrali telefonicznej, i tam gadają godzinami. Albo oglądają mecze w telewizji.

– Byłem kibicem Madrytu, ale teraz jestem za Barçą.

– Jak to, zdradziłeś?

– No nie, w duszy dalej jestem za Madrytem, ale głośno mówię, że za Barçą, inaczej by mi tutaj wymyślali i krzywo by na mnie patrzyli.

W weekendy jeździ do Barcelony, spaceruje po placu Katalońskim; patrzy, nie może się nadziwić: wszystko wydaje mu się takie wielkie i zamożne.

– Jakie to dziwne, że Bóg daje tak dużo jednym, a tak mało drugim.

Czuje się bardzo samotny, mówi, że czuje się samotny. Jest wychudzony, ma podkrążone oczy, lekko utyka. Wygląda na więcej lat, niż ma – choć ile ma, też nie do końca wiadomo.

– A nie chciałbyś poszukać sobie żony?

– Tak ubrany? Jeśli to jest jedyne, co mam...

Oczywiście, że chciałby być z jakąś kobietą, mówi, chciałby się kiedyś ożenić, ale do tego potrzeba dużo pieniędzy, a zresztą niełatwo znaleźć dobrą dziewczynę. Koné nie posiada niczego – poza tym, co ma na sobie, dwiema koszulami, spodniami, zegarkiem za dziesięć euro i telefonem komórkowym. I nie jest tak, że nie posiada nic tutaj; nie posiada w żadnym innym miejscu. W Abidżanie mieszkają jego dalecy krewni, mówi, ale co on ich tam obchodzi. Dopiero jeśli mu się powiedzie, to raptem się okaże, że bardzo go kochają, wiadomo. Jego przyszłość jest absolutnie niepewna: wszystko zależy od urzędnika w ministerstwie, który przyzna mu – albo nie – prawo azylu. Koné mówi, że za dużo myśli na ten temat, nie może przestać myśleć o swoich papierach, swojej przyszłości.

– Najgorsze, że za dużo rozmyślam. O tym, że tu jestem, że mój ojciec nie żyje, że nie mam dokumentów, nie mam pieniędzy, nie mam nic, nie wiem, co ze mną będzie. Najbardziej chciałbym mieć dokumenty. Bez dokumentów nie jest się uprawnionym do niczego; dokumenty są na tym świecie wszystkim.

W obecnej sytuacji nie może podjąć pracy – a nie chce pracować na czarno, żeby nie dać się wykorzystywać. W Hiszpanii dziewięćdziesiąt pięć procent podań o azyl jest odrzucanych, jednak Iworyjczycy na ogół dostają zgodę, ze względu na sytuację w swoim kraju. Dlatego tylu Afrykańczyków bez dokumentów kłamie, że stamtąd pochodzi. Koné wie, że najważniejsze dla niego to udowodnić własną narodowość. Żeby się dostać do Hiszpanii, musiał przestać być tym, kim był; żeby uzyskać azyl,

musi przekonać władze, że jest tym, kim jest. Ma dawne dokumenty, ma nawet legitymację swojej partii; prawdopodobnie doczeka się wreszcie azylu. Wówczas będzie mógł zamieszkać w kraju, gdzie nie zawsze dobrze się go traktuje. Jest muzułmaninem i wierzy, że jeśli znalazł się tutaj, to dlatego, że sprowadził go Bóg. Według niego Hiszpanie są przekonani, że muzułmanom tylko wojna w głowie, podczas gdy on przecież przyjechał tu, szukając pokoju.

– Kraj jest piękny, ale straszni z nich rasiści. Jak wsiądę do autobusu, wszyscy na mnie patrzą, na ulicy ludzie patrzą, czasem nie wchodzę do baru, chociaż jestem głodny, bo wiem, że będą na mnie patrzeć. Władze są życzliwe, władze mają dobry stosunek do cudzoziemców, przede wszystkim do czarnych, ale ludzie są naprawdę rasistami.

– I mimo to chcesz zostać?

– Nie wiem, chciałbym może pojechać do Anglii, bo tam są czarni Anglicy i ludzie traktują ich dobrze...

Dla Koné, dla tylu innych, zawsze jest jakieś miejsce trochę bardziej odległe – to pozwala zachować złudzenia.

Opowieść wstrząsnęła mną, muszę się czegoś napić, żeby spróbować ją przetrawić. Po chwili zastanowienia uświadamiam sobie jednak, że prawdopodobnie nie będę jej mógł opublikować. Koné miał wielką nadzieję, że fakt ten pomoże mu w uzyskaniu azylu; ja również na to liczyłem. Chyba nawet o tym napomknąłem, kiedy się wahał: że podzielenie się swoją historią ze mną może mu przynieść korzyść. Oczywiście nie wiedziałem wówczas, co od niego usłyszę, teraz widzę jednak, że to nie pasuje: jeśli raport ma obejmować z grubsza cały świat, a każdy kontynent może być reprezentowany przez dwóch, góra trzech „przedstawicieli", nie ma sensu zamieszczanie relacji obywateli państw sąsiadujących ze sobą, jak Liberia i Wybrzeże Kości Słoniowej. Nie można odmówić temu rozumowaniu słuszności. Samego Koné guzik by to naturalnie obchodziło. Że też tak dziwnie plotą się ludzkie losy.

Ale Koné nie będzie mógł mieć do mnie pretensji. Prawdopodobnie nie zobaczy tego tekstu. Może za kilka dni o mnie zapomni. Także pod tym względem relacja między osobą przeprowadzającą wywiad a udzielającą go

jest okrutnie asymetryczna. Dziennikarz zajmuje swojemu rozmówcy godzinę albo dwie. Rozmówca dziennikarzowi – znacznie więcej czasu. Piszę o nim, będę poprawiał, co napisałem, i będę go wspominał jeszcze może po latach, przeglądając te zapiski. On natomiast szybko o mnie zapomni. Tak, możliwe, że Koné więcej nie wróci do sprawy myślami, gdyby jednak mu się przypomniało, gdyby kiedyś się dowiedział, dlaczego jego opowieść nie ukazała się w raporcie Funduszu Ludnościowego ONZ, tłumaczyłby to swoim życiowym pechem. Albo przeznaczeniem. Jak inaczej nazwać fakt, że akurat kilka dni wcześniej przeprowadzałem wywiad z Richardem w Liberii? Sądzę, że brakuje nam na to inteligentnego określenia.

Barcelona ma wszystko, żeby być jednym z najatrakcyjniejszych miast: dobry klimat, tradycję kulturalną, pewną dozę energii, starówkę należącą do najładniejszych w Europie, wybrzeże śródziemnomorskie, z tyłu góry, urocze miasteczka w pobliżu. Zawsze myślałem, że wspaniale musi być mieszkać w Barcelonie, i kiedyś spróbowałem. Uciekłem po trzech miesiącach. Ile razy wracam, widzę jasno, dlaczego próbowałem – i dlaczego nigdy nie mogłoby się to udać.

Tęga kobieta została uwięziona w swoim sklepie ze starociami – świeczniki, bibeloty, złocone ramy – ponieważ nie może otworzyć szklanych drzwi. Andaluzyjski ślusarz stoi na chodniku po drugiej stronie. W odległości dwóch–trzech metrów od siebie dyskutują podenerwowani o cenie usługi – przez komórkę. Patrzą na siebie, wykonują jakieś gesty, krzyczą przez telefon.

Zawsze jest taka chwila, w której podróżowanie wydaje mi się niepotrzebne.

Wchodzę do kościoła Santa María del Mar. Przed laty pewien teolog – pewien asceta – powiedział mi w pociągu, że jest to najpiękniejszy kościół na świecie. Nigdy tu wcześniej nie byłem; może i miał rację ten człowiek, w pewnym sensie. Santa María del Mar to absolutny triumf gotyku:

niezwykle smukłe, wysokie kolumny wystrzeliwują, pozostawiając koło siebie wielką pustkę – mnóstwo pustej przestrzeni. A w miejscu ołtarza mamy skromnych rozmiarów rzeźbę przedstawiającą Matkę Boską z Dzieciątkiem; tak: religia. Ująć w ramy ogromną przestrzeń po to, by wypełnić ją pustką, umieszczając w środku dogmat, jeden jedyny, zwycięski. Santa María del Mar to absolutny triumf religii – która jest czymś najbardziej absolutnym.

Lanza del Vasto, w tamtym pociągu, wiedział, co mówi. Santa María del Mar jest kościołem pięknym w sensie, w jakim piękne były bloki mieszkalne z epoki stalinizmu: wyjątkowo dobrze spełnia swoją funkcję.

W kościele – w kościołach – turyści spacerują z rękami założonymi z tyłu albo na piersiach. Skrzyżować ręce na znak skruchy i szacunku. Skrzyżować ręce: zrezygnować z działania, przez szacunek.

Jaka ulga, wyjść na ulicę, szum, ruch.

Turyści, jeśli coś zwiedzają, to kościoły, pałace i muzea. Dla biznesu turystycznego warte oglądania są: Wielka Sztuka, Władza, Wierzenia – one dają wyobrażenie o świecie. Co innego Afryka, tam tego nie ma, ale na szczęście wszyscy kochamy zwierzęta, a jeśli są w klatkach – to ubogich.

Łatwo jest opowiedzieć o nędzy Richarda, Natalii. Moim problemem jest znaleźć formę, aby opowiedzieć na przykład o nędzy kobiety siedzącej obok mnie, gdy czekamy na wejście na pokład samolotu lecącego do Madrytu. A więc: czterdzieści lat, chuda, niezbyt wysoka, lekko spiczasty nos, rysy twarzy już nieco zwiotczałe, markowa torebka, być może podrabiana, dyskretnie umalowane usta i oczy, kurtka z czarnej lśniącej skóry z jeszcze bardziej lśniącymi plamami, marne włosy porządnie ufarbowane na blond, a przede wszystkim dżinsy do pół łydki, niżej buty sportowe Reebok, białe z cieniutkim jabłkowozielonym brzeżkiem, i te białe skarpetki, ledwo zakrywające kostki: między skarpetkami a dżinsami dwadzieścia centymetrów chudej nogi, zaczerwieniona skóra z wypryskami, kto wie – źle zrobiona depilacja albo egzema. Nic: samotna

kobieta, która zrobiła wszystko, co należało, a jednak. Nic: kobieta pewno przyzwoita, noce przy telewizorze, wrażenie, że coś ucieka albo już uciekło. Mnie też uciekają, ona, świat. Desperacja: jak to opowiedzieć; a przede wszystkim: po co.

Nie wiem, kiedy dokładnie uświadomiłem to sobie – w którym momencie tej podróży: nie jest tak, że jeżdżę po świecie, mimo że zmusza mnie to do znoszenia długich okresów samotności. Jeżdżę właśnie dlatego. Chcę powiedzieć: częste podróże są dobrym usprawiedliwieniem dla przebywania w samotności. Nie wiem na pewno, ale jeśli tak, to czułbym się poruszony.

Spoza chmur – ledwie cieniutka kreseczka: księżyc nie jest już w nowiu.

7. Madryt

Parę dni temu wieczorem, w Paryżu, rozmawialiśmy długo z Juliette, Santiago i Sebastiánem o piciu mate. Teraz przylatuję do Madrytu i piję mate. Parę dni temu, w Paryżu, tęskniłem za słońcem; teraz świeci ono w Madrycie. Parę dni temu, w Paryżu, szukałem zawzięcie podpalaczy pochodzenia afrykańskiego, którzy opowiedzieliby mi o swoich niewiarygodnych losach. Teraz, w Madrycie, spotykam uchodźców pochodzenia afrykańskiego, którzy opowiadają mi o swoich strasznych podróżach. Mieszkałem w Paryżu kilka lat, nosząc się z zamiarem pisania; przyjechałem do Madrytu i napisałem swoje pierwsze trzy powieści. Może tak ma być: Paryż, cudowne miasto, w którym każda historia mogłaby zaistnieć; Madryt, miasto toporne i bez błysku, w którym różne rzeczy mogę sfinalizować. *Humbling*, powiedzieliby Anglicy. *Humillador* – ten i ów Peruwiańczyk. Taka mać! – niektórzy Argentyńczycy.

Tutaj pochowani są mój ojciec i moi dziadkowie; ojciec się tu urodził. Ja sam mieszkałem w Madrycie jakieś sześć lat; tu zabrałem się poważnie do pisania, mieszkałem pierwszy raz z kobietą, miałem pierwsze mieszkanie z łazienką i kuchnią, pierwszy samochód. A mimo to Madryt nie może stać mi się bliski. Coś z tych wszystkich rzeczy zostawiłem gdzieś indziej. Wchodzić w starość to się powoli oddalać.

Próbuję jakoś określić siebie: widzę gęste brwi pięćdziesięciolatka i myślę, że są takiego gatunku jak moje; jego włosy w nosie i uszach stają się moim rodowodem.

W wypowiadanych przez niego słowach

słyszę akcent moich umarłych.

Ciągle ta melancholia. Chyba mógłbym napisać Encyklopedię Pożegnań – połączenie eseju, zbioru opowiadań, cytatów i kryptocytatów

na temat form pożegnania. Drobna przyjemność – przebrzmiała. Epitafium, które może wymyśliłem, a może już istniało: „Umarł, jak żył: przymknął się".

Jest coś szorstkiego, zgrzebnego, nieokrzesanego w tej rasie, która dała światu tylu konkwistadorów i bramkarzy, tylu genialnych antyartystów-anarchistów i prymitywnych wieśniaków, rasie zamieszkującej te ulice w postaci ciał odzianych bardzo modnie – a w każdym razie bardzo dostatnio: hałaśliwie dostatnio. Czymś takim musi być globalizacja: znaki obowiązującej mody – dobrze wyprawione czarne skóry, przewiewna czarna bawełna, srebrnego koloru zegarki – wpisane w cechy indywidualne, które w jakiś sposób naciskają, wciskają się, odciskają.

I powtarzający się, widoczny na drzwiach wielu barów, napis, w którym pobrzmiewa elegancja sarkazmu: *Se permite fumar TABACO en este establecimiento*, „Wolno palić PAPIEROSY w tym lokalu", czyli pozwala ci się – dokładnie tak: wolno ci – palić, owszem, papierosy, żebyś wiedział, że nie co innego, nie myśl sobie, nic z tych rzeczy. Ale to także potwierdzenie, milczące, z wykluczeniem innych rzeczy – wolno palić, ale papierosy – że to, co nienazwane wprost, istnieje.

To pewno mój problem – moje piętno, jedno z wielu – że tak mi nie leży zmiana, jakiej uległ Madryt. Dla mnie Madryt jest miejscem wspomnień. Wspominam z nostalgią miasto, w którym mieszkałem na początku lat osiemdziesiątych – nie siebie w mieście, tylko samo miasto – kiedy Madryt był jeszcze sennym miasteczkiem, które dopiero się przeciąga, ledwo obudzone, i nie zdążyło sobie wmówić, że Manhattan to jedno z jego najdalszych przedmieść. To było takie sympatyczne: przeszedłeś się kawałek, a już spotykałeś te same twarze – na koncertach jazzowych, na filmach bez dubbingu, na wystawach – i czułeś się jak w rodzinie. Najbardziej chyba jednak tęsknię za miastem, w którym nigdy nie mieszkałem: wojna, a przed wojną spotkania w Ateneo, pogawędki w piwiarni na placu Santa Ana i w kawiarni obok budynku poczty, Correos, o których tyle razy opowiadał mi dziadek. Jego sprzeciw wobec Franco,

jego piosenki, uwięzienie, cały ten mądry heroizm ostatniej wojny, tak ewidentnie sprawiedliwej. Pamiętam, że kiedy tu przyjechałem, nic nie zdumiało mnie bardziej niż odkrycie, że madrytczycy nie są wszyscy poetami Pokolenia 27, tylko murarzami, sklepikarzami, adwokatami i studentami lekko zapóźnionymi w stosunku do świata – czy tego czegoś, co światem nazywałem. Sytuacja beznadziejna: nie mogę przyjechać do Madrytu, być w Madrycie, myśleć o Madrycie, nie mając cały czas w świadomości, że miasto nie jest już tym, czym było – albo czym nie było.

Są w Madrycie osoby, do których nie dzwonię z tchórzostwa – żeby nie zobaczyć, co zrobił z nimi czas. Albo – powiedziałbym, gdyby nie to moje tchórzostwo – jest w Madrycie kobieta, do której nie dzwonię, żeby nie zobaczyć, co zrobił z nami czas.

Istniała bowiem epoka, w której za Madryt dałbyś nie wiem co. „Jesteśmy tu ze wszystkich miejsc na ziemi, / gotowi sprawiedliwy podjąć bój. / Przez wojnę dziś od domu oddzieleni, / w Madrycie sławnym dom znajdziemy swój", brzmiały słowa jednej z pieśni Brygad Międzynarodowych, którą mój ojciec śpiewał czasem przy goleniu – wiele lat po tym, jak został oddzielony od domu, od Madrytu, sprawiedliwy podejmując bój.

Jak przyjemnie poczuć nareszcie, na jednej z ulic centrum, ten zapach smażeniny wymieszanej z wonią niedopałka z ciemnym tytoniem, nazywany przeze mnie Hiszpanią.

Dlaczego nigdy nie myślę, że będę mieszkał w Madrycie?

Muszę sporządzić listę miast, w których bym mógł zamieszkać, zrobić plan.

Przez Plaza Mayor idzie dwóch dwudziestolatków bardzo modnie ubranych, krokiem zdobywców, jeden rozmawia przez komórkę. Nie, na

Majorce, jestem teraz na Majorce. Jedne podróże są trudniejsze, inne łatwiejsze.

Kupuję wówczas, jakby we śnie, kilka banknotów stupesetowych z czasów, kiedy mój ojciec był małym chłopcem, a dziadek mężczyzną w sile wieku, zamożnym – dokładnie przed wojną. Kiedy wrócę do domu, zawieruszą mi się gdzieś w szufladzie; może pewnego dnia, po latach – jeśli będę miał jeszcze dni po latach – znajdę je i zdołam wyobrazić sobie, że były jego.

Albo może: zapomnienie jako forma pamięci.

Potem przychodzi mi do głowy, że jest tyle osób, do których mógłbym zadzwonić, żeby powiedzieć: nie, na Majorce – choć nie tak znowu wiele.

Przed blisko trzydziestu laty przyszedłem na ten plac z przyjacielem, który wybierał się do Barcelony na pierwszy koncert Stonesów w Hiszpanii. Ariel namawiał mnie, żebym jechał z nim: mógł załatwić bilety, złapalibyśmy stopa, przenocowali u jakiegoś kumpla. Miałem nawet ochotę, ale mieszkałem wtedy w Paryżu i musiałem wracać. Tak więc pożegnaliśmy się, tu, na tym placu; trochę mu zazdrościłem.

Kilka dni później dowiedziałem się, że szuka mnie zrozpaczona rodzina, przekonana, że pojechałem razem z nim: samochód, który go zabrał niedaleko Saragossy, wypadł z szosy i Ariel zginął. Czasem, kiedy przyjeżdżam do Madrytu, wspominam go; chyba niewielu już go pamięta. Musiał mieć wtedy góra dwadzieścia lat; był tak młody i wszystko wydawało się rozświetlone słońcem, pełne obietnicy. Kiedy o nim myślę, nieuchronnie nachodzi mnie wątpliwość, czy nie lepiej było nie przeżywać całej reszty, czy nie lepiej umrzeć tak właśnie, kiedy wszystko pozostaje obietnicą; i wiem, że nie, jestem pewien, że nie, ale za każdym razem pytam siebie od nowa i rozważam kwestię, i znowu ta odpowiedź, która mnie przekonuje i nie przekonuje.

Tak chyba brzmią odpowiedzi prawidłowe.

W Hiszpanii lokale gastronomiczne są w porządku. Chodzi o to, że w każdym kraju sfera ta funkcjonuje na zupełnie innych zasadach. Francuzi chcą być wyrafinowani – i nie zawsze im się to udaje, Włosi są skąpi i nieuczciwi, Holendrzy niewiarygodnie drodzy. W Hiszpanii natomiast restauracje serwują jedzenie w obfitości i raczej niedrogo – chociaż nie zawsze wychodzi im smacznie. Niemniej szanuję kraj, który karmiąc cię, nie oszukuje.

Chociaż teraz widzę, że na miejscu mojej ulubionej kawiarni obok Correos pojawiła się restauracja, oferująca „wysokiej klasy kuchnię śródziemnomorską, zdrową i szybką". Dawno nie widziałem, żeby kuchnia jakiegoś regionu była w tym stopniu naładowana epitetami – tak żałośnie współczesnymi. Właściciele podkreślają, że jest to kuchnia o bardzo prestiżowym rodowodzie – śródziemnomorska – a w dodatku, gdyby ktoś miał jeszcze wątpliwości, wysokiej klasy. Tu jednak może się kryć zagrożenie – jakieś dokuczliwości, przewrotne pomysły – toteż zapewniają, że jest zdrowa. A jako że człowiek, któremu zależy na tym, aby jedzenie było prestiżowe i zdrowe, nie ma na ogół czasu, dodają uspokajająco: jest szybka. Może nie oszałamiająco smaczna, ale o tym nie było mowy. Nie o to chodziło.

Za trzy godziny ma się rozpocząć mecz Boca-River, a ja spaceruję po mieście bez celu, zabijając czas – zabijając czas – i tak się składa, że dochodzę do madryckiego stadionu. Do meczu brakuje godziny, nastrój jest spokojny, senny nieomal, jak wtedy, kiedy do parku rozrywki przychodzą goście, którzy niekoniecznie są dziećmi. Pierwszy raz podczas tej podróży czuję, że źle trafiłem. Kusi mnie jednak; albo, inaczej mówiąc: kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i one. Kupuję bilet, wchodzę na Bernabéu.

Mecz jest dość bezbarwny, ani Real Madryt, ani Deportivo La Coruña nic z siebie nie dają. Koło mnie siedzi trzyletni może chłopczyk, chudziutki, ciepło ubrany, sweterek mimo słońca, wełniana czapeczka, skóra twarzy

tak przezroczysta, że przeświecają żyły. Obok niego mężczyzna z utrwalonym grymasem goryczy, o drżących rękach, cały czas zagaduje go, stara się zainteresować, pokazuje mu coś, tłumaczy, jakby miał do czynienia nie z dzieckiem, ale z kimś ograniczonym umysłowo. Nagle rodzi się we mnie podejrzenie, że chłopczyk jest bardzo chory i ojciec przyprowadził go, żeby zobaczył mecz Realu, zanim umrze. Już nie mogę obserwować gry. Patrzę na chłopczyka; każdy z jego gestów, nic nieznaczących, potwierdza moje przypuszczenia. W końcu znajduję rozwiązanie: przesiadam się.

Rozwiązanie stosowane przeze mnie aż nazbyt często.

Ten stadion ma strukturę, konfigurację teatru: wyraźnie zaznaczone różnice między boiskiem a trybunami, między spektaklem a widzami. Na dole ruch, tu spokój obserwowania; oni blask, szarość my. Na stadionie Boki – na przykład – prostacka przestrzeń włącza nas w siebie, zaciera różnice: zamienia trybuny w miejsce tak swoiste jak boisko.

Toalety są naturalnie bez zarzutu: rzędy pisuarów po obu stronach niskiej ścianki. Dziwne uczucie: stać z ptakiem w dłoni i mieć twarz innego mężczyzny pół metra od swojej. Bernabéu nie pachnie niczym – albo pachnie hamburgerem z McDonalda. I nikt nie krzyczy: gol! Klaszczą. Ajajaj, klaszczą. Jakie to dziwne, czuć się – ja, kibic Boki i Argentyńczyk – depozytariuszem pewnej wiedzy. Być, na tym stadionie, tym, kim są Anglicy, Francuzi, Amerykanie, kiedy wyjadą ze swojego kraju: ludźmi pełnymi uprzedzeń, o ustalonych poglądach, którzy wiedzą, jak sprawy mają wyglądać i z czym być porównywane. Straszne: czuć się w posiadaniu wiedzy – a już zwłaszcza na ten temat.

Chłopaki z Realu grają, jakby byli bóstwami niepokonanymi – a w tym roku przegrali wszystko, do czego się przymierzyli. Musi być czymś cudownym wierzyć w siebie do tego stopnia, nawet kiedy domniemana rzeczywistość pokazuje coś przeciwnego – i pisać na przykład książkę taką jak ta.

Potem zapada noc: stadion jeszcze bardziej zyskuje nocą, kiedy ani niebo, ani budynki, ani kolory na zewnątrz nie przypominają, że jest coś więcej, że na nim nie kończy się świat.

A przecież jest, później to widzę. Pośród nocy madryckiej pojawia się ów charakterystyczny rysunek, ideogram – nazywany przez nas półksiężycem – który widnieje na muzułmańskich flagach. Są flagi z wizerunkiem słońca – dumne, jasne jasnością dnia. Są z gwiazdą – nocne, ale pełne magii, odległe. Są flagi z taką liczbą gwiazd, jakby chciały być całą nocą, kosmosem. I wreszcie owe flagi muzułmańskie z półksiężycem, który nie oświetla ani nie ogrzewa, nie ogarnia całości ani nie spowija w tajemnicę; najwyżej wywołuje niepokój związany z tym, że coś narasta, że może zaistnieć na wiele sposobów. A raczej mogłoby. Półksiężyc to potencja aktu dokonującego się zawsze tak samo, bez obawy, ale i bez tajemnicy. Półksiężyc – księżyc przybywający, *crescent, croissant* – zawsze w końcu stanie się księżycem: czymś pewnym, ale za to nieodwołalnie znormalizowanym.

To, co nazywamy półksiężycem, to kwadra, ćwiartka księżyca.

To, co nazywamy księżycem, to nie połowa.

Mijam nowoczesną dzielnicę o pretensjonalnym wyglądzie i dociera do mnie oczywista prawda: im nowsza konstrukcja, projekt, tym podobniejsza do innych dookoła. Zatem szukać tego, co stare, to szukać odrębności. Na potwierdzenie tego, co zawsze przeczuwam: że człowiek podróżuje – stara się podróżować – nie tyle w przestrzeni, ile w czasie.

Widać, że dla współczesnych Hiszpanów czymś niestosownym jest pojawić się na ulicy bez bmw, mercedesa, audi. Kupują luksusowe samochody – na niekończące się raty – dla wyróżnienia się spośród tłumu. Ale samochody tej klasy, ponieważ jest ich wiele, już nikogo nie wyróżniają, raczej zrównują z resztą, określają jako umiarkowanie zadowolonego współczesnego Hiszpana z klasy średniej.

Umiarkowane zadowolenie – można pozazdrościć. Nie mówię: zadowolenie, bo to stan podejrzany, znamię bajerantów i bufonów. Nie mówię: niezadowolenie – to cecha poturbowanych, los udręczonych i skorych do gniewu. Mówię: umiarkowane zadowolenie, czyli zadowolenie, owszem, ale z pewnymi zastrzeżeniami, ostrożne i gotowe do przyjęcia rekompensaty, zadowolenie, jednak z wyczuciem umiaru i śmieszności. Można pozazdrościć tak rozsądnej postawy – umiarkowanego zadowolenia.

Może nie umiem patrzeć, ale jeśli świat zmierza w jakimś kierunku, mnie to umyka. Odnoszę raczej wrażenie, że zatrzymał się w pół drogi, w sytuacji miłej-niemiłej: bogaty i spasiony Zachód, reszta świata z poczuciem smutku i zagrożenia, Chiny i Indie w momencie przebudzenia: a nuż zdołamy, za kilka dekad, upodobnić się trochę do Zachodu – spaść się jeszcze bardziej niż tamci. Nie jest to szczególnie poruszający cel. A przede wszystkim zaskakuje mnie myśl, że zostanę pochowany na tej arenie, nie odchodząc gdzie indziej. Choć właściwie dlaczego miałbym odchodzić: dlatego że zawsze tak było?

A wydaje się, że pragniemy tak niewiele.

To znaczy: na ogół pragniemy tak niewiele. Rozmawiałem z ludźmi najrozmaitszych stanów i z różnych środowisk – z kompletnymi nieudacznikami, z beztroskimi urzędnikami, dziennikarzami, bojowcami, dziwkami, uciekinierami – w bardzo różnych rzekomo krajach i wszyscy twierdzą, że pragną mniej więcej tego samego: mieć pod dostatkiem jedzenia, utrzymać względną stabilizację życiową, założyć rodzinę, żyć w spokoju. Nie dziwię się, że świat jest, jaki jest.

Albo że znajduje się w takim stanie, w jakim się znajduje.

Ale w takim razie czego, u licha, pragną? Niczego? Tego, co się im wmawia?

Język mnie zawodzi, jak zwykle: „Niczego? Tego, co się im wmawia?". Nigdy nie jest tak, że nikt nic nie chce, nikt niczego nie pragnie. Cóż bardziej niebezpiecznego niż pozostawić skrzynkę pragnień pustą: pragnienie odczuwa *horror vacui*, potrzebuje celów, przedmiotów pożądania. I oczywiście je ma. Mylę się co do swojej historii. Zacząłem pragnąć różnych rzeczy w czasach, kiedy pragnienie czegoś oznaczało pragnienie czegoś innego niż to, co ci sugerowano: kiedy pragnienie tego, co ci sugerowano, kojarzyło się z brakiem jakichkolwiek pragnień. Co było oczywiście również czystą ideologią, ale wydawało mi się niemal naturalne: ideologia funkcjonuje wtedy, kiedy jej zdrowi i mniej zdrowi wyznawcy nie zdają sobie sprawy z tego, że ją głoszą, przekonani, że postępują zgodnie z zasadami logiki.

Dlatego teraz tak trudno mi zrozumieć to, co widzę: że tym, czego prawie wszyscy pragną, jest to, co się im proponuje. Narzekają, emigrują, protestują, pracują, cierpią, poszukują, ponieważ pragną tego, co im podpowiedziano: dobrej pracy, domu, spokoju, rodziny, samochodu, oszczędności, stabilizacji, gwarancji, że za dwadzieścia lat wszystko będzie mniej więcej takie jak dziś.

Szukają gwarancji.

A ci, którzy przedtem chcieli zmienić świat, teraz na ogół pragną go zachować. Chcą zachować krajobrazy, swobodę fok i pingwinów, dawną kuchnię regionalną, wina z ojczystych stron, zasoby leśne, tradycje religijne, kulturę imigrantów – a ci lepsi pragną jeszcze zachować życie ludzi i jadą do Afryki albo do Ameryki Łacińskiej: a nuż uratują paręset osób przed aids, grypą albo malarią.

Uratować to, co pozostało, zachować, utrwalić. W tym kryje się klęska. Zastanawiam się, ile czasu minie, nim celem znowu stanie się zmiana.

Jak dotąd zmiana jest tym, czego dopuszczają się ci źli, prawica, ludzie będący przy władzy: zmiana polega na tym, żeby rozpirzyć wszystko, co osiągnęły poprzednie zmiany albo, w najlepszym razie, stworzyć cudowną technologię, która tymczasem produkuje społeczeństwa coraz bardziej zakotwiczone w swoich bzdetnych pragnieniach.

Potem widzę jednak na rogu dwoje dwudziestolatków całujących się, obłapiających, śmiejących, i oboje mają takie szczęście na twarzy, że owszem, rozumiem: mogą nie pragnąć niczego więcej.

A raczej: rozumiem, że oni mogą.

Czasem jest tak, że nie chcę widzieć tego, co mam przed oczyma. W dzielnicy zamieszkanej przez klasę średnią – domki z ogródkami przed wejściem – kobieta koło pięćdziesiątki, mocno zbudowana, elegancka, spodnie i żakiecik, wchodzi za bezlistny w zimie krzak, spuszcza spodnie i majtki, kuca. Zamykam oczy.

Kto powie, że istnieje jakiś bóg, jest skurwysynem.

W życiu Adamy nie wydarzyło się nic niezwykłego. Przyszedł na świat na przedmieściach Wagadugu, stolicy Burkina Faso, i nigdy nie chodził do szkoły. Jego ojciec uprawiał proso, kukurydzę i maniok na malutkim poletku i ledwo wystarczało, żeby rodzina prawie każdego dnia miała co jeść. W wieku dwunastu lat Adama zaczął przyuczać się do zawodu w warsztacie mechanicznym; mając piętnaście, potrafił już naprawiać agregaty – i pewno zostałby tam dłużej, gdyby jego szef nie umarł.

Warsztat został zamknięty. Adama nie mógł pracować samodzielnie, zaczął więc szukać innego źródła utrzymania. Wiele razy słyszał o sąsiadach i krewnych, którzy wyjechali do Europy, i jak to świetnie im się powodzi. Emigranci nigdy nie opowiadają o swoich klęskach tym, których pozostawili w kraju: choćby żyli w skrajnej nędzy, ich relacje zawsze pełne są sukcesów. Inaczej musieliby się przyznać, że popełnili błąd albo, co gorsza, że nie potrafili dokonać tego, co udało się innym. Adama miał wówczas równowartość około dwustu zaoszczędzonych euro; jego decyzja wydawała się oczywista.

– Najpierw poprosiłem o wizę w ambasadzie francuskiej; nie dostałem. Ale ja nie chciałem jechać do jakiegoś konkretnego kraju; chciałem się dostać do Europy. Słyszałem o Europie. Dopiero kiedy znalazłem się w Mali, wytłumaczono mi, że

najpierw muszę dojechać do Hiszpanii, ponieważ Hiszpania graniczy z Afryką w Maroku i tak jest łatwiej, a stamtąd można jechać, gdzie się chce.

Podróż rozpoczęła się pomyślnie: na początku 2002 roku Adama wykupił bilet autobusowy do Bamako, stolicy Mali. Przez kilka nocy spał na dworcu, po czym dowiedział się, że może wsiąść w inny autobus, jadący do Gao, a tam znaleźć furgonetkę, która za sto euro przewiezie go przez Saharę do Tamanrasset, już w Algierii. Podróż trwała pięć nocy: w ciągu dnia dwudziestu pasażerów furgonetki kryło się w jaskiniach i czekało na zmierzch, potem wszyscy wracali na tajemny szlak.

Do Maroka było jeszcze daleko; najpierw należało przebyć Algierię. Adama wciąż podróżował nocą; czasem szedł piechotą, kiedy indziej jechał ciężarówką. Zdarzało mu się utknąć na cztery–pięć dni w oazie – z powodu braku środka transportu albo z obawy przed kontrolą policyjną. W sumie podróż przez pustynię, razem z górami Atlas, do granicy z Marokiem zajęła mu niemal dwa miesiące. Tam przemytnicy doprowadzili go, w ciągu czterech wyczerpujących nocy wędrówki, do Wadżdy, po czym mikrobusem dowieźli do Nador, marokańskiego miasta w pobliżu Melilli.

Melilla należy do Hiszpanii i jest oddzielona od terytorium Maroka płotem z drutu. Adama spacerował tamtędy każdej nocy, patrząc na Europę z drugiej strony, tak blisko, w zasięgu wzroku, i szukając sposobu przedostania się. Wiedział, że niektórym udawało się pokonać płot, ale nie było to łatwe. Trzy lata później tysiące Afrykańczyków miało spróbować techniki lawiny, ale w tamtych dniach skok był wyczynem indywidualnym.

Którejś nocy zbliżył się zanadto: policja marokańska aresztowała go i deportowała do Algierii. Adama znów przedostał się nielegalnie do Maroka – lecz po dwóch miesiącach został kolejny raz wydalony. To go załamało; poza tym dawno skończyły mu się pieniądze. Był to czas zbierania oliwek: Adama pracował dwa miesiące, trochę zarobił i wrócił do Maroka. Tym razem jednak skierował się do Rabatu. Płot wydawał się przeszkodą nie do pokonania, postanowił więc zaryzykować przeprawę morską, na słynnych łodziach. Nie było to proste.

– W Rabacie spędziłem ponad rok, śpiąc na ulicy; jadłem to, co znalazłem w śmietniku. Nie miałem grosza przy duszy, nie znałem nikogo, nie mogłem znaleźć żadnej pracy. Skoro sami Marokańczycy nie mają pracy... Za wiele tego było. Chciałem wrócić do kraju, ale do tego też potrzebowałem pieniędzy.

Pewnego dnia, zdesperowany, poszedł na policję, żeby dać się deportować do kraju. Oficer nakrzyczał na niego, że nie ma mowy: jeśli chce wracać, niech sam

znajdzie środki. Adama pomyślał, że nie mógł już upaść niżej:

– W moim kraju przynajmniej miałem co jeść. Byłem jak w potrzasku: ani w przód, ani w tył. Próbowałem jednak dalej; musiałem jakoś ułożyć sobie życie.

Jego los zaczął się odmieniać. Pewien poznany na ulicy Malijczyk zaproponował mu wspólny pokój i skontaktował go z człowiekiem organizującym przeprawy łodzią, Ghańczykiem. Ten zaoferował mu pracę. Adama poznał świat Afrykańczyków przeprawiających się do rzekomego raju: ich niedole, nadzieje, stosowane przez nich fortele. Jego praca polegała na wyszukiwaniu klientów, którzy mogli zapłacić przewoźnikowi od tysiąca do tysiąca pięciuset euro. Znalazłszy dwudziestu, mógł zapewnić sobie podróż gratis. Pewnego dnia trafiła mu się okazja zatelefonowania do domu: chciał dać znać rodzicom, że żyje – chociaż wciąż jeszcze jest w Afryce. Kiedy w końcu się połączył, dowiedział się od matki, że ojciec zmarł.

– Powiedziała, że został otruty. Ale nigdy nie poznałem szczegółów, ponieważ do tej pory nie odwiedziłem kraju.

Na początku Adama nie mógł pozyskać żadnego klienta: nikt mu nie wierzył. Powoli jednak dał się poznać i do końca 2004 roku zdołał wysłać czterdziestu; zarobił na podróż. Dwa lata wyglądał tej chwili.

Z Rabatu ciężarówka zawiozła go – razem z innymi trzydziestoma mężczyznami, i tylko mężczyznami – do kryjówki na pustyni, niedaleko Al-Ujun. Mieli czekać, aż obejmą służbę przekupieni przez przemytników policjanci. Uchodźcy spędzili tam kilka dni bez wody; Adama widział, jak inni pili własny mocz, ale sam nie chciał tego robić. Pewnego popołudnia wszyscy zostali znów załadowani na ciężarówkę, która dowiozła ich na wybrzeże Atlantyku, w pobliżu Tantanu. Przemytnik zapowiedział, że zanim wsiądą do łodzi, muszą pozbyć się wszystkich dokumentów tożsamości. Adama już o tym wiedział: przed opuszczeniem Rabatu wysłał swój paszport pocztą do kolegi w Hiszpanii. Na plaży, przy świetle księżyca, przeżył ostatnią niespodziankę: Marokańczycy pracujący dla przemytnika zabrali im wszystko – pieniądze, ubranie, zegarki. Adama próbował się bronić i został zraniony nożem w prawą dłoń. Wsiadł więc do łodzi – dziesięciometrowej długości, byle jak skleconej, z jednym tylko silnikiem – w krótkich spodniach i koszulce; to było wszystko, co miał na świecie. Ale płynął do Europy.

Kapitanem łodzi był rybak z Gambii – który zarabiał w ten sposób na życie. Poprosił on Adamę, żeby pilnował kompasu: mieli płynąć stale na azymut 340. Jeśliby zeszli z kursu, zginą. Potem zapewnił, że nie ma powodu do obaw, że droga

nie jest trudna i przed wieczorem dotrą na Wyspy Kanaryjskie. A w razie groźby zatonięcia łodzi oni dwaj się uratują, jako jedyni zaopatrzeni w plastikowe bidony, które pozwalają utrzymać się na powierzchni, póki nie przyjdzie ratunek.

– Trochę mnie to uspokoiło; wiedziałem, że przynajmniej nie utonę. Ale i tak bardzo się denerwowałem; nigdy wcześniej nie widziałem morza.

Organizacje humanitarne szacują, że jedna trzecia spośród tych, którzy odpływają z wybrzeży Afryki w kierunku Wysp Kanaryjskich, tonie; jest to liczba przerażająca, a przy tym nieścisła. W ciągu pierwszych godzin dnia ocean był spokojny, w południe się wzburzył, ale łódź utrzymała się na powierzchni. Po południu ujrzeli brzeg wyspy; wkrótce potem zatrzymał ich statek marynarki hiszpańskiej. Jednak Adama na krótko tylko odczuł ulgę: już na brzegu straż graniczna, przekonana, że jest kapitanem, zaczęła go przesłuchiwać; został pobity. Nie chciał wyjawić, że to tamten. Jeśli ludzie wyruszają razem na niebezpieczną wyprawę – powie później – nie robią takich rzeczy. W końcu jednak wyszło na jaw, że kapitanem był Gambijczyk – aresztowano go i deportowano. Jego jednego; reszta została nakarmiona, otrzymała ubranie i dach nad głową w państwowym schronisku. Uciekinierzy spędzili tam przepisowe czterdzieści dni.

Na Wyspach Kanaryjskich Adama nie wiedział, co z nim będzie: któregoś wieczoru wezwano go i poinformowano, że nazajutrz zostanie przewieziony do Madrytu i uwolniony. Hiszpańska Komisja Pomocy Uchodźcom zaproponowała mu trzymiesięczny kurs nauki języka w hiszpańskim miasteczku. Adama zgodził się. W maju 2005 roku był z powrotem w Madrycie, sam, już nie pod skrzydłami jakiejkolwiek instytucji. Musiał zatroszczyć się o siebie i zarobić na swoje utrzymanie. Przez miesiąc spał w parku, z setkami innych Afrykańczyków. Aż pewien człowiek z Sierra Leone zaoferował mu pomoc w postaci dokumentu tożsamości, uprawniającego do podjęcia pracy; miało to kosztować sto euro miesięcznie.

– Zgodziłem się, bo nie przyjechałem tutaj, żeby siedzieć z założonymi rękami.

W Hiszpanii są tysiące imigrantów w podobnej sytuacji: wykorzystują ich inni imigranci, posiadający papiery – a także lokalni pracodawcy. Teraz Adama zatrudniony jest jako ogrodnik w firmie budowlanej i mieszka na przedmieściach Madrytu, w pokoju, za który bardzo drogo płaci. Zarabia 650 euro miesięcznie; połowę wydaje na mieszkanie, 100 na jedzenie, 50 na transport, 100 oddaje człowiekowi, który go wyzyskuje, trochę wysyła matce – i nie zostaje mu nic.

– Nie, jeszcze nie znalazłem nic z tego, czego szukałem, wyjeżdżając z kraju. Nie mam pieniędzy, nie mam papierów. Wiele wycierpiałem, żeby móc tu przyjechać, spałem na ulicach, szedłem przez pustynię. Nie rozumiem tylko, jak to się dzieje, że przyjechałem i męczę się dalej. Liczyłem, że to się skończy po przyjeździe.

Głównym problemem są dokumenty. Zdaniem adwokatów Adama będzie musiał czekać kolejne dwa lata, nim otrzyma dokument pozwalający podjąć legalną pracę. Dlatego oddał wszystkie pieniądze pewnemu Hiszpanowi. Człowiek ten zapewniał, że załatwi mu papiery od ręki, po czym zniknął. Adama mówi, że po czymś takim czuje się strasznie przybity i niepokoi o przyszłość. Czas biegnie: kiedy opuszczał kraj, miał dwadzieścia lat, teraz ma dwadzieścia pięć i nic się nie zmieniło, życie mu ucieka. Mówi, że za bardzo się tym dręczy, żeby myśleć o rozrywkach; czasami gra w piłkę w weekendy, ale ani mu w głowie spotykać się z dziewczynami, za dużo ma problemów. Jest niskiego wzrostu, spokojny, uśmiecha się smutno. Twierdzi, że jego hiszpański się poprawił, ale woli, żebyśmy rozmawiali po francusku.

– A nie brakuje ci kobiety?

– Nie mówię, że mi brakuje ani że nie brakuje. Gdybym szukał, znalazłbym. Ale mnie chodzi o moje pieniądze. Zostawiłem wiele kobiet w swoim kraju, żeby przyjechać i zdobyć pieniądze. Kiedy będę miał pieniądze, mogę wrócić do kraju i ożenić się; u nas choćbyś skończył sześćdziesiąt lat, jeśli masz pieniądze, możesz się ożenić z młódką osiemnasto-, dwudziestoletnią. Najpierw jednak muszę zarobić. Wtedy moje dzieci będą miały przed sobą przyszłość. Gdyby mój ojciec zrobił to, co ja robię teraz, nie musiałbym się tak męczyć.

Historia Adamy jest pewno prawdziwa; albo i nie. Często Afrykańczycy, którzy przyjeżdżają do Hiszpanii, wymyślają sobie biografię: udają na przykład, że pochodzą z krajów, w których toczy się wojna – żeby ubiegać się o azyl polityczny. Albo mówią, że są obywatelami krajów, które nie uznają deportacji – żeby do niej nie dopuścić. Tysiące ludzi wymyślają własne życiorysy, próbując znaleźć formę życia lepszą niż ta, której nie chcą pamiętać. Czasem ratunkiem jest mieć jakąś historię.

Adama podkreśla, że Hiszpania bardzo mu się podoba, bezwzględnie, chociaż czasem ludzie są trochę rasistami. Najmniej ze wszystkiego podobają mu się w Hiszpanii „pedały"; mówi, że wielu mężczyzn proponowało mu pieniądze za seks, ale budzi to w nim wstręt. W jego kraju takie rzeczy się nie zdarzają: tam mężczyźni nie łączą się z mężczyznami, mówi. Tak czy siak, najbardziej martwi go brak papierów. Cała reszta jest mniej ważna wobec kwestii dokumentów. Ludzie,

którzy mieszkają w swoim kraju, mówi, nigdy nie zrozumieją, co znaczą dokumenty: co znaczy mieć papiery albo ich nie mieć.

– A jeśli sytuacja się nie zmieni, wrócisz?

Adama ma wyraz twarzy hardy, arogancki niemal, póki nie zdejmie bejsbolówki; bez czapki jest chłopcem o okrągłej czaszce, która wkrótce zrobi się łysa.

– Jak miałbym wrócić bez pieniędzy? Co powiedziałbym mamie, rodzinie? Wykluczone. Wolałbym umrzeć. Jeślibym teraz wrócił, umarłbym ze wstydu. Nie, nie mogę wrócić. To byłby straszny wstyd.

Je vais me remettre à la Géométrie et à la Philosophie. Il est bien froid de ne plus travailler que pour la gloriole, quand on s'est flatté pendant quelque temps de travailler pour le bien public. „Zajmę się geometrią i filozofią. Przykro jest pracować wyłącznie dla własnej chwały, jeśli się człowiek przez jakiś czas szczycił pracą dla dobra ogółu", pisał Condorcet do Woltera w 1776 roku, kiedy Turgot, który z nim współpracował, musiał ustąpić ze stanowiska ministra finansów – i porzucić marzenia o zmianie społeczeństwa francuskiego z pozycji władzy.

Co bym usłyszał, gdybym mógł zamilknąć?

Strasznie jestem ciekaw, co by to było.

Boję się i jestem ciekaw, co by to było.

Przygnębia mnie odwiedzanie madryckich księgarni: nieliczne tytuły ułożone w stosy, bogato wydane książki w twardych, lakierowanych okładkach, a jak otworzysz – wszystkie wyglądają jednakowo: niekończące się linijki dialogów – to, co najlżej strawne. Pełno rozmaitych historii – „trzeba opowiadać historie" – osadzonych w Rzymie cesarskim, Bretanii arturiańskiej, w epoce plejstocenu, krucjat, w hiszpańskim Złotym Wieku, w dwunastowiecznej Japonii, osiemnastowiecznej Anglii, piętnastowiecznej Florencji. Można by powiedzieć, że współczesność nam nie leży, przeszkadza nam, uwiera nas. Nagle bardzo smutna wydaje mi się epoka, która nie chce pisać o sobie samej, która znajduje ulgę

w opisywaniu błahostek przeszłości, i obiecuję sobie, że nie zabiorę się do żadnej powieści, która nie działaby się współcześnie, w przyszłości – albo w żadnym momencie.

Boję się i jestem ciekaw,
co by to było.

Bardzo mnie cieszy – kolejny raz bardzo mnie cieszy – robienie zdjęć. Podczas tej podróży mam robić zdjęcia swoim rozmówcom, a dziś przed południem mogę wejść do muzeum Thyssen-Bornemisza, w którym jest bogata kolekcja portretów. Tutaj również odwiedzający spacerują z telefonami – które mówią im, co mają zobaczyć na każdym obrazie. Nie włączyłem oprowadzania i z zaskoczeniem zauważam na tych portretach, z okresu między XVI a XIX wiekiem, kompletny brak uśmiechu. Nikt – z tych dziesiątek pań i panów, którzy raz w życiu usiedli naprzeciw malarza, starając się, żeby coś pozostało z ich ciał, gdy nie pozostanie już nic – nie uśmiechnął się. W tamtych czasach taka forma demonstrowania dobrego samopoczucia nie była chyba czymś poważnym.

Chciałbym wiedzieć, kiedy zaczęliśmy wierzyć w uśmiech: kiedy uznaliśmy, że pokazywanie się bez pokazywania zębów oznacza klęskę – i zaczęliśmy się obowiązkowo szczerzyć: *cheeeese*.

To dopiero była zmiana.

8. Lusaka

Słyszysz: Zambia. Pewnego dnia, podczas zebrania, w mailu, przez telefon dowiadujesz się, że ma to być Zambia, a równie dobrze mógłbyś usłyszeć: Zimbabwe, Malawi, Mozambik. Nieznany kraj w głębi Afryki. Później, kilka tygodni później, jesteś w samolocie. Fakt, że podczas tamtego zebrania, w tamtym mailu, podczas tamtej rozmowy telefonicznej padło hasło Zambia, nabiera decydującego znaczenia. Inny język, inna historia, inne potrawy, inne krajobrazy, inni ludzie. Wszystko to było, na początku, słowem.

Ktoś powiedział mi: Zambia.

Jest noc. Przelatuję nad Mediolanem, całym w złocie. Słucham muzyki. W samolotach słucham zazwyczaj muzyki, żeby nie słyszeć samolotów. Samoloty mają język, którym nie można wyrazić ulgi, wytchnienia, dobrego samopoczucia – każdy znak sygnalizuje niepokój. Tylko nieobecność znaków jest znakiem pozytywnym; szum, przerwa w szumie, zmiana szumu samolotu to znaki niepokoju. Zastanawiam się, czy istnieją inne języki takie jak ten. Jednak dawno już postanowiłem nie słuchać tego języka, za to słuchać muzyki – wielu ludzi przyjmuje taką postawę wobec świata.

Jem krewetki królewskie w mleku kokosowym, popijając południowoafrykańskim chardonnay – my, najbogatsi, jemy w samolotach najbogatsze i najsmakowitsze potrawy. I oglądam na jednym z kanałów na swoim ekraniku – my, najbogatsi, mamy więcej kanałów na swoich ekranikach – program pokazujący bogactwo kulinarne Islandii. Nagle w moich myślach pojawia się jutrzejsza bieda Zambii; przełączam na wiadomości. Słyszę, że wynaleziono właśnie komórkę, która dzwoniąc, nie wydaje dźwięku, lecz rozsiewa miły zapach.

W dali, bez zapachu, zawieszona na niebie: tak, teraz połowa księżyca – ale nie półksiężyc.

Dla tego, kto leci, samolot jest formą uporządkowaną, potężną, która przecina niebo dziesięć tysięcy metrów ponad innymi ludźmi, z szybkością tysiąca kilometrów na godzinę. Dla tego, kto patrzy z ziemi – malutką zabawką, rozwiewającym się białym błyskiem.

Albo może: jest niczym, dotyczy innych.

Przez chwilę zaprząta mnie kwestia rzeczy – słońca, gwiazd, księżyca, pewnych fałszywych wspomnień – pozbawionych zapachu.

Kiedy wysiadam z samolotu, od razu na płycie lotniska widzę czekającego na mnie mężczyznę z tabliczką UNFPA. Obok niego stoi dwóch innych mężczyzn i trzy kobiety; jedna trzyma wielki bukiet kwiatów. Wydaje mi się to – i byłoby – przesadą, jednak nie ja jestem fetowany. Moim samolotem przyleciała również wysoka urzędniczka organizacji; dostaje kwiaty, mnie dołączają do orszaku. Prowadzą nas drogą VIP-ów, załatwiają formalności: przechodzę przez kontrolę paszportową, nie przeszedłszy przez nią. Potem wsadzają mnie do jeepa – podczas gdy szefowa jedzie mercedesem. Z przodu policjant na motocyklu, na sygnale, otwiera nam przejście w korkach porannego szczytu, o ósmej rano. Twarda sztuka: spycha wszystkich na pobocze. Jakoś się posuwamy; zastanawiam się, czy to potrzebne. Nigdy nie znajdowałem się po tej stronie sprawy.

Centrum Lusaki przypomina prowincjonalne miasteczko, które się nagle rozrosło: niska zabudowa, szerokie ulice, tłumy ludzi, zapach moczu, mnóstwo odręcznych napisów. W Lusace nie ma neonów świetlnych – czy choćby malowanych farbami akrylowymi. Lusaka jest podłą mieściną, za przeproszeniem, miastem nowym, ale biednym, właściwie czystym,

uporządkowanym: z pół tuzina wieżowców w centrum, parę dużych willi na przedmieściach – siedzib ambasad i domów miejscowych bogaczy – ubogie dzielnice wszędzie dookoła. Nie podoba mi się; nie wiem, gdzie oczy podziać.

Kiedyś czytałem, że ktoś nazwał drzewa – kiedyś czytałem, że ktoś nazwał drzewa – pomnikami Afryki. Brzmi to dobrze i nawet wydaje się prawdą, mam tylko jedno zastrzeżenie: idea pomnika – jego wartość – polega na tym, że krystalizuje on pewien moment w dziejach ludzi, utrwala dzieło dokonane w danym miejscu i czasie. Drzewo natomiast istnieje dzięki temu, że ludzie otoczyli je szacunkiem albo że wykazali się opieszałością: nie przyszło im do głowy ściąć je.

Turyści i podróżnicy, którzy przybywają do Afryki, szukają przyrody. Nikt nie przybywa tu po to, aby oglądać pomniki – czy cokolwiek uczynionego ręką ludzką. Mogłoby to być dla tych ludzi obraźliwe, gdyby nie fakt, że już zostali obrażeni na wszelkie możliwe sposoby, poczynając od niewolnictwa, i że wykorzystują swoją przyrodę, aby zarobić.

Zambia to kraj uprzywilejowany: ubóstwo utajone. Nie było tutaj wojen ani rzezi, ani głodu, ani milionów emigrantów/uchodźców, rząd jest skorumpowany, ale stabilny, oczekiwana długość życia sięga czterdziestu lat, bezrobocie dotyczy trzech czwartych ludności, tylko co piąty mieszkaniec ma aids – a więc Zambia nie przeżywa w sposób nasilony żadnego z problemów, z którymi borykają się jej sąsiedzi. Jest tylko biedna, bardzo biedna. Poza tym nie wyróżnia się niczym szczególnym.

Czyż to nie ironia historii: potomkowie owych czarnych więźniów, którzy byli wywożeni jako niewolnicy do USA, żyją teraz, ogólnie biorąc, znacznie lepiej niż potomkowie czarnych wolnych ludzi, którzy tutaj zostali. To, że niewolnictwo może przynosić korzyść, wydaje się paradoksem. Może i nim jest.

Przychodzi mi do głowy inne możliwe kryterium podziału: kraje, w których można nabrać wody z kranu, oraz te, w których jest to

niemożliwe. To znaczy z jednej strony takie, w których sfera publiczna oferuje pewne zabezpieczenia – wszystkim – z drugiej zaś te, w których tylko ludzie mający pieniądze mogą owe zabezpieczenia kupić. Oto problem: subiektywność. Ja mogę nabrać wody w Paryżu albo Madrycie, Meksykanin również może jej nabrać w Mieście Meksyk.

Nie znam innego rejonu świata, w którym wyczuwałoby się tyle zapachów. Afryka aż kipi od zapachów. Zapach krwi na bazarach, obok zapachu rozmaitych warzyw, przypraw, zapach drzew i ziół unoszący się w rozgrzanym powietrzu; zapach pieniędzy – wymiętoszony, przepocony, obsceniczny zapach afrykańskich pieniędzy; zapach nawozu zwierzęcego na ulicach; zapach – wszędzie, gdzie gromadzą się ludzie – mydła kokosowego, którym myją się najubożsi. I wreszcie zapach czarnych ciał: zawsze głupio mi było mówić, że czarni pachną kozłem – wydają ten charakterystyczny dla nich kwaśny, przenikający głęboko, czasem przykry zapach.

Czy mogę powiedzieć, że czuć mocno czarnym? Czy może powinienem powściągnąć nieco zmysł i zastanowić się nad różnicą w potliwości między rasami, sprawiającą, że bardzo silnie odczuwamy zapach tych innych?

Pewien czarny mówi mi, że nas, białych, czuć trupem.

Ciągle jednak, przeszło czterdzieści lat po odzyskaniu niepodległości, przepuszczają mnie w kolejce, na ulicy i zwracają się do mnie: *boss, bwana*.

Zambia narodziła się w 1964 roku; jestem od niej o siedem lat starszy. To dziwne uczucie: znajdować się w kraju młodszym od siebie – jakbym był sędziwym starcem. Czytam gdzieś, że w tamtym momencie w całej Zambii było trzydzieści sześć osób z tytułem uniwersyteckim; przypuszczam, że więcej było na moim osiedlu.

Niewiele rzeczy wydaje mi się przykrzejszych niż widok mężczyzny w garniturze: widok czarnego w garniturze byłby jedną z nich. Garnitur jest na ogół formą ujarzmienia – znakiem przynależności do najgorszego ze światów współczesnych, świata korporacji. Nosząc garnitur, ludzie nie muszą się ubierać, dokonywać wyboru, mówić o sobie. Nie: człowiek nakłada biznesowy uniform – i przynależy. Ale biali przynajmniej zachowują tradycję, którą sami biali stworzyli. Czarni też ją zachowują – i to jest jeszcze smutniejsze.

W Zambii istnieje sposób okazania bogactwa, który poznaliśmy my, Argentyńczycy: mieć grube zwitki banknotów. Są banknoty o nominale pięćdziesięciu kwacha na przykład – jednego centa amerykańskiego – i widziałem człowieka płacącego za bilet w autobusie trzydziestoma takimi banknotami. *Kwacha*, nazwa waluty zambijskiej, oznacza jutrzenkę, świt.

Wymiętoszony, przepocony, obsceniczny zapach pieniędzy.

W kraju, w którym ubodzy chodzą boso, posiadanie butów wyznacza różnicę. To chyba dlatego widuje się owych mężczyzn i kobiety w czarnych, błyszczących, zamkniętych butach, tak niewygodnych w bezlitosnym słońcu.

Kontaktując się z miejscowymi urzędami, poznaję rozkosze pracy w jakiejś instytucji, cały jej mechanizm. Na przykład człowiek, do którego się zwracam, każe mi czekać trzy godziny. Moją pierwszą reakcją jest oczywiście powiedzieć mu coś o jego matce; nikt nie ma prawa robić mi takiego świństwa. Potem uświadamiam sobie, że jeśli powiem, może zacząć mi tak bruździć, że w ogóle nie skończę swojej pracy – albo ją spartaczę – i naturalnie wszyscy w całej instytucji będą wiedzieć, że nawaliłem. Może ten i ów się dowie, że ktoś spóźnił się trzy godziny, ale to nie będzie miało znaczenia wobec faktu, że przejechałem pół świata, żeby przeprowadzić zasrany wywiad, ale go nie przeprowadziłem. Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak udawać głupka wobec tego faceta i robić dobrą minę do złej gry. To chyba znaczy pracować w zespole.

Coraz większą odrazę budzą we mnie owi osadnicy angielscy czy francuscy, którzy przyjeżdżali do tych dalekich, dzikich krajów, żeby żyć tak, jak nigdy nie mogliby żyć u siebie: mieszkać w wielkich domach, mieć służbę, zwierzęta – z przeproszeniem zwierząt. Mieli zadęcie wielkich panów, a byli gorsi od paragwajskiego robotnika. Robotnik sprzedaje się przynajmniej za to, czym jest: za parę rąk. Tamci ważniacy nadymali się jako rzekomi reprezentanci imperium, ono zaś wykorzystywało ich do najpodlejszych zadań.

Gruby, źle ogolony mężczyzna siedzący na plastikowym krześle w drzwiach ministerstwa czy czegoś takiego mówi, że nie. Nikt nie może wejść tymi drzwiami – albo mogą wejść tylko nieliczni – a gruby mężczyzna siedzi tutaj, aby o tym informować: mówi „nie" setki razy w ciągu dnia. Są różne formy mówienia „nie". Można wypowiedzieć to słowo cicho, z leciutkim pokręceniem głową, z wyrazem współczucia, wyniośle, wrzeszcząc niemal, z pogardą, zrozumieniem, mamrocząc, obojętnie. Gruby mężczyzna przez cały dzień, wszystkie dni, okazuje swoją absolutną władzę – tak absolutną, że służy mu tylko do tego, aby być władzą.

Bo co: gdyby mówił „tak", byłby chudszy?

Czymś najbardziej niebezpiecznym, co mi się przytrafiło podczas tej miesięcznej podróży do horroru, jest przechodzenie przez ulice Lusaki. Jak przystało na byłą kolonię angielską, utrzymany tutaj został ruch lewostronny. Niejeden raz na środku ulicy klakson półciężarówki nadjeżdżającej z prędkością stu kilometrów na godzinę uświadamia mi, że patrzę nie w tę stronę, co trzeba. Sądzę, że tym, co przez kilka stuleci utrzymywało imperium brytyjskie, nie była marynarka ani skuteczna administracja, ani operatywność handlowa, lecz fakt, że obowiązywał ruch lewostronny. Nikt nie mógł dokonać agresji na te ziemie, nie konfrontując się z koszmarem przechodzenia przez ulicę.

Dziennikarz zawsze jest ignorantem, który powinien udawać, że wie – i który nie szczędzi w tym celu wzmożonych, rozbrajających wysiłków – niemniej kiedy opuszcza swój kraj, sytuacja jeszcze bardziej się zaostrza. Poza swoim krajem dziennikarz zajmuje zwykle jedną z dwóch możliwych pozycji: najczęściej – to jego klasyczna rola – kręci się w pobliżu ośrodków władzy, nawiązuje kontakty z rządzącymi, politykami, popularnymi intelektualistami. Do nich dociera najłatwiej i to oni, w jego ograniczonej optyce widzenia spraw, są zarówno przedmiotem obserwacji, jak i podmiotem dyskursu, to znaczy: tematem artykułu i źródłem cytatów do tego artykułu.

Jeśli jednak dziennikarz, przebywając poza swoim krajem, uważa siebie bardziej za reportażystę, jeśli pisze po to, aby zaradzić nędzy świata, albo chociaż pracuje dla jakiejś organizacji pozarządowej, polem jego działania stają się najniższe rejony społeczne w odwiedzanych miejscach. Dlatego wyniesie stamtąd zawsze najgorsze możliwe wrażenia – myślałem dzisiejszego ranka, kiedy zrezygnowany przygotowywałem się do spotkania i rozmowy z wdową chorującą na aids.

I wyciągnąłbym stąd wniosek, że w obu wypadkach jego relacje będą nietrafione, dramatycznie nietrafione, dalekie od prawdziwego obrazu danego miejsca, gdyby nie to, że w moim przekonaniu takie właśnie są, z definicji, wszystkie relacje.

Na drogach Zambii zawsze jest pełno ludzi. Oto korzyść z mieszkania w tak ubogich domach: ludzie przebywają na zewnątrz.

Podróżowanie to kłopot, utrudnienie, ogromny wydatek. Widziałem tylu ludzi ściśniętych w ciężarówkach, pociągach, busach, idących na piechotę i uginających się pod ciężarem worków i koszy, wyczekujących w słońcu i deszczu, że mogę zrozumieć, że oni nie mogą zrozumieć: po co ktoś miałby podróżować, jeśli nie jest do tego zmuszony? Albo że rozumieją aż za dobrze: ci ludzie przyjeżdżający nie wiadomo po co muszą mieć gówno do roboty i do tego kupę pieniędzy, skoro wydają je na głupoty, nie? Tak wyglądamy w ich oczach – i chyba także we własnych.

Moją uwagę przyciągają ich głębokie pachy. Kobiety idą poboczem, jedną ręką albo obiema przytrzymując na głowie kosz, a ja nie mogę oderwać wzroku od tego cienia, wgłębionego, owłosionego, rozgrzanego. Już z daleka – wystarczy popatrzeć – czuć, że ich pachy wydzielają zapach, oddają wilgoć. I te wyprostowane plecy, ten wyniosły sposób dźwigania ciężaru, oczy utkwione w dali. Czasem tęskno mi do czasów, w których można było trzymać niewolników, to znaczy kiedy ogólnie przyzwoity człowiek mógł być właścicielem pewnej liczby niewolników, z absolutnym poczuciem spokoju, z jakim teraz trzyma w domu psa. Bez poczucia winy, bez jakichkolwiek wątpliwości; tęskno do kultury, która na to pozwalała, jak Grecja, Rzym. Jak miło musiało być sprawować tę władzę bez niepokojów, niepewności, opierając ją na absolutnie uczciwej, pewnej, trwałej relacji: pracujesz dla mnie, ponieważ do mnie należysz. Albo nawet: rozkładasz nogi, bo cię kupiłem. Wiedzieć, że nie ma żadnego zaangażowania czy podtekstu – ciało, i już. Tylko na pewno lepiej było pozostawać po dobrej stronie. Albo nie, powiedziałby może jakiś Hegel: która to jest dobra strona? Strona właściciela, który korzysta z władzy, ale sprawuje ją z obrzydzeniem? Czy strona niewolnika, który znosi władzę nad sobą, ale syci się doskonałością niewinności?

Niektóre pytania wydają się przenikliwe, a potem wychodzi z nich co innego. Są pułapkami: pokazują, że choćbym się nie wiem jak napinał, nie wyrwę się ze swojej kultury.

Ale w takim razie dokąd zajdę?

Ze zdumieniem przypominam sobie, że w Atenach na przykład niewolnicy niekoniecznie byli „innymi” – nie zawsze byli to Germanie, Nubijczycy, Galowie, Mauretańczycy; czasem sami Grecy popadali w niewolę za długi albo z innych przyczyn. Podobnie w Rzymie czy Izraelu, czy feudalnej Europie. Niewolnik jako ktoś inny był sprytnym wybiegiem skomercjalizowanej nowoczesności: nie obawiajcie się, ubodzy biali, zrujnowani Galisyjczycy, posępni Bretończycy, pijaczkowie z Wirginii, to

was nie dotyczy, chodzi o tamtych ciemnoskórych, tamtych Indian. Tak można zmontować więź klasową.

Oto pewna forma zdefiniowania historii kultury, wszystkich religii: określone sztuczki pozwalają jednym bronić interesów drugich. Czuję, że zgłodniałem.

Zatrzymujemy się w stolicy jednej z prowincji południowych, w Głodnym Lwie. F. mówi mi, żebym się najadł, że dalej już nie znajdziemy tak dobrego jedzenia. W Głodnym Lwie można kupić pieczonego kurczaka w kawałkach, jak w KFC.

Jednak pewne obrazy z tego miesiąca księżycowego już nakładają mi się na siebie. Przypomina mi się James, mój kierowca w Monrovii, i to, jak nużyły mnie wiadomości radiowe puszczane przez niego na okrągło. Wiem, że kiedy siedziałem w jego jeepie, tamta treść była teraźniejszością, pełną, gęstą jak tyle razy w innych momentach, niemniej jako przeszłość jest niczym: brakuje jej spójności, jakoś się rozłazi. I zastanawiam się, czy można odgadnąć w teraźniejszości, która z jej chwil przeobrazi się w istotną przeszłość, przeszłość nabrzmiałą znaczeniem – mam bowiem świadomość, że wiele razy się pomyliłem.

Dlaczego więc przypomniał mi się James i jego radio teraz, w innym jeepie UNFPA, na drodze prowadzącej na południe Zambii, w chwili, która nie ma – nie wydaje się mieć – najmniejszej wagi, chociaż jest utkana z nieoczekiwanych wspomnień o Jamesie i ze wszystkich chwil, kiedy zastanawiałem się, czy w momencie teraźniejszym tych chwil przewidziałem ich późniejsze wspominanie, a na dodatek ze wszystkich chwil w stosunku do tych w jeepie odległych: kiedy będę czytał te linijki i myślał, jaki przypadek sprawia, że niektóre chwile przeobrażają się we wspomnienia, inne zaś, bardziej dyskretne, sekretne, rozwiewają w powietrzu, stają powietrzem.

Z boku szosy, na nasypie z gruzu i pyłu, wywróciła się właśnie stara czerwona furgonetka: leży ciągle kołami do góry. Widać, że przewoziła wiele towaru: wszędzie dookoła porozrzucane skrzynki, worki, potłuczone szkło, pootwierane walizki, ubrania, chłopak całkiem biały – pobielały. Leży na ziemi twarzą do góry, z rozpiętą koszulą, rozrzuconymi szeroko nogami, głowa oparta na czymś ciemnym, lewa ręka wzdłuż boku, prawa na piersi. Nie żyje. Wokół niego trzy osoby – dwie kobiety, dziecko – kręcą się bez celu. Jeszcze pies: jedyny, który się przybliża do chłopaka, martwego ciała. Zastanawiam się, czy ułożono mu w ten sposób ręce – prawa ugięta, lewa wyprostowana – z jakichś szczególnych powodów, według jakiegoś wyobrażenia o tym, jak powinni spoczywać zmarli. Martwe ciało może zostać ułożone w dowolny sposób – jest giętkie, wciąż jeszcze plastyczne – ale zawsze układa się je twarzą do góry, jakby zmarły patrzył w niebo z nadzieją albo wyrzutem. I na ogół nie zgina się rąk ani nóg; jest jakaś godność śmierci, śmierć narzuca godną postawę, która tego chłopaka nie objęła – albo na razie nie objęła. Może upadł w tej pozycji albo tak się położył, umierając, albo tak go ułożono, żeby się nim zająć, i nie ruszono, kiedy ktoś stwierdził, że już nie ma po co. Pies w każdym razie patrzy na niego z mieszaniną zdziwienia i złości: coś w zachowaniu pana wydaje mu się niedopuszczalne, a w każdym razie osobliwe, niezrozumiałe.

Później słucham, jak kilku gruźlików mówi o swojej chorobie i żaden nie wypowiada słowa „gruźlica". Mówią: TB. I słucham kilku chorych na aids, jak mówią o swojej chorobie i żaden nie wypowiada słowa „aids". Mówią: jestem pozytywny. Zawsze jedne słowa okazują się bardziej chorobotwórcze niż inne.

Już zwróciłem uwagę, że kobiety zambijskie chodzą skromnie ubrane, zakryte, ale nie chciałem iść w tym myśleniu za daleko: wstyd mi było popadać w banał twierdzenia, że czarne kobiety są rozwiązłe, bo dzikie, niecywilizowane, piersi na wierzchu, łono – proszę bardzo, żadnego skrępowania. Ulżyło mi, kiedy usłyszałem, że Ebbo twierdzi to samo. Ebbo wie dobrze: jest dwudziestodziewięcioletnim Zambijczykiem, który w owej skromności upatruje przyczyny swojej niedoli. Kiedy pojechałem pierwszy

raz do Zimbabwe, oszalałem na punkcie ich kobiet, mówi. Były tak inne, nosiły króciutkie spódniczki, o, dotąd; nie mogłem się opanować.

Ebbo zajmował się przemytem drobnych towarów między Zambią a Zimbabwe – i wydawał zwykle wszystko, co zarobił, na prostytutki w Zimbabwe. Ma aids, jest bardzo wychudzony, poci się; teraz gotów jest się biczować i prawić kazania: jego niemoc to sprawiedliwa kara dla tego, kto prowadził rozwiązłe życie. Gdyby choroba ta nie istniała, któryś papież musiałby ją wymyślić.

Czasem myślę, że tak, wymyślili; gorsze rzeczy robili – a po kilku stuleciach proszą o wybaczenie.

W Kapiri, mieście oddalonym o dwieście kilometrów od stolicy, jest więcej – jeszcze więcej – chorych na aids niż na całym pozostałym obszarze kraju, ponieważ jest to ważny węzeł kolejowy i drogowy. W miejscach tego typu dynamiczniej rozwija się handel. Oprócz podróżujących są tu ludzie, którzy przyjeżdżają kupować to, co tamci przywożą, są tacy, którzy sprzedają jedzenie, są takie, które sprzedają swoje ciała. Tak rozwinęły się miasta. Tak teraz wiele osób się zaraża.

Spędziłem właśnie dzień w Kapiri, rozmawiając z młodymi dziewczynami chorymi na aids. Dwie zapadły także na gruźlicę, trzy straciły mężów, dwie mają zarażone dzieci. Oprócz jednej, po której widać, że jest ciężko chora, pozostałe uśmiechają się i tłumaczą mi, używając wszystkie tych samych słów, w zdaniach brzmiących jak z warsztatów prowadzonych przez organizacje pozarządowe: że kiedyś się wstydziły, teraz jednak zaakceptowały swoją sytuację i czują się wolne, że akceptacja odmieniła ich życie, że uczą się żyć jako osoby pozytywne i planować przyszłość. Chyba mówią to wszystko z przekonaniem. Oto maleńkie cuda ideologii.

Powiedziano jej, że musi porzucić szkołę, ponieważ nie starcza pieniędzy. Ale tego dnia dowiedziała się od rodziców również o tym, że znaleźli jej męża i ślub odbędzie się w ciągu miesiąca. Matka pokazała jej zdjęcie: chłopak miał

dwadzieścia parę lat i do twarzy mu było w mundurze. Był młodszym bratem sąsiada z jej wioski, Mpika, na północy Zambii. Sąsiad i rodzice omówili szczegóły.

– Pieniędzy za mnie zbyt wiele nie dostali, około trzystu tysięcy kwacha, ponieważ należę do ludu Bemba, a Bemba nie oddają drogo swoich kobiet.

Trzysta tysięcy kwacha było ceną średniego cielaka. Edna miała siedemnaście lat i pomyślała, że ślub jest czymś jak najbardziej oczywistym: skoro nie mogła już chodzić do szkoły, nie miała w życiu nic innego do roboty.

– Nie znałam go oczywiście, ale znałam jego rodzinę i wybrali go moi rodzice. Wszystko było w porządku.

Jej ojciec był emerytowanym urzędnikiem miejskim, matka zajmowała się domem. Mieli czternaścioro dzieci; trudno było utrzymać rodzinę. Edna była ładna: wysoka, wyrośnięta, szeroki nos, silnie zaznaczone kości policzkowe. Kiedy pierwszy raz zobaczyła swojego żołnierza, poczuła się trochę zalękniona; dziwnie jej było pomyśleć, że ma spędzić z nim resztę życia, ale skoro tak postanowili rodzice, z pewnością mieli rację. Edna nauczyła się od starszych, że starsi zawsze mają rację.

– A gdybyś nie chciała wyjść za niego, co by się stało?

– Nie wiem.

Odpowiada Edna i śmieje się; dodaje, że nigdy taka myśl jej w głowie nie postała. Zamieszkali w dzielnicy wojskowej obok koszar w Kabwe-Chindwin, w centrum kraju. Edna była zadowolona. Po roku urodziła pierwszą córkę, mąż prawie nigdy jej nie bił, przynosił pieniądze; wszystko układało się dobrze. Prawda, że jako żołnierz nie zawsze był w domu – często wysyłano go na dłuższe misje – ale kiedy wracał, zwykle przywoził jej jakiś upominek; i kolejny raz zachodziła w ciążę. Czasem czuła się obrażona: oczywiste było, że podczas tych misji zadawał się z innymi kobietami. Jak kiedy przez sześć miesięcy stacjonował przy granicy z Namibią. Po latach Edna miała powziąć przypuszczenie, że to właśnie wtedy zaczęła się katastrofa.

Ale go rozumiała: mężczyzna nie może być tak długo bez kobiety, a jej mąż był chłopem na schwał. Ona dochowywała wierności: kobiety to co innego. Kiedy męża nie było, zajmowała się drobnymi interesami: smażyła racuszki czy piekła ciastka i sprzedawała na targu. Nie miał złej pensji – zdobył już gwiazdkę sierżanta – ale nie zaszkodziło coś dorobić.

Po córce zdążyły się urodzić kolejne dzieci – dwaj chłopcy – kiedy on zaczął czuć się źle, był osłabiony, nie w formie. Nie żeby chorował bez przerwy, ale czasem, jak przychodził kryzys, przez parę dni leżał w łóżku, nie mogąc się podnieść. Edna prosiła, żeby poszedł do szpitala, dał się przebadać; on się denerwował i kazał jej milczeć. Na początku 2001 roku urodziło się czwarte dziecko, córka, a w sierpniu zmarł ojciec Edny.

W grudniu 2001 cała rodzina musiała udać się do pobliskiego Kapiri na pogrzeb. Szli ulicą, kiedy mąż runął jak długi. Wiele osób podbiegło – na ulicach afrykańskich zawsze jest dużo ludzi – ale nic już nie dało się zrobić: nie żył.

Edna znalazła się w nowej dla siebie sytuacji: nie miała ojca ani męża, który by się o nią zatroszczył, nie wiedziała, dokąd pójść, co począć. Kilka dni po pogrzebie znalazła list, który zostawił jej mąż na wypadek swojej śmierci: pisał, że zrobił sobie test na HIV i wynik był pozytywny – jednak wolał jej o tym nie mówić.

– Co poczułaś, kiedy znalazłaś te papiery?

– Nic.

Mówi, uśmiechając się. Edna uśmiecha się przez cały czas – i wydaje się, jakby przepraszała.

– Nie poczułaś gniewu wobec męża?

– No, najpierw byłam załamana, rozchorowałam się, dwa tygodnie leżałam w szpitalu. Potem jednak dotarło do mnie, że jest wiele innych wdów w tej samej sytuacji i jeśli one dają sobie radę, to i ja dam. Teraz myślę, że nie mam co się obrażać; skoro tak czy owak nie żyje, nic mu nie mogę zrobić.

Powzięła przypuszczenie, że mąż zaraził się wtedy, kiedy wyjechał do Namibii; słyszała, że tam kobiety są bardzo łatwe, bardzo bezwstydne. Ale to nic nie zmieniało.

W Zambii, tak jak w pozostałych krajach południowej Afryki, wirus HIV/aids czyni spustoszenie. Tysiące mężczyzn szukają pracy w kopalniach złota RPA; mieszkają tam latami, oddaleni od rodziny, i mają kontakty z prostytutkami, które często ich zarażają. To samo dotyczy kierowców ciężarówek, przemierzających tak zwany Korytarz Śmierci – biegnie on od Tanzanii do Republiki Południowej Afryki, przez Malawi, Mozambik, Zambię, Zimbabwe, Botswanę. Mapy pokazują, że wioski i miasta wzdłuż tego szlaku stanowią ogniska bardzo licznych zachorowań na aids. Są jeszcze żołnierze, kupcy, przemytnicy, pracownicy kolei – cała ta mobilna grupa, która przyczyniła się do rozszerzenia choroby w tym regionie.

Dowiedziawszy się, że jej mąż umarł na aids, Edna zrozumiała, że powinna zrobić sobie test, ale się bała. Ociągała się dwa lata: podejrzewała, ale wolała nie sprawdzać. Aż pewnego dnia zebrała się na odwagę i poszła do szpitala. Po tygodniu miała odebrać wyniki. Tego dnia przyjmująca ją pielęgniarka zapytała, czy jest przygotowana. Edna bardzo się zdenerwowała; nie potrafiła odpowiedzieć. Pielęgniarka powiedziała, że w takim razie lepiej, żeby wróciła do domu, przygotowała się i przyszła jutro. Edna wiedziała, że usłyszy od pielęgniarki to, co już sama podejrzewała.

– A teraz, kiedy jestem pozytywna, co mam robić? Chciałabym, żeby mi ktoś powiedział, co mam robić.

Spytała o to pielęgniarkę następnego dnia. Pielęgniarka wysłała ją na rozmowę z pracownikami Korytarzy Nadziei, organizacji pozarządowej pracującej wśród chorych na aids. Wytłumaczono tam Ednie kilka spraw: że bycie seropozytywnym nie wyklucza ze społeczeństwa, że powinna zaakceptować chorobę, nie przemilczając jej, zacząć kurację otrzymanymi od nich lekarstwami i zmienić dietę, że HIV to nie koniec świata i że może z tym żyć długo. W Zambii jedna na pięć osób jest seropozytywna. To bardzo wysoki wskaźnik, choć niższy niż w innych krajach regionu: w Zimbabwe na przykład liczba oscyluje wokół trzydziestu procent; oznacza to jedną osobę na trzy. Aids stanowi centralny temat życia kraju: afisze w miejscach publicznych, gazety, programy telewizyjne, rząd, ludzie – wszyscy mówią bez przerwy o aids. Niemal połowę łóżek szpitalnych w kraju zajmują chorzy na aids, a liczba „sierot aids" wzrasta z dnia na dzień.

Edna została zaatakowana przez chorobę na kilku frontach. Po tym, jak się dowiedziała, że sama ma aids, zmarły dwie z jej sióstr, ona zaś opiekowała się nimi w ich ostatnich dniach i pozostała z czwórką ich dzieci – oprócz własnych. A przed kilkoma miesiącami odkryła, że jej młodsza córka również jest pozytywna.

– Nie wiedziałam, że moja córka może być zarażona, że tak malutka dziewuszka może być pozytywna.

– Co zrobiłaś, kiedy się dowiedziałaś?

– Nic. Wiedziałam już dostatecznie wiele na temat choroby i potrafiłam to przyjąć. Teraz tylko muszę córkę pielęgnować, kochać, pomagać jej, żeby nie czuła się izolowana.

Uśmiecha się przepraszająco.

– Czułaś się winna?

– Nie, tak jest gorzej. Już mnie nauczono, że jeśli będę wciąż myśleć o tym, że to moja wina, będę słabsza, zestresowana, a to niedobrze ze względu na moją chorobę. Wtedy mogę umrzeć wcześniej i zostawię biedne dziecko samo. Najgorsze, co mogę dla niej zrobić, to czuć się winna.

Mała ma sześć lat i choruje też na gruźlicę. Lekarze muszą zająć się najpierw jej płucami, nim będą mogli zafundować jej koktajl antyretrowirusowy, który przyjmuje już matka. Rząd stara się dostarczać leki – większość chorych nie mogłaby ich wykupić. Edna otrzymuje je w szpitalu w Kapiri, gdzie teraz mieszka. W szpitalu prawie wszyscy lekarze są cudzoziemcami, wolontariuszami z organizacji Lekarze bez Granic. Wielu lekarzy zambijskich emigruje po skończeniu studiów – do Anglii, USA, Kanady – i w kraju jest stały deficyt personelu.

W szpitalu Edna otrzymuje również suplement diety. Nie ma zbyt wiele pieniędzy i jej dieta, tak ważna w leczeniu, nie jest odpowiednia. Zarabia trochę jako edukatorka HIV/aids pracująca dla różnych lokalnych organizacji pozarządowych; poza tym wciąż sprzedaje żywność na targu. Wygląda na to, że sobie radzi, jest aktywna, otwarta, podczas rozmowy nie przestaje się szeroko uśmiechać. Akceptuje to, że mąż ją zdradzał i zaraził, że jest chora, że jej siostry zmarły na aids, a córka również jest pozytywna – wszystko z uśmiechem na twarzy.

– Jak udaje ci się pogodzić z tyloma sprawami?

– Tak jak powiedziałam: rozmawiam z ludźmi, z przyjaciółmi, z osobami, które przechodzą to samo. Jest nas tylu, więc widzę, że można żyć i tak – jako osoba seropozytywna.

– A czego oczekujesz od przyszłości?

– Niczego. Chcę zrobić wszystko, co możliwe, aby moje dzieci były szczęśliwe, może założę jakiś biznes, żeby żyło im się lepiej. Nie wiem, najważniejsze to zrobić coś dobrego dla dzieci, zanim umrę.

– Boisz się śmierci?

– Nie.

Mówi, śmiejąc się.

– Dlaczego nie?

– Widziałam, jak umierało wiele osób. Moi bracia, siostry, ojciec, mąż, wszyscy umarli. I ja umrę pewnego dnia, ale się nie boję. Zależy mi tylko na tym, żeby zdążyć odchować dzieci, zanim umrę.

– Wierzysz, że jest jakieś życie po śmierci?

– Biblia mówi, że tak, że istnieje życie po tym życiu, i ja jej wierzę.

– Jak je sobie wyobrażasz?

– Nie wyobrażam sobie. Nie mogę sobie wyobrazić.

Edna mówi, że nie ma teraz narzeczonego i nie dba o to, nie ma ochoty. No, przyzna potem, pewien mężczyzna zaleca się do niej i nawet zaproponował jej małżeństwo. Powiedziała mu, że jest pozytywna, ale odparł, że nieważne, że i tak ją kocha. Ale ten człowiek to kupiec mieszkający w innym mieście, który przyjeżdża do Kapiri od czasu do czasu; poza tym jest już żonaty. To nie byłby problem: gotów jest wziąć ją za swoją drugą żonę. W Zambii prawo i obyczaj pozwalają mężczyznom mieć kilka żon. Jednak Edna się waha: boi się, że jej dzieciom nie byłoby dobrze z mężczyzną, który nie jest ich ojcem.

– Ale tak czy owak, gdybym za niego wyszła, musiałby używać prezerwatywy. Nie chcę, żeby zachorował i dalej rozsiewał aids.

– A zgodziłby się używać prezerwatywy z żoną?

– Nie wiem, jeszcze nie odważyłam się go spytać.

Mówi Edna i wraca do sprzedawania racuszków na targu w Kapiri.

Zawsze zdumiewa mnie, jak elastyczna jest miara dźwiganego przez nas bólu, to znaczy, jak łatwo cierpienia, które zdawały się nie do wytrzymania, obracają się w codzienność – jak uczymy się żyć życiem, które powinno być nam obce.

F., pełna poświęcenia lekarka, skarży się, że jej wysiłki pozostają niezauważone. Zwalczamy aids z wielkim zaangażowaniem i skutecznością – mówi – lecz w statystykach wychodzi coraz wyższy procent seropozytywnych. Chodzi o to, że przy nowych lekarstwach zarażeni żyją o wiele dłużej i wciąż są uwzględniani w statystyce. Kiedyś umierali szybko – mówi – i w ten sposób liczba seropozytywnych malała.

W każdej rzeczy dobrej istnieją, jak sądzę, cząstki zła – i na szczęście vice versa.

Czytanie gazety codziennej stanowi zawsze doświadczenie niekompletności: oto słowa nawiązujące do słów wcześniejszych, historie niezrozumiałe bez tych, które je poprzedziły. Czytanie gazety w nieznanym kraju – czytanie gazety w Zambii – jest takim doświadczeniem doprowadzonym do skrajności.

I to mimo że świat stał się – podobno – zglobalizowany i pewne formy pojawiają się w każdym miejscu. Język poprawności politycznej, której głównym heroldem jest potężny zastęp organizacji pozarządowych, upowszechnia się, wynaturza. Czytam w gazecie zambijskiej, że nowo powstała grupa kobiet w pewnym miasteczku stawia sobie za cel „zapewnić swoim członkiniom wzmocnienie wydolności ekonomicznej", czyli dać zarobić. Nie będziemy już mówić: będziemy udawać, że mówimy, żeby nikt nie zauważył, że nie mówimy, i w ten sposób będziemy mogli mówić tak, żeby nie powiedzieć tego, co byśmy powiedzieli, gdybyśmy mogli także milczeć.

Jedna z gazet przemawia jednak serio: „Mężczyzna zapowiada, że nigdy nie pogodzi się z żoną", głosi nagłówek artykułu w dziale Sprawy Sądowe w „Sunday Mail". Dział Sprawy Sądowe relacjonuje najcudowniejsze historie, jakie czytałem kiedykolwiek w jakiejkolwiek gazecie. Ten artykuł na przykład opowiada o panu Boniface Mwanza, który zapowiedział, że nie pogodzi się nigdy ze swoją żoną, gdyż nie wie, co zrobiła ona z trzema parami jego slipek. „Mwanza zeznał przed sądem, że ilekroć pokłócił się z żoną, ta wracała do domu swoich rodziców i pozostawała tam przez kilka tygodni. Przy jednej z takich okazji odkrył, że brakuje mu trzech par slipek, a wiedział, że tylko małżonka mogła je zabrać. Mwanza oświadczył również, że nie pogodzi się z żoną, ponieważ jest ona leniwa i nie wywiązuje się z zadań domowych, należących do jej obowiązków. Powiedział, że kiedyś, kiedy brakowało mu szortów, znalazł je u jednego z braci żony. Mwewa zeznała z kolei, że Mwanza jest bezwstydnikiem, który sprowadza kobiety do domu, jak tylko ona wyjedzie. «Mwanza mnie nie kocha, ponieważ jestem niska i szczupła. Mąż powiedział mi, że chce się ożenić z kobietą wysoką i tęgą. Spakował moje rzeczy i kazał mi się wynosić do rodziców», ujawniła Mwewa". Sąd uznał, że małżeństwa nie da

się uratować, i nakazał panu Mwanza wypłacenie byłej żonie, tytułem odszkodowania, sumy półtora miliona kwacha – około trzystu dolarów.

Inne artykuły z dzisiejszego wydania informują, że pewna dwudziestopięcioletnia mężatka zgodziła się na *affaire* z mężczyzną czterdziestosiedmioletnim, gdyż ten obiecał oddawać jej część swojej pensji, lecz o ile ona wywiązała się z umowy, on usiłował się wykręcić. Że pewien mężczyzna w wieku sześćdziesięciu lat chce się rozwieść z żoną, ponieważ znalazł u niej prezerwatywy, a kiedy indziej zdybał ją w objęciach swojego brata. Że pewna gospodyni domowa zażądała odszkodowania, po tym jak mąż wyrzucił ją z domu, kiedy odmówiła współżycia z nim jako chorym na gruźlicę.

A zatem: gazeta, która mówi o życiu ludzi.

Tutaj biały idący piechotą wydaje się znakiem nadzwyczajnego zagrożenia, któremu dziesiątki taksówkarzy usiłują zaradzić: *taxi, boss, here, bwana, taxi*. Nie mogę przejść pięćdziesięciu metrów, żeby choć raz nie powiedzieć: nie. Przykra jest ta konieczność nieustannego odmawiania.

Nie wydaje mi się to interesującym znakiem władzy.

Afrykańczycy mieli wiele uciechy, projektując swoje flagi. Sztandary narodowe państw zachodnich powstały między rewolucją francuską a rokiem 1870 i odpowiadały określonemu kanonowi: dwa czy trzy pasy, kolory podstawowe, elegancki układ, godło. Tylko Stany Zjednoczone chciały być dowcipne i wymyśliły tyle pasków. Afrykańczycy dotarli jednak do supermarketu z flagami o wiele później, w rozkwicie kultury pop lat sześćdziesiątych, i pod pretekstem zachowywania tradycji plemiennych i swobód zaczęli tworzyć straszliwe hybrydy, dając początek modzie we flagach, stylowi: łatwo poznać, że jakaś flaga jest flagą państwa afrykańskiego. Zambijska, żeby nie szukać daleko, jest niemal cała zielona z trzema pionowymi pasami – pomarańczowym, czarnym, czerwonym – w prawym dolnym rogu i ptakiem u góry.

Przed budynkiem zambijskiego Sądu Najwyższego, angielskim budynkiem Anglików, stoi posąg czarnej sprawiedliwości, z mieczem w jednej ręce, wagą w drugiej, z szeroko otwartymi oczyma. Podoba mi się sprawiedliwość patrząca.

Na poboczu ulicy, właściwie drogi, w cieniu drzewa o żółtych kwiatach, siedzi na kamieniu młody mężczyzna i sprzedaje cukierki i papierosy na sztuki, po jednym. Ma na sobie ciemnozielony garnitur, białą koszulę, do tego błękitny krawat, na nosie czarne okulary. Pytam, czy nie jest mu gorąco w tym ubraniu. Czasem tak, ale robię biznes, mówi, jakby to miało wszystko wyjaśniać. Biznes to w Afryce potężne, pojemne słowo. Miliony ludzi bez stałej pracy robią biznes, to znaczy: sprzedają cukierki, pirackie płyty DVD, okulary, chińskie zegarki, różne racuszki, pierożki, przemycane narkotyki, rodzime zioła, ręczniki Manchesteru albo Barçy, piłki futbolowe, scrabble, malutkie żmije, dziwne fistaszki, krawaty, patyczki do uszu, lakiery do paznokci, kradzione komórki. Biznes jest rachitycznym płucem Afryki. A poza tym historia siedzącego pod drzewem mężczyzny, który nie bez powodu ma na sobie garnitur – w końcu jest to uniform odpowiedni dla biznesu – wydaje się spreparowana po to, żeby parafować moją przedwczorajszą wypowiedź na temat garniturów i czarnych. Co zatem robię? Zaczynam od opowiedzenia jej, jak każą kanony starego, dobrego dziennikarstwa, po czym dodaję własną refleksję? Pomijam ją, gdyż wydaje się zbyt naginana do moich celów, nieomal wymyślona? Próbuję nadać jej wiarygodność poprzez jakąś informację czy szczegół, który ją wyodrębni i uzupełni? Czy funduję sobie małą dyskusję na ten temat, a wtedy nikt już nie ma wątpliwości, że historia była prawdziwa, zaś moje intencje jak najlepsze?

Na wielkim targu w Lusace jest mnóstwo straganów, na których sprzedaje się kłódki. Dziewięćdziesiąt procent ubóstwa – kłódki.

Zawsze, od trzydziestu kilku lat – odkąd podróżuję – lubiłem chodzić w miejsca, gdzie jest dużo ludzi, na bazary, do ubogich dzielnic, a jednym

z powodów – jednym z pretekstów? – był fakt, że w każdym kraju były one inne, podczas gdy strefy bogate zazwyczaj wyglądały wszędzie podobnie. Jest w tym jakaś logika: w większej części świata – przede wszystkim w Trzecim Świecie – bogaci starali się upodobnić stylem życia do metropolii i w rezultacie budowali jednakowe domy, jednakowe sklepy, tworzyli taki sam pejzaż. Biedni natomiast nie mieli czasu ani możliwości, żeby szukać tych wzorów: targ w Zanzibarze raczej nie przypominał targu w Cuzco. Teraz to się zmieniło. Może dlatego, że biedni oglądają telewizję i importują wzory. Jednak bardziej niż cokolwiek wpłynął na tę sytuację zalew chińszczyzny: dzisiaj na targu w Zanzibarze i w Cuzco, i na wszystkich innych, sprzedawane są te same chińskie T-shirty, adidasy, radia, pirackie płyty DVD, żarówki, dezodoranty. Czy można powiedzieć, że bogaci dążyli do jednorodności, biedni zaś nie mogli przed nią uciec? W każdym razie nie może przed nią uciec reporter, okazjonalny *flâneur*, który musi się coraz więcej nachodzić, żeby znaleźć odmienność.

Pewien kształt świata przybywa z Chin. Jest to projekt szczególny: ma on cechy bardzo zachodnie – przedmioty, którymi Chiny zapełniają targi i bazary na naszej planecie, są zdecydowanie zachodnie – ale jego celem jest narzucenie, albo ponowne narzucenie, panowania tego państwa nad światem: *in hoc signo vinces*, czy coś w tym guście.

Tutaj, na targu w Lusace, na jednym ze straganów sprzedaje się chińskie mapy świata. Na chińskich mapach świata Chiny znajdują się pośrodku, w centrum świata; jest to łatwe i wykonalne: wystarczy umieścić Amerykę z prawej strony, a Europę na końcu z lewej. Chiny zawsze nazywały siebie Państwem Środka i prawdą jest, że w ciągu ostatnich czterech tysiącleci były najpotężniejszym państwem Ziemi, poza dwoma krótkimi momentami zamętu – między wiekiem I a IV po Chrystusie, kiedy dorównywało im cesarstwo rzymskie, choć oba mocarstwa ze sobą nie współzawodniczyły, oraz między wiekiem XVI a XX, kiedy imperia europejskie zajęły znany świat. Jeśli Chiny w ciągu najbliższych lat znów staną się najpotężniejszym państwem świata, będzie to tylko korekta krótkotrwałego błędu, powrót do normalności. Różnica polega na tym, że po raz pierwszy będą państwem najpotężniejszym w czasach globalizacji,

to znaczy wtedy, kiedy aby być najpotężniejszym, trzeba zapanować, w taki czy inny sposób, nad wszystkimi pozostałymi.

Jedenasta rano. W Stanley Bar mężczyźni piją mleko. Jest taka rzadka forma szczęścia podczas moich podróży: idę, idę – czymś tam zajęty albo i nie – i nagle trafiam do miejsca, na widok którego rozjaśnia mi się twarz: właśnie to było warte zobaczenia. Stanley Bar, jedenasta rano. Dziwki wyglądające, jakby dopiero co wstały, o wymęczonych piersiach. Ściany czarne, tu i ówdzie kolorowe proporczyki, długie ławki obite czerwoną dermą, dookoła nędzne lustra. Stanley Bar jest ubogi – to śmietnik kultury pop lat siedemdziesiątych; kamienna podłoga świeżo umyta i brudna, stoły bilardowe, plakat z *Przeminęło z wiatrem*, pięć czy sześć plakatów reklamujących piwo, samą nazwę. W Stanley Bar, jak wspomniałem, wszyscy palimy papierosy i pijemy mleko.

Dziwna tęsknota: nigdy nie chwyciłem butelki za szyjkę i nie rozbiłem o kontuar w spelunce takiej jak ta. Nie miałem poczucia, że tu stoję i pewno się stąd nie ruszę, że od tej chwili wszystko się zmieni albo chyba zmieni, albo może zmienić, za sekundę, nagle, kto wie z jakiego powodu: o jedno spojrzenie za wiele wymienione z dziewczyną, nieopatrzne nadepnięcie stopy, przeniesiona albo przetrzymana nienawiść.

Jedna z podstawowych czynności w Afryce to czekanie, aż zdarzy się to, co ma się zdarzyć. Chyba lepiej, żeby w ogóle nie miało.

Przez sporą część dnia usiłowałem zmienić swój lot do Johannesburga, ponieważ skończyłem pracę i chcę wyjechać. Jest sobota. Przed południem idę do biura linii lotniczych – zamknięte. Próbuję z kilkoma biurami podróży – których afisze informują, że są otwarte – również zamknięte. Dzwonię podenerwowany do placówki linii lotniczych na lotnisku – która rzekomo obsługuje klientów przez cały dzień – ale nikt nie odpowiada albo jest zajęte. Mam lecieć liniami South African Airlines, więc przychodzi mi do głowy nieco spóźniona zbawcza myśl: zadzwonić do biura obsługi klienta w RPA, kraju bardziej zorganizowanym. Dzwonię, jakiś głos

informuje mnie, że w soboty pracują do 18. Jest dwadzieścia pięć po szóstej. Wówczas, traktując to jako ostatnią deskę ratunku, postanawiam połączyć się z numerem tych samych linii w USA. Szukam numeru w internecie, dzwonię, łączę się. W ciągu pięciu minut zmiana zostaje zatwierdzona. Stany Zjednoczone podobno ciągle rządzą światem.

Osoba podróżująca, bawiąca gdzieś przejazdem, gówno wie. Przypuszcza, sprawdza, zastanawia się, potwierdza – i bardzo często przy domysłach pozostaje. Faceci w Stanley Bar nie pili mleka. W tych białych, jakże mlecznych opakowaniach z napisem *shake shake*, z których lał się tak podobny do mleka płyn, była *chicha*, napój alkoholowy ze sfermentowanej kukurydzy, który tutaj nazywany jest *chibuku*. Dowiaduję się o tym teraz, w drodze na lotnisko, i mogę poprawić tekst. Ale był to czysty przypadek; najbardziej logiczne byłoby nie dowiedzieć się wcale. Do jakiego momentu należy wszystko sprawdzać czy raczej: od jakiego momentu nie ufać? Czy jeśli widzę napój o nazwie mleko, nalewany z naczynia, w jakim przechowuje się mleko, o wyglądzie identycznym z wyglądem mleka, powinienem powiedzieć, że to mleko? Czy też napisać jasno coś, co mogłoby być ewidentne: że człowiek, który patrzy, jest człowiekiem, który patrzy, a nie gwarantem boskiej prawdy?

Wchodzę na lotnisko, widzę białych, oddycham z osobliwą ulgą. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, jak dziwnie czuje się człowiek w miejscu, w którym wszyscy są odmienni – w którym ja jestem inny niż wszyscy.

Podchodzę późno do ostatniej kontroli bezpieczeństwa i stoi tam tylko młoda kobieta, pracująca tu funkcjonariuszka. Kiedy jestem prześwietlany, urządzenie brzęczy. Tłumaczę, że to pasek, tak, oczywiście, uśmiecha się kobieta. Podczas gdy sięgam po torbę, wtrąca słodkim głosem: *Something for a drink?* Mówię, że nie rozumiem; powtarza swoje. Idę dalej, jakbym nie zorientował się, o co chodzi; przypominam sobie, że jeden z nielicznych wysokościowców w Lusace nosi nazwę Anticorruption House i że znajduje się tam państwowy urząd do walki z powszechną korupcją, ale przede wszystkim urzeka mnie myśl, że ta kobieta gotowa była wpuścić mnie na

pokład z przedmiotem, który wywołuje alarm, za parę kwacha – że cały system bezpieczeństwa zbudowany przez Stany Zjednoczone jest zagrożony właśnie z powodu bronionych przez ten kraj koncepcji: że przede wszystkim liczy się pieniądz. Zakrawa to na ironię, na śmieszną sprzeczność, aż uświadamiam sobie, że nie, że to działa: z powodu zachłanności system bezpieczeństwa, który ma bronić tej zachłanności, zawodzi, a potknięcia pozwalają z kolei usprawiedliwiać i usprawniać system bezpieczeństwa, który ma bronić tej zachłanności, ale który z powodu zachłanności zawodzi, a potknięcia pozwalają usprawiedliwiać i usprawniać system, który…

To znaczy: ma bronić,
czasem zabija.

Gromadzą się we mnie historie. Trudne było spotkanie z salwadorskim członkiem gangu, ale był to tylko ten. Potem bolesne słuchanie Mołdawianki sprzedanej przez męża. Na to nałożył się Liberyjczyk, który widział, jak zjadana jest jego babka, Burkińczyk, który przez trzy lata usiłował dostać się do Europy, by wreszcie nic tu nie zyskać, Zambijka – chora na aids wśród innych zarażonych, seropozytywna. A każda nowa opowieść osadza się na kamienistym gruncie poprzednich, i jest to coraz bardziej twarda skała, świat coraz bardziej jako przestrzeń wroga, noc bez księżyca.

9. Johannesburg

Ta podróż – moja hiperpodróż – jest inscenizacją podjętego przeze mnie tematu: to ustawiczna migracja. A może jest wprost przeciwnie: migrujący jedzie, aby pozostać, podróżuje z nadzieją, że nie będzie więcej wyjeżdżał – szuka ostatecznego miejsca. Ja natomiast jeszcze nie dotrę do jednego miejsca, a już jadę do następnego.

W samolocie widzę po raz pierwszy coś, o czym czytałem: na pojedynczych ekranach obserwujemy na żywo i bezpośrednio start, lot, ziemię i niebo dookoła. Kamera musi być umocowana na ogonie samolotu: obraz pokazuje naszego nieustraszonego ptaka w locie. Jakie to współczesne: nie tylko lecimy; możemy jeszcze widzieć, jak to robimy. Jesteśmy widzami w naszym własnym reality show: oto my w powietrzu. Albo raczej: oto część gry wideo, w której nie wychodzimy poza ekran.

W sumie, mimo że narzekam, podobają mi się te dni samotnego włóczenia się po świecie, kiedy nikogo nie obchodzi, co robię, a moim jedynym obowiązkiem jest patrzeć i od czasu do czasu notować. Gdyby życie trwało bez końca, przypuszczam, że wiele lat bym spędził na samotnej włóczędze. Jest tyle rzeczy, które bym robił, gdyby trwało bez końca. Na przykład żyłbym.

Czeka mnie jeszcze międzylądowanie w Johannesburgu, w oczekiwaniu na lot powrotny. Wiele razy lądowałem na tym lotnisku, nigdy jednak poza nie nie wyszedłem. Dziś przejdę się po mieście, zanocuję. Pociąga mnie Południowa Afryka: to jedna z wielkich prób fikcji XX wieku, stulecia, w którym takich prób było więcej. Jedni chcieli stworzyć społeczeństwa ludzi równych – mających takie same obowiązki i prawa – jedni chcieli stworzyć społeczeństwa ludzi równych – mających takie same obowiązki,

prawa i takie same dobra materialne – inni zaś stworzyli społeczeństwo, w którym niektórzy byli legalnie i jawnie odmienni od tych decydujących, i ci odmienni pracowali dla nich i byli im posłuszni ze względu na kolor skóry. Południowoafrykański apartheid był niewiarygodną historią, pozwalającą czterem milionom utrzymywać w zależności i posłuszeństwie dwadzieścia milionów przez czterdzieści lat; trzeba do tego niezwykłych zdolności narracji. To niepospolita opowieść, szczególny przykład: najdoskonalsza, najbardziej wyrazista, jawna postać tego, co wszystkie społeczeństwa robią przez cały czas.

Tyle że tamta sytuacja była wyjątkowo przykra, ponieważ urodzenie zamykało cię definitywnie w pewnej kondycji – kondycji czarnego – niemożliwej do zmodyfikowania. Apartheid umarł, wyklęty. Utrzymują się jego słabsze wersje, które potrafiły stworzyć iluzję – i poprzeć ją pewnymi przypadkami – że nic nie jest definitywne, że każdy może się wydostać z sytuacji, w której się znajduje. Polityka jest przeciwieństwem ontologii – a politykierstwo sztuką przekonywania, że i ty możesz.

Albo raczej: że i ty powinieneś.

Muszę jednak przyznać, że po tych jakże zambijskich dniach przybycie do miasta z winami, potrawami i jakąś tam kulturą blond sprawia mi pewną frajdę.

Chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że na koniec trafiłem na *fish & chips* do czegoś w rodzaju baru fast food na przedmieściach – widok na stację benzynową i żywej duszy dookoła – nie było w tym bowiem niczego, czego mógłbym pragnąć albo o czym bym marzył. Ulica jest pusta, dochodzi wpół do dziewiątej wieczorem. Wysiadłem na lotnisku w Johannesburgu o czwartej, z nadzieją potwierdzenia lotu na następny dzień: Joburg–São Paulo–Buenos Aires, ale nic z tego. Nie było miejsc i muszę czekać dwa dni. Protestowałem, tupałem, na próżno. Zyskałem półtora dnia w Południowej Afryce, czego nie miałem w planach. Musiałem znaleźć nocleg. Panienka z informacji na lotnisku poleciła mi *bed & breakfast*, Cape

of Elegance, w Sandton, na bogatym przedmieściu. Proszę absolutnie nie jechać do centrum, powtórzyła parę razy, to bardzo niebezpieczne; ostatecznie może pan jechać, jeśli ktoś pana podwiezie, ale sam – nigdy. A Sandton jest bezpieczne? Bezpieczne to może za dużo powiedziane; jest bezpieczniejsze. Zadzwoniliśmy – zadzwoniła ona, ze swego miejsca urzędowania – do Cape of Elegance. Pan Gene odpowiedział, że owszem, ma wolny pokój, chętnie mnie przyjmie, ale że taksówka jest bardzo droga i bardziej się opłaca wynająć samochód. Najlepiej, żeby w firmie wynajmującej samochody odebrali faksem plan dzielnicy, który on mi przyśle. Inaczej kto wie, czy dojadę. Posłuchałem go; nie wiem dlaczego – pewnie z lenistwa, które nas zwykle skłania do posłuszeństwa. A zatem pół godziny później jechałem autostradą, lewą stroną, prowadząc samochód z kierownicą po prawej – co jest jednym z najbardziej niebezpiecznych działań, jakie znam. Starałem się jechać powoli, panować nad kierownicą; inni wyprzedzali mnie, obrzucali przekleństwami. Planik pana Gene'a nie był szczególnie pomocny; wystarczyło mi dziesięć kilometrów, żeby naprawdę się zgubić: blisko godzinę jeździłem bez celu po czymś w rodzaju obwodnicy, okrążając Johannesburg samochodem, zagubiony w najbardziej podobno niebezpiecznym mieście na kontynencie, bez specjalnych perspektyw na wyjście z opresji. Próbowałem trzymać nerwy na wodzy: I widzisz, głupku, nie trzeba było komplikować spraw. Długo to trwało. Wreszcie zobaczyłem znak z napisem „Sandton", pojechałem tam, byłem już blisko, znów przez godzinę błądziłem, pytałem o drogę, pokazywano mi. Dotarłem do Cape, kiedy już zapadła noc. Cape of Elegance okazał się dużą willą w zamkniętym osiedlu, bez jakiejkolwiek tabliczki pozwalającej zidentyfikować obiekt. Wjechałem, zaparkowałem, wszedłem do pustego ogrodu. Po chwili pojawiła się tęga czarna kobieta i spytała, czy jestem pan Martín. Odpowiedziałem, że tak. Wyjaśniła, że pan Gene musiał wyjść, ale mój pokój jest przygotowany. Pokój był ładny, ogród urzekający. Wrócił pan Gene, spytał, czy wszystko w porządku, i zaczął opowiadać, że jego ojciec był Libańczykiem, który około 1900 roku próbował osiąść w Rosario, w Argentynie, ale szybko przeniósł się tutaj. Pionier, powiedziałem, wizjoner. Pan Gene nie wiedział, jak przyjąć moje słowa. Pan Gene miał karykaturalny akcent *British*, jaki można spotkać już tylko poza Anglią. Spróbowałem go naśladować; może pomyślał, że mam karykaturalny akcent *British*. Potem spytałem, gdzie mógłbym coś zjeść.

Pan Gene spojrzał na zegarek i powiedział: ach, o tej godzinie… – było już po ósmej. Dodał, że parę przecznic dalej, przy stacji benzynowej, jest bar, w którym podają *fish & chips*; trzeba spróbować, może się uda.

Jednym z przywilejów podróżowania jest to, że człowiek odwiedza miejsca, do których nigdy by się nie wybrał. Czasem nawet okazuje się to ciekawe.

Księżyc prawie w pełni, niebo znów z półkuli południowej; jestem już blisko.

W ogrodzie Cape of Elegance muszę zredagować opowieść Kakenyi; zostało niewiele czasu. Spotkałem się z nią półtora miesiąca temu w Pittsburghu, w Pensylwanii; był to pierwszy z serii wywiadów. Tego dnia ziąb był straszliwy, śnieg, wichura. Schroniliśmy się w indyjskiej restauracji; dziewczyna jadła i opowiadała, jadła, nie przestając opowiadać. Potem odwiozłem ją do jej dzielnicy, wróciłem do hotelu przy szosie, zapaliłem, spisałem jej historię. Podczas tej podróży paliłem ostro. Mówię sobie, że taka jest cena, i mówię sobie także, że łatwo powiedzieć sobie, że taka jest cena. Ostatecznie wszystko zależy od tego, czy znajdę jakieś racje, wiarygodną historię tłumaczącą, że robię to, co chciałem, ale że nie musiałem. Czasowniki są pnączem, ich kwiaty opadają.

Kiedy Kakenya była dziesięcioletnią dziewczynką, nie miała czasu myśleć o przyszłości. Tyle było zajęć każdego dnia: jak tylko wróciła ze szkoły, musiała wydoić krowy, wyprowadzić je na pastwisko, przynieść wody z rzeki, nazbierać chrustu, ugotować obiad, uprać, posprzątać, zająć się siostrami. Zbyt była zaprzątnięta sprawą kolacji, żeby miała troszczyć się o coś odleglejszego. Przyszłość, powie o wiele później, jest luksusem, na który tylko społeczeństwa bogate mogą sobie pozwolić. Ale nawet gdyby się zastanowiła, nigdy w życiu nie mogłaby sobie wyobrazić, że będzie, jak teraz, na studiach podyplomowych z pedagogiki na uniwersytecie w Pittsburghu, w Pensylwanii.

Kakenya urodziła się w czerwcu 1978 roku, ale nie wie którego dnia; jej matka nie pamięta. W Enoosaen, masajskiej wiosce na północy Kenii, ten szczegół zbytnio się

nie liczy. Masajowie zawsze byli społecznością półkoczowniczych pasterzy; ostatnio zaczęli osiedlać się w wioskach. Prawie pół miliona, połowa wszystkich, mieszka w Kenii. Wypasają również kozy i owce, ale najcenniejszym dobrem są dla nich krowy: ludzie żywią się ich mlekiem i krwią i zabijają je tylko na specjalne okazje.

W Enoosaen nigdy nie było wody bieżącej, asfaltu, elektryczności. Dom Kakenyi, jak wszystkie inne, zbudowany był z mieszaniny gliny, słomy i krowiego nawozu z moczem. Kakenya nie pamięta, kiedy zaczęła pracować: robiła to zawsze. Teraz mówi, że gdy słyszy o pracy dzieci, budzi się w niej nieufność: niektórzy powinni zrozumieć różnicę między dziećmi wykorzystywanymi przez pracodawcę a tymi, które pomagają zapewnić utrzymanie rodzinie.

– Po co dziecko miałoby się bawić, jeśli następnego dnia nie będzie miało co jeść?

Kakenya była najstarszą córką. Kiedy miała pięć lat, rodzice obiecali ją za żonę dla sześcioletniego sąsiada; takie są zwyczaje Masajów i wszyscy w wiosce mówili o nich jako o mężu i żonie. Oni sami bawili się wspólnie, razem paśli krowy, nazywali siebie mężem i żoną. Wiele lat później Kakenya powie, że przynajmniej miała to szczęście, że znała swojego przyszłego męża; bo często dziewczęta z jej wioski poznają męża dopiero w dniu ślubu.

Jej los został przesądzony: miała wyjść za mąż, urodzić dzieci, hodować krowy, uprawiać ziemię. W tamtym czasie nawet nie wiedziała, że może istnieć inne życie; oglądany z wioski, świat wydawał się mały i jednorodny. Jednak była niespokojna, bała się. Matka harowała bez wytchnienia, ojciec spędzał długie okresy poza domem, pracując jako policjant w Nairobi. Kiedy wracał, było gorzej: bił żonę, sprzedawał należące do niej krowy. Matka w chwilach desperacji mówiła córce: oby twoje życie było inne – w czym mogło pomóc jedynie zdobycie wykształcenia. Kakenya uczyła się najpilniej, jak mogła.

Kiedy miała jedenaście lat, przybył do wioski pewien człowiek, Morompi, dwudziestoparoletni sąsiad, który zdobył potrzebne kwalifikacje i pieniądze, żeby studiować w Stanach. To było objawienie: Morompi miał aparat fotograficzny, był dobrze ubrany, uśmiechał się z zadowoleniem i opowiadał historie o tamtym kraju, w którym wszyscy mają pieniądze i okulary przeciwsłoneczne, i po kilka samochodów, a maszyny wykonują całą pracę. Kakenya była zafascynowana: w jej wyobraźni otwierał się nowy świat. Podwoiła więc wysiłki, ucząc się; teraz miała cel. Kiedy doszła do szkoły średniej, była jedną z dwóch dziewczynek w klasie samych chłopców; w jej społeczności nie było przyjęte, aby kobiety zajmowały się

takimi rzeczami. Kobiety mają wyjść za mąż. Przedtem muszą jednak zostać okaleczone.

Przez dwa czy trzy lata Kakenyi udawało się odwlec ten moment – i dalej się uczyć. Kiedy jednak skończyła piętnaście lat, ojciec stwierdził, że nie można już dłużej czekać. Obrzezanie kobiet – emuratisho *– wyznaczało moment wejścia w dorosłość – małżeństwo i porzucenie szkoły. Kakenya uparła się i zaczęła negocjować: zgodzi się, jeśli pozwolą jej skończyć szkołę średnią. Nie obyło się bez awantur, dość gwałtownych. W końcu ojciec obiecał jej to wobec mężczyzn z wioski; tradycja nakazuje dotrzymać takiej obietnicy – a Kakenya potrafiła wykorzystać tradycję dla swojej korzyści.*

– Wiele dziewcząt masajskich wyczekuje chwili okaleczenia z radością: tyle o tym słyszały jako o chwili rozpoczęcia prawdziwego życia. Nikt jednak nie mówi dokładnie, co będzie się nam robić; wiemy tylko, że czeka nas wielkie święto, którego będziemy bohaterkami. Uroczystość jest zresztą piękna: cały tydzień śpiewów, tańców, ucztowania. Aż któregoś ranka prowadzą cię na wybieg dla krów i tam, w obecności dziesiątków ludzi z wioski, stara kobieta robi ci to. Przeszywa cię straszliwy ból, ale nie możesz płakać: od maleńkości zawsze słyszałaś, że nie wolno ci płakać. I nie możesz z nikim o tym rozmawiać.

Jeszcze dziś, kiedy Kakenya to wspomina, jej twarz powleka się cieniem. Mówi, że każdego dnia czuje tę brakującą cząstkę swojego ciała, że przez całe życie będzie walczyć o wykorzenienie tego zwyczaju – i nie chce więcej o tym rozmawiać. Każdego roku około dwóch milionów kobiet w Afryce, Azji i na Bliskim Wschodzie poddawanych jest wycięciu łechtaczki. Na ogół zabieg wykonuje się bez zachowania sterylności, bez odpowiednich narzędzi, w warunkach zagrażających zdrowiu.

Kakenya ukończyła szkołę średnią z bardzo dobrymi wynikami. Nadszedł moment zamążpójścia, kiedy to na zawsze miała przestać być Kakenyą. W jej społeczności dziewczyna, wychodząc za mąż, staje się własnością męża, dodatkiem do niego. Dziewczęta masajskie używają swojego imienia do ślubu. Tego dnia pan młody wraz z przyjaciółmi wybierają jej inne, przewidziane na resztę życia. Trudno wyobrazić sobie silniejszą demonstrację władzy: to ja decyduję o twoim imieniu, twojej ostatecznej tożsamości.

– Jestem Kakenya, będę Kakenyą aż do śmierci! – powie dziewczyna o wiele później. Wtedy jednak, aby to wyegzekwować, musiała wyjechać ze swojej wioski.

– Obyśmy nie musieli uciekać z naszych domów, chcąc być tym, kim chcemy być. Gdybym została, zmuszono by mnie, żebym wyszła za mąż, urodziła dzieci, żyła

życiem, jakie inni dla mnie wybrali, nie swoim własnym. Myślę, że musiałam wyjechać, jeśli miałam dalej być sobą.

W tamtych dniach Kakenya poszła porozmawiać z Morompim i poprosiła go o pomoc w znalezieniu uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych.

– Dlaczego akurat w Stanach Zjednoczonych?

– Ponieważ nie słyszałam o żadnym innym miejscu.

Po załatwieniu wielu formalności przyjęła ją niewielka, żeńska niegdyś uczelnia, Randolph-Macon College w Wirginii, brakowało jednak tego, co najtrudniejsze do zdobycia: pieniędzy. Kenia jest krajem o powierzchni Francji czy Hiszpanii z 35 milionami mieszkańców – z których połowa żyje poniżej granicy ubóstwa. Oczekiwana długość życia wynosi czterdzieści lat, jeden telefon przypada na dwadzieścia osób, dostęp do internetu ma jedna osoba na sto. Przez wiele miesięcy Kakenya musiała przekonywać kobiety i mężczyzn w wiosce, że dziewczyna może dokonać czegoś, co bardzo niewielu chłopcom się udało; obiecała, że jeśli pozwolą jej wyjechać, wróci, żeby otworzyć szkołę, izbę porodową, podłączyć wodę bieżącą. Obiecała również, że wróci sama – że nie wyjdzie za cudzoziemca. Na początku tłumaczono jej, że nie, że kobiecie nie wolno wyjeżdżać, że skończy jako prostytutka i że powinna uszanować starszych i zostać tu, gdzie jest jej miejsce. Kakenya dzięki sile perswazji zdołała uzyskać pozwolenie starszyzny wioski i zebrać trochę pieniędzy. W początkach roku 2000 wyjechała do Nairobi. Zobaczyła tam, po raz pierwszy w życiu, blok mieszkalny, telewizor. Po kilku dniach wsiadła do samolotu, żeby przekroczyć Atlantyk. Na początku podróży płakała ze szczęścia, ponieważ jej się udało, pod koniec – ponieważ zaczęła się obawiać, czy kiedykolwiek będzie mogła wrócić do domu.

Czuła się absolutnie zagubiona: trudno wyobrazić sobie bardziej radykalną zmianę. W college'u Randolph-Macon przyjęto ją żywiołowo i serdecznie, a powitała ją wielka śnieżyca. Kakenya nie mogła uwierzyć w to, że śnieg pada z nieba, ani w to, że jej koleżanki wybiegają na łąkę, żeby zjeżdżać na swoich materacach jak na sankach. Objawiły jej się jednocześnie dwa dziwne aspekty kultury Zachodu: że coś tak cennego jak materac może zostać dla zabawy zniszczone oraz że dorosłym kobietom ciągle jeszcze w głowie zabawa. Jej pierwszy rok w college'u nie był łatwy: czuła, że ją to przerasta, i bardzo pragnęła wrócić do domu.

– Kiedy miałam włączyć swój pierwszy komputer, byłam przerażona; myślałam, że jak nacisnę klawisz, wybuchnie. Elektryczność wzbudzała we mnie lęk.

Potem jakoś się zaadaptowała i skończyła studia z bardzo dobrymi wynikami. Równocześnie jednak odkrywała, że Amerykanie jedzą surowe warzywa – „jak zwierzęta" – że chodzą zbyt szybko, że uśmiechają się bez sensu, że wszyscy chcą wyglądać młodo, że nie każdy jest bogaty i że pieniądze nie rosną na drzewach – że życie w Stanach również może być bardzo ciężkie.

Kakenya jest wysoka, ma okrągłą twarz, ujmujący uśmiech, włosy prostowane z trudem. Mieszka od lat w Stanach i mówi już, że jest nie Masajką, tylko Kenijką. Kiedy mówiła: Masajka, nikt nie wiedział, o co chodzi. Powtarza, że jej serce pozostało w wiosce, ale w czasie obu wizyt – raz przyjechała na pogrzeb ojca – czuła się nieswojo; nie jest już taka jak tamci.

Robiła, co mogła: była dla wszystkich bardzo uprzejma, próbowała się integrować, nie nosiła amerykańskich ubrań, żeby nie wzbudzać zazdrości. Niemniej pochorowała się od wody w Enoosaen, nie mogła już dźwigać drew i wszyscy dawali jej odczuć różnicę. Niektórzy jej nadskakiwali i schlebiali, inni wysuwali wobec niej najrozmaitsze podejrzenia. Wielu prosiło o pieniądze – ją, która nie ma grosza przy duszy – bo ktoś, kto mieszka w Ameryce, musi być bogaty. Kakenya nie jest u siebie w swojej wiosce, ale wie, że nie jest również Amerykanką – i boi się, że zostanie na zawsze gdzieś pomiędzy, czyli nigdzie.

– Oni nie wiedzą; wyobrażają sobie, że tutaj wszystko jest łatwe. A ja każdego dnia myślę: Boże, jestem im winna tyle rzeczy, złożyłam tyle obietnic...

Mówi, że dobrze się tu odnajduje i wiele się uczy, nigdy jednak nie opuszcza jej poczucie winy – nie było chyba dnia, w którym pomyślałaby: ach, jaka jestem szczęśliwa. I nieraz tęskni za czasami, kiedy nie zastanawiała się nad przyszłością: kiedy nie rozmyślała dniami i nocami nad tym, co będzie mogła zrobić, żeby poprawić sytuację swojej rodziny, wioski, kobiet w wiosce. Tęskni za dniami, po których wieczorem padała ze zmęczenia i sen nadchodził niepostrzeżenie. Teraz, kiedy wie znacznie więcej o świecie, bardziej się martwi i nie przestaje rozmyślać, co mogłaby zrobić, żeby ludzie żyli szczęśliwie i nie musieli dla osiągnięcia tego celu opuszczać swojego kraju. Powinna mieć udział w budowaniu takiego świata – ale nie bardzo wie, jak to zrobić. Tymczasem największe nadzieje wiąże z edukacją:

– Edukacja to klucz do wszystkiego. Nauka otworzyła przede mną tyle drzwi, że chciałabym przygotować się jak najlepiej do podniesienia poziomu edukacji moich rodaków, mojego kraju.

Mówi mi Kakenya, w zimowy dzień w Pittsburghu – na głowie wełniana czapka, zmarznięte uszy. Marzy jej się otwarcie szkoły w rodzinnej wiosce; chciałaby dać

kobietom szansę kształcenia, przekonać je, że nie powinny zgadzać się na dominację mężczyzn, na okaleczenie, powinny zachowywać swoje imiona, decydować o sobie.

– Gdyby kobiety w mojej wiosce miały wykształcenie, mogłyby decydować, co zrobią ze swoim życiem. To by rzeczywiście oznaczało zmianę, a ja czułabym, że spłaciłam długi.

Kakenya mówi to ze smutkiem. Kilka dni później otrzyma wiadomość, że fundacja Nike przyznała jej stypendium na rozpoczęcie budowy szkoły. Spełnienie jej marzeń, powie wówczas, stanie się bardziej realne – tak jak możliwość klęski, sprawienia innym zawodu.

– You don't want to go there.

– Yes, I do. I want to see downtown Johannesburg.

– No, you don't want to go there.

Kiedy spytałem państwa Gene, jak dojechać do centrum, uśmiechnęli się: Nie mówi pan poważnie, prawda? Ja uśmiechnąłem się również i odparłem, że owszem, nie tak znowu strasznie poważnie, jednak wystarczająco. Ale tacy jak my nie jeżdżą do centrum Johannesburga, wytłumaczyli. Było jasne, że tacy jak my, to znaczy biali. My, biali.

Żebym uważał, żebym się nie zagapił, żebym się rozglądał na wszystkie strony, żebym nic przy sobie nie miał, że jestem dorosły i z pewnością będę umiał się pilnować, więc powodzenia.

Od wielu dni mówię po hiszpańsku tylko z samym sobą. Czasem mój akcent brzmi dla mnie obco.

Nie wiem, jak możemy pozwalać sobie wmawiać, że Nowy Jork jest wciąż stolicą świata, skoro wystarczy przyjrzeć się trochę temu światu, żeby zobaczyć, że jego stolicą jest Kalifornia. Kalifornia narzuca styl. Bogacze świata nie chcą mieszkać w Nowym Jorku; mieszkają w licznych Kaliforniach. Każde szanujące się miasto na świecie ma dwa kwartały czy dwieście kilometrów kwadratowych typu kalifornijskiego: drzewa, wille, słońce, trasy szybkiego ruchu, szerokie ulice, piesi odsunięci na bok, mercedesy, blondynki farbowane albo autentyczne, galerie handlowe i te

osobliwe oazy, w których jest parking, kawiarnia, wypożyczalnia kaset wideo, jedna apteka, dwie restauracje z dostawą do domu i parę sklepów.

Północne przedmieście J. jest absolutnie kalifornijskie: to rodzaj Kalifornii ze zjawami z innego świata. Zamiast Meksykanów pracują czarni – i jeździ się z lewej strony, ale to drobne dziwactwa; reszta jest doskonała. W rzeczywistości jest o wiele bardziej kalifornijska niż Kalifornia. Kiedy zaczynano budować Kalifornię, nie wiedziano jeszcze, jaka ona jest, i pozostają tam resztki owej bezmyślnej przeszłości. To przedmieście natomiast zrobione jest z pełną znajomością wzoru, bez pęknięć.

Domy mają na ogół mur dookoła, kraty, tabliczki z napisem, że na wszelki atak odpowie się zbrojnie.

Galeria handlowa tutaj jest jednocześnie pewną hiperbolą. W każdym miejscu galerie usiłują zgarnąć, kogo się da, z ulicy, oferując miejsce zamknięte i bezpieczne. Tutaj, przy tylu czarnych, przy całym strachu, owo zamknięcie stanowi nieunikniony manewr obronny.

Ciągle jeszcze nie dotarłem do otoczonego złą sławą centrum.

Ale muszę być już blisko: chaos samochodów, busów, setki straganów na ulicy.

Chyba mnie przekonano, że mam się bać.

Teraz już pewno dotarłem: budynki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wysokie, potężne, w strasznym stanie, idziesz i godzinami nie spotkasz żadnego białego, bielizna susząca się w oknach, zaśmiecone chodniki – miasto rzekomo europejskie, zagarnięte przez Afrykę. Miasto, które oszałamia. I zadziwia: obrazy absolutnie afrykańskiego życia na tle pejzażu, który próbował być odmienny.

Nakładające się wrażenie, palimpsest, walka dwóch światów zakończona pyrrusowym zwycięstwem.

Wszyscy mi się przyglądają, czuję się nieco zagrożony.

Są to dwa radykalnie odmienne miasta. Między czarnym centrum J. a jego białymi przedmieściami znajduje się wzgórze o nazwie Constitution Hill. Później spytam paru białych, kto – oni czy czarni – mieszka poza Constitution, ale chyba nie zrozumieją dowcipu.

Johannesburg stanowi syntezę zawiłych przypadków świata bogatego i biednego, losów ludzi białych i czarnych, porządku i pomieszania, hałasu i ciszy – owych ekstremów, które wydają się już niemodne, nieeleganckie, gdyż nie wiemy, co z nimi począć – poza tym, że możemy je opisać, mając w zanadrzu pakiet dobrych intencji.

Powiedziano mi, że hitem architektonicznym jest tu obecnie imitacja willi toskańskiej. Zauważam jedną taką – za wysokim murem zwieńczonym zwojami drutu kolczastego – i nie mogę oderwać od niej wzroku: trzykondygnacyjny budynek z wielkimi luksusowymi mieszkaniami, wszędzie toskańskie rzekomo kolumny, woluty, zwieńczenia. Znów narzuca mi się jedno z częstych pytań: czyżby prawdą było, że przestaliśmy wymyślać nowe rzeczy? Technologia tak bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich dwudziestu lat, że stworzyła świat odmienny, całkowicie wewnętrznie skomunikowany, nastawiony na podpatrywanie, kopiowanie. I przynajmniej od tego czasu wydaje się, jakby estetyka nie szukała niczego więcej. Mamy wille w stylu toskańskim – czy francuskim, czy wzorowane na pagodzie, czy na piramidach. Jeśli istnieją wzory do naśladowania, to dlatego, że ktoś je wymyślił. I przynajmniej przez cały wiek XX architekci – a także pisarze, malarze, reżyserzy, projektanci, muzycy – uznawali, że powinni szukać tego, co nowe, odmienne. Teraz patrzy się wyłącznie, co by tu przywrócić do życia. Podobnie jest z powieściami. Trochę to dla mnie smutne.

Albo raczej: jak gdybyśmy już nie wiedzieli,

co robić.

Gazety pasjonują się historią byłego wiceprezydenta z partii Mandeli, oskarżonego o gwałt. Mężczyzna zrelacjonował tę noc ze szczegółami, zarzucając swojej oskarżycielce kłamstwo. Podobno – jak donoszą gazety – kiedy kobieta była już w łóżku, przypomniał sobie, że jest seropozytywna, i spytał, czy nie ma prezerwatywy. Odpowiedziała, że nie, na co on się zmartwił: ach, ja też nie mam. Wówczas na chwilę się zawahał, jednak „w kulturze Zulusów nie zostawia się kobiety, która jest już gotowa". Człowiek ten, Jacob Zuma, był wiceprezydentem kraju, a także dyrektorem Krajowej Rady ds. Aids; to chyba wyjaśnia parę spraw.

Tak, to smutne, kiedy ludzie nie wiedzą. Teraz jednak prawie wszyscy wiedzą. A jeśli chcą się pozabijać – czy trzeba coś robić? Czy też każdy ma prawo uczynić ze swoim życiem, co zechce?

Jeśli czarni chcą to miasto, niech je sobie wezmą, powiedział mi pan Gene; ja za nim nie tęsknię. Dziwi mnie tylko, że nie wznosimy już wysokich budynków. Teraz w naszych rejonach wszystko jest płaskie, niskie, przyklejone do ziemi. Pan Gene urodził się w centrum J. i mieszkał tam i pracował przez kilkadziesiąt lat. Teraz, mówi, już z dziesięć lat tam nie był. To znaczy od ponad dziesięciu lat nie bywa w mieście, w którym się urodził, w którym spędził niemal całe życie. To miasto znajduje się o dwadzieścia minut od jego domu, ale jakby nie istniało.

Klęska musi być właśnie czymś takim.

Ja za to, owszem, chcę wrócić do domu.

Pan Gene namawiał mnie jednak bardzo, żebym zobaczył Montecasino. Z zewnątrz Montecasino jest cudacznym zamkiem włoskim, niedawno zbudowanym, ogromnym. Przyjeżdżam samochodem. Przy wyjeździe z wielopoziomowego parkingu tabliczka informuje, że znalazłem się w strefie wolnej od broni i że mam zostawić swoją w przechowalni. To

nieistotna preambuła. Mijam drzwi, za którymi, pod namalowanym na suficie niebem, znajduje się ogromne włoskie miasteczko, a w nim ulice, place, fontanny, mosty, zawsze zielone drzewa, sklepy, źle zaparkowany fiat topolino, obeliski, ruiny, rowery, w jednym miejscu błękitne popołudniowe niebo, noc nad centralnym kasynem pełnym automatów do gry, liczne domy – w których mieszczą się ze dwa tuziny restauracji. Las Vegas, nic wielkiego, błahostka. Może to jednak nowość: stworzenie makiety całego miasteczka wewnątrz budynku wyłącznie dla konsumpcji i rozrywki jest czymś stricte współczesnym – i przysparzającym chwały, jak sądzę.

Widać księżyc, ale nie wiem, czy jest prawdziwy.

I już, odleciałem. W samolocie nie mam wobec nikogo żadnych zobowiązań. Nie muszę do nikogo dzwonić, pisać, z nikim się spotykać. Z nikim się nie kontaktuję, jestem odcięty od świata, zbyt wysoko nad nim, zbyt wysoko, żeby dręczyło mnie zwykłe poczucie winy. Mogę więc bezkarnie tracić czas; usprawiedliwieniem dla tego czasu „straconego" jest już samo przemieszczanie się, podróż. Nie muszę go niczym wypełniać, żadnym działaniem, mogę przez długie godziny czytać gazety, czasopisma, powieścidła, głupoty, korygować kształt chmur. Wszystkim zajmują się inni: wiozą mnie, karmią, poją, utrzymują w pozycji siedzącej, przypiętego, podsycają mój niepokój i łagodzą go. Dzięki czemu czuję się absolutnie wolny od wszystkich tych błahostek – wiem, że mogę robić tylko to, co jest wykonalne w pojedynkę, na siedząco i publicznie. Zawsze uważałem, że samolot stanowi metaforę ludzkiego losu: jesteśmy wszyscy wydani na coś, czego nie kontrolujemy, co nas unosi niezależnie od naszych działań. Teraz myślę, że jest to może obraz współczesnego społeczeństwa. Gdyby tak było, to dalibóg niemal by mi się ono podobało – nawet gdybym pozostawał względem niego w absolutnej niezgodzie.

Czy mam mówić, że niewiele rzeczy uspokaja mnie bardziej niż spojrzenie w lustro i konstatacja, że nie jest źle? Czy dlatego mogę się do tego przyznać, że, jak podejrzewam, podobnie dzieje się z wieloma

osobami, które jednak o tym milczą? Taki jest powód? Bo światło w samolotowej toalecie sprawia, że wyglądam w lustrze zdrowo – niemal atrakcyjnie? I dlatego? Z takich względów?

Księżyc znowu wydaje się w pełni: to godzina twego przyjścia, o, zakochany.

Dlaczego wymyśliliśmy formę czasu, który się zużywa, i skonstruowaliśmy świat według tego modelu? Gdybyśmy naprawdę wierzyli w inne życie, w wieczne powroty, w niekończącą się podróż – gdybyśmy rzeczywiście potrafili uchylić się przed oczywistością śmierci – moglibyśmy ukształtować formę czasu, który by się nie wyczerpywał, nie byłby zbudowany z nieznośnej skończoności. Wówczas zaś pojmowalibyśmy świat zupełnie inaczej. Ale tak się nie stało. Oświecenie skazało nas na ideę głoszącą, że mamy tylko to, co widzimy – a to, co widzimy, to, jakkolwiek by spojrzeć, rzeczy, które się kończą.

Lecę nad Atlantykiem – który podobno ciągnie się tam, w dole. Wiem, że jutro, kiedy dolecę, wszystko to, co się wydarzyło, będzie przeszłością.

I pozostaną tylko, żeby to zmazać, zapisane tu słowa.

Przypisy

[1] Przeł. K. Kopciński, w: *Radość rozbitków. Antologia poezji włoskiej dwudziestego wieku*, red. J. Mikołajewski, Izabelin 1997, s. 79.